

**Nikołaj Wodniewski**

# Wczoraj i dziś

Koszalin

„Вчера и сегодня” Николай Водневский.

Tłumaczenie z języka rosyjskiego zostało dokonane za zgodą autora oraz uzyskano zgodę na wydanie drukiem w całości lub w części.

Tłumaczenie i skład Krzysztof A. Wojnikiewicz.

(Do użytku wewnętrznego).

# Wprowadzające słowo

## Parę słów o książce

Czym jest życie? Nie w filozoficznym, lecz w najbardziej zwykłym pojęciu. Różni ludzie w różny sposób odpowiadają na to pytanie.

Życie nie jest szklaną kulą, gumowym balonikiem ani sztucznym kwiatkiem. Wszystkie te przedmioty, o każdej porze roku pozostają niezienne, gdy zaś życie jest ciągłym kołowrotem wydarzeń.

W jednym z opowiadań autor porównuje życie do jabłoni. Rozkwita ona i rozsiewa aromat wiosny, w letnie miesiące napelnia się owocami, dojrzałe owoce zrywane są z gałęzi i układane w koszach, aby służyły ludziom. Zimny, jesienny wiatr zrywa z jabłoni złote i purpurowe liście. Zimowa śnieżycy smaga po gałęzkach, jak biczem. Ciężki jest los jabłoni w ciągu całego roku! I wszystko to przyjmuje ona z pokorą i cierpliwością, jako nieuniknione, i wszystko to jest ku jej pożytkowi. Celem jej życia są owoce, które cieszą ludzi.

Często myślałem o tym, gdy obserwowałem, jak powstawała ta książka. Pracowałem z autorem przez sześć lat i widziałem, jak po ośmiogodzinnej pracy w fabryce przyjeżdżał on do redakcji „Nasze Dni” prawie codziennie i za każdym razem przywoził opis nowych epizodów z życia. Czytałem te notatki redaktora i zawsze zadziwiała mnie zdolność autora do podpatrywania w życiu tego, co nie przyciągało uwagi innych.

W czym się zawiera niezwykłość literackich szkiców Nikołaja Wodniewskiego, składających się na książkę „Wczoraj i dziś”? – Prostota i prawdziwość. To czyni, że są one przystępnymi, łatwo dającymi się czytać.

Istnieje powiedzenie: „Co pochodzi z serca, trafia do każdego serca”. Książka N. Wodniewskiego „Wczoraj i dziś” jest prezentem dla poszukujących, poważnych czytelników. Jest w niej dużo głębokich myśli i dobrych uczuć. Wiele stron czytelnik przeczyta parę razy, gdyż ta książka jest szczerą. W każdym szkicu, w każdym opowiadaniu czytelnik odnajdzie ziarno. Proszę się nie bać wziąć je, jak to się mówi, „na ząb”, poznać jego aromat i smak. Jest to ziarno wiecznej, niezmiennej prawdy.

Książka „Wczoraj i dziś” zmusza czytelnika do myślenia, uszlachetnia uczucia, wzywa do tego, co w górze, co najcenniejsze – wskazuje na Chrystusa jako jedyną nadzieję świata. Cieszę się, że jeszcze jedna książka o życiu, jakie ono jest, ujrziała światło dzienne.

Jest taka gra „Puzzle”. Z małych, różnych kartonowych kawałeczków jakiegoś obrazu, trzeba ułożyć całość. Coś w tym rodzaju czyni N. Wodniewski: z mnóstwa interesujących i głębokich obserwacji oraz szkiców, układa on wyraźny i obiektywny obraz czasu, w którym dziś żyjemy.

Prozę N. Wodniewskiego łatwo jest rozpoznać po jej skromności i ludzkim charakterze, po jej przenikaniu w sens życia, po jej duchowym bogactwie.

Nie wątpię, że tej książce sążone jest długie życie. Będą ją czytać nie tylko chrześcijanie, lecz i ludzie niewierzący, ale żądni wiedzy, bo w tej książce jest dużo miłości do życia, co jest cenne każdemu człowiekowi.

Rodion Bieriezow.

## Tak rozpoczęło się życie...

Pierwsza stronica powieści mojego życia rozpoczyna się w wiosce Borowka. Jej nazwa pochodzi od boru – dużego lasu sosnowego, w południowej części brianskiego obwodu.

Siebie pamiętam od szóstego roku życia, a nawet wcześniej. Starszy brat niestrudzenie uczył mnie alfabetu. Pamiętam go, jak tłumaczył:

— Widzisz haczyk? To jest miękki znak. Masz sześć lat. Pisz literami „sześć”. Bez tego haczyka zrobi się żerdź, a nie sześć. W naszej izbie nad łóżkiem, na całej długości ściany, wisiała żerdź na ubranie i dobrze pamiętam różnicę w pisaniu słów „żerdź” i „sześć”.

Uczyłem się z elementarza. Gdy ojciec przywiózł mi z miasta pierwszą książkę do czytania, było to dla mnie wielkim świętem.

W wiosce nie było szkoły. Niewielu czytało odrobinę z drukowanych liter. Gdy zaś zdarzało się, że ktoś otrzymał list, niósł go do sąsiedniej wsi, aby go przeczytano. W takiej sytuacji naszą wioskę zastała rewolucja.

Ja się urodziłem już po rewolucji. Wtedy dużo mówiono o prawach, o wolności, o równouprawnieniu, o wykształceniu. W latach trzydziestych chodziłem do szkoły w sąsiedniej wsi, oddalonej o sześć kilometrów.

Gdy lasy przeszły pod zarząd miejscowych rad, mój ojciec został leśnikiem. Od tego momentu całe moje dzieciństwo związane jest z lasem. Ojciec często zabierał mnie na „obchód” po leśnych drózkach i przesiekach. Kochał on przyrodę, kochał zwierzęta i chociaż na plecach nosił dwururkę, lecz strzelał tylko z nudów. Nie pamiętam, aby podstrzelił on chociaż jednego zająca.

Od ojca nie raz dostawało się mi za figle. Lecz jeden przypadek, który wstrząsnął mną i ukazał rodzicielskie uczucie, pamiętam do dziś.

Miałem pięć lat, zaczęła się wiosna. Pod oknami stukały krople wody, ze strzech spadały sopele, rozbijając się z brzękiem, jak szkło. Na polach były widoczne już bruzdy ziemi, smutno stał las w czerni. W izbie było cicho, nudno i sennie. Mój brat, przysiadłszy na progu, z zapalem majstrował domek dla szpaków, a ja wlałem na szafę i znalazłem na półce puszkę po herbacie. Otworzyłem ją z wysiłkiem. Leżały w niej pięknie pomalowane papierki. Ucieszony ciekawym znaleziskiem, pobiegłem do sąsiadki, do czarnowłosej, smagłej dziewczynki, Niny. Nina od razu miała pomysł:

— Ja mam nożyczki... Będziemy wycinać obrazki i naklejać na okna...

Przy tym zajęciu zastała nas matka Niny. Wykrzyknęła ona:

— Co wy robicie, przeklećci?... To są przecież pieniądze!

Wszystkie pieniądze zostały pocięte na kawałeczki.

Wkrótce przyszedł ojciec. Spojrzał na mój wyczyn i jęknął:

— Krowę pocięł!

Ojciec przez dłuższy czas zbierał pieniądze, aby kupić krowę. Nigdy przedtem nie widziałem papierowych pieniędzy i pociąłem je nożyczkami, jak zwykle papierki.

Zrozumiawszy całą tragedię swojego postępowania, płakałem. Ojciec wziął mnie na ręce i poniósł do domu. Objąłem go za szyję i przytuliwszy się do kłacej, nie ogolonej twarzy, prosiłem:

— Tatusiu, przebacz, więcej nie będę...

— Tak i więcej też pieniędzy nie mamy – ze smutkiem odpowiedział ojciec.

Ojciec nie ukarał mnie, wybaczył...

Ojciec nigdy nie chodził do cerkwi, a gdy mówiono o religii, mówił:

— W Boga wierzę, a w popów nie wierzę. Nie ma w ich życiu prawdy Chrystusowej. Piją samogon, jak i my, grzeszne...

Moja matka była bardzo religijna. Całe jej życie było związane z cerkwią, z wykonywaniem obrzędów, przestrzeganiem postów i świąt. Pamiętam, jak kiedyś na Wielkanoc, wychodząc do sąsiedniej wsi na wieczorne nabożeństwo, zabrała i mnie. Zapach kadzidła, wosku, smolnych jodłowych gałązek, którymi była usłana podłoga, blask ikon, migotanie świec, mieniący się złotem wielki zyrandol, chór i basowy głos kapłana – wszystko to na długo utrwaliło się w mojej pamięci. Matka stawiała świece i długo się modliła przed ikonami, klęcząc na kolanach. Przysłuchiwałem się jej szeptowi, jej częstym westchnieniom i zaczynałem rozumieć, że matce żyje się bardzo ciężko, że skarży się Bogu i oczekuje od Niego pomocy.

W cerkwi szybko zaprzyjaźniłem się z miejscowymi chłopcami. Oni zaprosili mnie do klubu, który znajdował się naprzeciwko. W tym czasie przedstawiano tam antyreligijną sztukę, grała harmonia, podpite głosy podśpiewywały diemianowskie czastuszki:

„Zdzierał ceny z nas tata,  
Martwym ulgi nie dawał,  
A teraz za chleb powszedni  
Zaczął bydło pasać nam”.

Klub przepelniony był młodzieżą, unosiły się obłoki dymu z machorki, pod nogami trzeszczały łupiny po pestkach słonecznikowych. Z wielkim trudem dotarłem na podwórko. Wyświetlano tam film. Na ekranie biegały postacie, strzelali z armat, paliły się domy. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy obraz filmowy i tak nim się zachwyciłem, że zupełnie zapomniałem o matce i cerkwi. I dopiero wtedy, gdy wokół cerkwi rozpoczęła się procesja i śpiew chóru, gdy rozpoczęło się tradycyjne strzelanie, przypomniałem o matce i z wielkim trudem odnalazłem ją wśród kobiet, które wokół budynku cerkwi rozłożyły wielkanocne baby i jajka do poświęcenia. O świcie wyruszyliśmy do domu. Szaroniebieskie niebo szybko się rozjaśniało, zza lasu majestatycznie wypłynął czerwony dysk słońca, zaczynały śpiewać ptaszki. Konik, wyczuwając bliskość domu, biegł z chęcią. Po drodze matka wspominała mi:

— Ja ciebie do cerkwi wzięłam, abyś ty do Boga się pomodlił, a ty, do szatana uciekłeś... Ukarze ciebie Bóg za to chorobą lub czymś innym...

— Wszystkich ukarze, kto był w klubie? – zapytałem.

— Wszystkich ukarze, oczywiście, wszystkich. Tylko nie wszystkich od razu, nie w jednym czasie, ale Bóg wszystkich bezbożników ukarze... Bój się Boga, synku, bój się...

Matka zauważyła na mojej twarzy skruczę i dodała:

— Bóg, On jest dobry, jak dobry ojciec: kto pokutuje, temu przebacza... Tak i ty się módl do Boga, a On zmiłuje się i wybaczy twój grzech.

— A jak się modlić, mamó? – zapytałem.

— Módl się tak: „Ojcze nasz, którzy z nim są w niebiesiech...”.

— A co to „z nim są”, mama?

— O tym dobrodziej wie...

— Dlaczego nie spytałaś go?

— A czyż można, synku, wiedzieć wszystko o wszystkim?

W Wielkanoc cała wioska zwykle spała do obiadu. W południe ożywała. Gwar-na dzieciarnia wylegała na drogę, jak kurczęta z koszyka. Rozpoczęły się zabawy.

W drugim dniu wielkanocnym przyjeżdżali do nas goście: zięć Szczepan, wujek Jegor, tęgi blondyn z mądrymi oczami, i jego dorośli synowie – Andriej i Mitrofan. Na stole pojawiała się ćwiartka mocnego, niebieskiego samogonu, szynka, ciasto, jajka. Wszyscy stawali w rzędzie pod ikonami, a wujek Jegor czytał modlitwę „Ojcze nasz”, szeroko przeżegnując siebie krzyżem. Rozpoczął się obiad.

Nigdy nie widziałem ojca pijanego. Pił on chytrze, małymi łydkami, ale lubił ugaszczać innych. Nasz zięć, po dziecięcemu wstydlivy, cichy, potulny i słabowity człowiek, po pierwszym kieliszku od razu się zmieniał. Każde nieostrożne słowo współbiesiadnika mogło go urazić i spowodować gniew. Stawał się zaczepny, ze wszystkimi zadzierał, tłukł naczynia i przeklinał. W takich przypadkach ojciec zawsze zawnazę przygotowywał sznur. Uważnie śledził on postępowanie zięcia i gdy tylko jego zachowanie przekraczało granice, dawał sygnał synom wujka Jegora. A ci, kładli go na podłogę i wiązali sznurem. W tym czasie zięć walił głową o podłogę, gryzł, płakał i przeobrażał się w niemożliwie silnego człowieka. Związanie go nastęrczało niemało trudu. Później pogrążał się w głębokim śnie. Rano prosił wszystkich o przebaczenie, wstydlivie się uśmiechał i czerwienił, gdy mówił do ojca:

— Wybaczenie, więcej już tego nie będzie. Obiecuję już nie pić...

Oczywiście, tych obietnic nie dotrzymywał.

Zdarzało się, że za stołem ktoś z gości zaintonował starą, smutną pieśń, inni ją podchwytywali. Izba trzęsła się od mocnych, męskich głosów. W pieśni wylewał się cały smutek ludzi. Później ojciec brał skrzypce, podstrajał je prawie przy samym uchu i, machnąwszy smyczkiem, zaczynał swoją ulubioną pieśń:

„Step i step w koło,  
Wije się daleka droga,  
A w głuchym stepie  
Umierał woźnica”.

Wszyscy podchwytywali pieśń, włącznie z kobietami, a ja, wyglądając zza pieca, patrzyłem, jak szeroko otwierały się bezzębne usta wujka Jegora i jak, schyliwszy się nad stołem, smutnymi i mętnymi oczami spoglądał przez okno Szczepan.

W świąteczne dni w wiosce dużo się piło. Narodziny, chrzciny, Wielkanoc – nigdy nie odbywały się bez draki. Awanturowali się zaciekle i ostro, niekiedy bez powodu, używając nie tylko pięści, lecz i butelek, i kłonic.

Na drugi dzień, po wytrzeźwieniu, się jednali i znowu zaczynało się pokojowe, pracowite życie wsi.

Tak było w latach NEP-u.

Rozwiązła, awanturującą się Ruś, zwaną świętą, czekały ciężkie czasy. I one przyszły.

## Tajemniczy nieznajomy

W styczniu 1927 roku w naszych stronach utrzymywały się srogie mrozy. Surowe, mroźne wiatry i duże opady śniegu, trzymały ludzi w chatach. A by nie zgubić się i nie zamarznąć w długiej i głuchej drodze, w tych dniach nie chodziłem do szkoły.

Pewnego razu, rano, ktoś do nas zapukał. Matka otworzyła drzwi. Do chaty wszedł człowiek w półkożuszkach, z gęstą, pokrytą szronem brodą. Zdjął czapkę, strząsnął przy progu śnieg. Na chudej twarzy z głębokimi, mądrymi oczyma, pojawił się usprawiedliwiający uśmiech.

— Pokój wam, chrześcijanie – przemówił wyraźnym, śpiewnym głosem. – Czy nie można u was się zagrzać...?

Chętnie daliśmy mu miejsce przy żelaznym piecu. W tych dniach ciągle w nim się paliło.

— Zmęczylesz się biedaku? – zapytała matka życzliwie. – Może by wypić herbaty?

Nieznajomy się zgodził.

Jak nam powiedział o sobie, był wędrującym szewcem. Szedł on od wsi do wsi, zatrzymywał się tam, gdzie znalazł pracę. Takie zajęcia znalazł i u nas.

— A o zapłatę nie pytajcie – oświadczył, gdy zauważył, że matka szuka sposobności, aby zapytać o cenę.

— Ja żyję nie dla siebie, a dla biednych ludzi, co kto da, to i dobrze.

Pracował on u nas tydzień, siedząc przy oknie, gdzie było dużo światła. Podobał się nam jego wesoły, towarzyski charakter, a najbardziej to, że nie palił i nie jadł mięsa. Był on zajmującym, przykuwającym uwagę gawędziarzem. W długie zimowe wieczory, nasza chata wypełniała się sąsiadami, którzy przychodzili posłuchać człowieka, który gdzieś był.

Wkrótce szewc zapoznał się ze mną. Interesował się, czego i jak uczą nas w szkole. Wtedy chodziłem do drugiej klasy.

Matka nie bez dumy opowiadała szewcowi o mnie półszepem:

— On u nas najbardziej bystry. Nauczył się czytać zanim poszedł do szkoły. Ciągnie go do książek, jak do miodu.

Raz szewc zapytał mnie:

— Lwa Tołstoja czytałeś? Słyszałeś o takim pisarzu?

— A jakże? „Hadzi Murata” czytałem, „Kornieja Wasiliewa” czytałem, jak on z domu odszedł, a później znowu wrócił. Bardzo dobre opowiadanie. Tak było z naszym sąsiadem...

— Jeszcze, co czytałeś?

Nic innego nie mogłem przypomnieć.

Tego wieczoru czytałem przy kopcącej, z rozbitym szkłem, lampie, z wypisów starszych klas, opowiadanie Tołstoja „Po balu”. Przyszli sąsiedzi. Słuchali z uwagą. Szewc często przerywał czytanie i wyjaśniał:

— Oto, jak było w świętej Rusi... Kameleony jakie... Na balu – bohater, rycerz, ręce damom całuje, a z ludźmi – kat.

— Co to są kameleony? – zapytał ktoś z sąsiadów.

— Są to małe jaszczurki, umiejące szybko zmieniać barwę. Mogą one być i zielone, i brunatne, a nawet czarne. W Afryce wojują.

— Tak i teraz jest. Zawsze tak było – dokończył sąsiad.

Gdy czytałem o ukaraniu żołnierza przez zabicie kijami, szewc przerwał mi i ze smutkiem przemówił:

— Oto, tak i Chrystusa bili. A za co? Za to, że przyniósł On człowiekowi światło, nauczał go kochać bliźniego. A ludzie Go położyli na krzyżu i gwoździami przybili.

— To Żydzi zrobili, oni i odpowiadać będą – ktoś głośno powiedział.

— A my, czy lepsi od Żydów? – zapytał inny.

— Dla dobrych ludzi i teraz nie ma miejsca na ziemi: nie zabijają, to na Syberię ześlą.

— Tak, Żyd do tego nic nie ma – zauważył szewc – Chrystusa ukrzyżowały nasze grzechy.

— Co było dalej? – zapytałem, zainteresowany historią Chrystusa.

Szewc kontynuował:

— Sześć godzin wisiał On na krzyżu. I umarł. Zdjęli Go z krzyża i pochowali w grocie Józefa...

— Później, na trzeci dzień, Chrystus zmartwychwstał – do rozmowy wtrąciła się matka.

— On zmartwychwstał w duchu i w prawdzie – wyjaśniał szewc. – Jego idee i teraz żyją.

Długo szewc opowiadał o nauce Chrystusa. Za oknem szalała zamieć. Skute mrozem okna stopniowo odtajały: przez cały wieczór do żelaznego pieca wrzucano drewno. Stary kot ze zrudziałą od ognia sierścią drzemał obok pieca, poruszał uszami, jakby przysłuchiwał się cichej rozmowie brodatego nieznanego.

Matce jedno nie podobało się: przed snem szewc „tworzył” od siebie modlitwę, ale nie żegnał się, jakby stojące w kącie ikony nie były dla niego. Matka nie pytała się, co to znaczy, ale w rodzinnym kręgu uzgodnili, że on jest jakimś sekciarzem. To słowo było dla mnie największą zagadką.

Późno poszliśmy spać. Długo nie mogłem zasnąć. Niekiedy wiatr natarczywie stukał okiennicami, szumiał i wył w burzę. Myślałem o szewcu. Wydawał mi się tajemniczym człowiekiem, a jego samotne bezdomne życie powodowało we mnie żal. Wkrótce zasnąłem, a gdy się przebudziłem, szewc już siedział przy oknie za niedużym warsztatem. Stukał on młotkiem lub robił dratwę i w tym samym czasie podśpiewywał dla siebie, wydobywając przenikliwe słowa:

„Wychodzę sam na drogę  
Przez mgłę kamienista droga lśni,  
Cicha noc, pustkowie szepce Bogu  
I gwiazda z gwiazdą rozmawia”.

Przy piecu krzątała się matka. Jasny płomień palących się drew oświecał jej zmęczoną, pokrytą przedwczesnymi zmarszczkami twarz. Śpiew szewca podobał

się jej, przysłuchiwała się słowom pieśni, ostrożnie przenosząc uchwytem garnki.

Kiedy szewc przerwał pieśń i zwracając się do matki, zapytał:

— Tak wy, Ksenia Wasiliewna, mówicie, że całe życie myślicie o zbawieniu duszy, o Królestwie Bożym. A czy wiesz, że Królestwo Boże wewnątrz ciebie jest? Patrzę ja na wasze życie i myślę: świętą macie dyszę, a sama tego nie wiesz.

— Gdzie zaś nam do świętych? Nie ma dnia, aby bez grzechu przeżyć. Nie czynem, to słowem zgrzeszysz, nie słowem, to myślą.

— A czyż święci są bezgrzeszni? W ewangelii jest powiedziane: „Miłość zakrywa mnóstwo grzechów”. Co najważniejsze jest w miłości. Jeśli ona jest w sercu, znaczy i Królestwo Boże tam jest – pouczającym tonem mówił szewc.

Przysłuchiwałem się jego mowom, mało rozumiejąc z tego, co mówił. Lecz wiedziałem, że mówił on o czymś ważnym, potrzebnym każdemu człowiekowi, mówił o Bogu.

Minął tydzień. Pewnego razu wieczorem, gdy cała praca została skończona, szewc poprosił mnie o kartkę papieru. Przez parę minut myślał w skupieniu, jakby na coś się decydował, a później wyciągnął z kieszeni kawałek ołówka i zaczął pisać.

Następnego dnia, zanim się rozstał z nami, dał on mojej siostrze zapisaną kartkę papieru. Po jego twarzy przemknął i skrył się w brodzie smutek.

— No, żegnajcie... Idę na południe i z wami, prawdopodobnie, nie spotkam się na ziemi. A to ważny list. Czytajcie i pilnujcie. Starajcie się tak żyć, jak tu napisało. Przepiszcie go i dajcie innym.

Matka podała mu węzełek z żywnością i parę rubli.

— Nie, nie! – rzekł szewc. – Jestem bogaty, żyję wiarą...

Matka upierała się przy swoim. Szewc wziął pieniądze i przeliczył je.

— To dużo. Jeden rubel wezmę, na wszelki wypadek, a pozostałe rozdajcie ubogim w imieniu Chrystusowym.

— Weźcie chociaż to... Takie chłody, przeziębicie się – nalegała matka, proponując mu wełniany szal. Ale i szala odmówił.

Żał mi było rozstawać się z szewcem. Przez tydzień zdążyłem się przywiązać do niego. Chwilę później wyszedłem na drogę. Znowu rozpoczynała się zadyмка, wiatr zawiewał śniegiem drogę. Nieznajomego więcej nie spotkałem.

Później się dowiedzieliśmy, że tajemniczy nieznajomy był wędrującym tołstojowcem. W sąsiedniej wsi spędził on miesiąc. Tam więcej mówił o sobie, o nauce Chrystusa. Lecz o podobnym liście, który pozostawił nam, nikt nie opowiadał. A napisał on w przybliżeniu to:

„Odchodząc od nas, Jezus Chrystus, nakazał nam kochać Boga i bliźniego swego, jak siebie samego. Chrystusa ludzie ukrzyżowali na krzyżu za dobre uczynki, lecz Jego przykład pozostał żywy na wszystkie czasy dla wszystkich ludzi. I ja wam mówię: nie gniewajcie się, nie klnijcie, nie kłamcie, odpuszczajcie przewinienia, pomagajcie tym, kto jest biedniejszy od was i wy doznacie zaszczytu bycia synami ludzkimi. Wasze szczęście jest w waszym sercu. Dlatego oszczędzajcie serce przed grzechem. Kochajcie i miłujcie. Jeśli będą was bić, nie unikajcie uderzeń. Zwyciężajcie zło dobrem. Światłość zwycięża ciemność, a prawdziwą światłością jest nauka Chrystusa”.

Tak pierwszy raz się dowiedziałem o istnieniu Ewangelii. Dużo myślałem o tej

księdze i gotów byłem oddać wszystko, aby ją przeczytać.  
Piętnaście lat później przeczytałem Ewangelię.

## Pamiętne dni

„Tak. Dzieciństwo zranione na wylot,  
Zatrzymaj się w lesie, szepnij:  
Po cóż brzozy piłują  
I karczują pnie?”

Iwan Jelagin

Niskie, szare niebo wisiało nad poczerniałym lasem, nad wioską otoczoną pasmem brzoźowego zagajnika. Pofalowane błota, zrudziała turzyca, drobne zarośla i skrawki zebranych kartoflisk – oto listopadowy pejzaż naszej miejscowości.

Był przygnębiający, szary, zimny dzień. Szedłem ze szkoły przez las na skróty po znajomych ścieżkach, skracając długą drogę. W lesie było cicho i po jesiennej nudno. Bladożółte liście stosami leżały na szarej ziemi. Część ich była jeszcze na drzewach. Po deszczach, na poboczach dróg, przy pniach, o tej porze rosły opieńki. Zdjąłem bluzę, zawiązałem rękawy i napełniłem ją grzybami.

Wkrótce nastąpił wieczór. Jesienny mrok szybko zapadł nad wsią, na podwórkach leniwie szczekały psy, czuć było dymem, sianem, świeżym mlekiem i nawozem.

Starsza siostra spotkała mnie ze łzami w oczach. Jej słabe od urodzenia oczy spuchły i poczerwieniały – cały dzień płakała. Zakłopotana miotała się po izbie i żeby nie niepokoić chorej matki, mówiła półszepem:

— Boże, Boże, co mamy zrobić? Skąd takie nieszczęście?

Stałem przy łóżku i patrzyłem na chorą matkę. Mała, kopcząca lampka oświetlała jej opuchniętą do nie poznania twarz. Ciężko oddychała i nieprzytomnie wpatrywała się w niski, poczerniały sufit. Widać było, że ciężko znosiła ból.

Idź do przewodniczącego, proś konia. Matkę trzeba wieźć do szpitala – zarządziła siostra.

Przewodniczący kołchozu Kalina Naligacki, tęgi, barczysty, lat czterdzieści pięć, z kanciastą twarzą, dosłownie prosto spod siekiery, siedział w zadymionej kancelarii i o czymś myślał, nerwowo stukając palcami po stole. Jego zaczerwienione oczy spoczęły na mnie.

— Co chcesz? – zapytał skrzypiącym i przepitym głosem.

— Mama chora... Trzeba odwieźć do szpitala – zacząłem niezdecydowanie.

— Żadnego szpitala! Nie mamy wolnej siły pociągowej...

Rozplakałem się.

— Mama umrze, co my zrobimy...?

Naligacki zaczął przeglądać gazetę.

— Siostra do pracy nie wyjdzie – próbowałem grozić.

— Wyjdzie, jeszcze jak wyjdzie! – odpowiedział, nie podnosząc głowy. – Raz powiedziałem i koniec. Kim ja dla ciebie? Przewodniczący, czy nie?

Naligacki był partyjny. Przysłany został z rejonu, żeby naprawić rozwalające

się kołchozowe gospodarstwo. Cała wieś bała się go. Nie powiedziawszy więcej ani słowa, poszedłem do domu.

Matce się polepszyło, lecz szybko się denerwowała i próbowała nas pocieszyć:

— Nie nieszczęścia, dzieci. Bez lekarza się obejdzicie. Jeśli Bóg zachce – przeżyję, a

jeśli nie – to Jego wola. I żaden lekarz nie pomoże. Tylko by kawałeczek śledzika. Słonego się chce...

Wtedy w całej wiosce nawet nikt nie pamiętał śledzia.

Na drugi dzień rano, gdy wioska jeszcze spała, poszedłem do miasta, z trzema rublami w kieszeni, prezentem od brata. Starszy brat w tym czasie spełniał wojskowy obowiązek w Czerwonej Armii. Szesnaście kilometrów do miasta szedłem bez odpoczynku. Chciałem dogodzić chorej matce, uczynić jej przyjemność – kupić śledzia. I jakież było moje rozczarowanie, gdy we wszystkich znanych mi sklepach nie było nie tylko śledzi, ale w ogóle żadnej ryby. W sklepach rybnych sprzedawano ocet i zapalki.

Być może w tym czasie było to dobrze: sól dla matki, chorej na zapalenie nerek, była skrajnie niebezpieczna.

Wróciłem do domu późnym wieczorem. Matka mało mówiła. O śledziu więcej nie wspominała.

— Gdzież to, synku, był? – zapytała matka, ledwo wydobywając słowa.

Nic nie odpowiedziałem, aby nie powiedzieć matce nieprawdy.

Po paru dniach było jej jeszcze gorzej. Jeszcze bardziej opuchły jej nogi, ręce, twarz, była nie do poznania.

— Podejdz, synku, do mnie – rzekła raz matka rano. – Umrę. Nie przeżyję – wyszeptwała.

— A ty nie płacz, synku... Ja ciebie wymodliłam u Boga...

Z wielkim wysiłkiem podniosła rękę i położyła mi na ramieniu. W jej dużych, przesiąkniętych miłością oczach, były łzy. – Jedno proszę cię, synku, módl się do Boga – mówiła, prawie że nie było słyhać. – On pomoże... On...

Matka zamknęła oczy i parę minut leżała nieprzytomna. Patrzyłem na nią przez zasłonę łez i nigdy mi matka nie wydawała się tak droga, bliska i potrzebna, jak w tej chwili.

Siostra pośpiesznie wysłała mnie do cici. Mieszkała ona w chutorze, trzy kilometry od nas.

— Powiedz, mama umiera... Niech szybko przyjdzie.

Nie wierzyłem temu i z taką nowiną poszedłem niechętnie.

Na polu padał mokry śnieg. Padał mi też za kołnierz i zaślepił oczy. Na polanie, za wioską, gdzie stał wielki rozrośnięty dąb, nieoczekiwanie, prosto przede mną spadła wrona, lecz, ledwo trąciwszy ziemi, machnęła skrzydłami, trwożliwie zakrakala i odleciała w las. Przyjąłem to za zły znak.

Pierwszy raz z trwogą pomyślałem: co będę robił, jeśli mama umrze? Dokąd pójde? Kto będzie ze mną?...

Do domu wróciłem z cicią. Matka, ubrana w szarą suknię, której nigdy przedtem u niej nie widziałem, leżała na szerokiej ławie. Nad jej głową blado migotał ogarek świecy. Jak nigdy, czuć było w domu woskiem i naftaliną. Z policzków matki jeszcze nie znikły przedśmierne rumieńce. Opuchlizny na twarzy jak gdyby

nie było. Długo wpatrywałem się w jej twarz i wydawało mi się, że ona zaraz otworzy oczy i powie:

— No, jak, synku? Zmęczyłeś się? Włącz na piec, ogrzej się... Ale to nie mogło się zdarzyć. Matka zamilkła na wieki. Skurcz w gardle wstrzymał mój oddech, wyszedłem do szopy, gdzie mieliśmy złożone drewno, i schowawszy się w ciemnym kącie, pierwszy raz po dziecięcemu, szczerze i płacząc, modliłem się do Boga:

— Boże, pomóż mi, sierocie... Teraz jestem jeden...

Z powodu swoich słów jeszcze bardziej się rozplakałem.

Następnego dnia, rano, chata wypełniła się sąsiadami. Do wieczora przyjechali dalsi krewni. Każdy chciał wyłakać swoją gorycz. Nie płakał tylko towarzysz przewodniczący kolchozu. Jak przedtem, chodził on po wiosce pijany, kiwając się z boku na bok. Do nas nie zaszedł ani razu.

Matka miała ostatnią wolę: pogrzebać ją według prawosławnego obyczaju, z kapłanem. Lecz nie udało się nam wypełnić jej prośby. Jedyńy na całą okolicę kapłan, ojciec Wasilij Tiszczenko, cichy, uczynny, dobroduszny człowiek, odmówił przybycia na pogrzeb.

— Znowu mnie posadzą – mówił na usprawiedliwienie. – I tak podatki duszą, nie ma ratunku, a pojechać do was, do innej wioski, wtedy zeznawaj, szukają kto wzywał...

Jeszcze jedno nieszczęście wypadło nam: nie było desek, żeby zbić trumnę. Pod koniec drugiego dnia, gdzieś znalazły się dwie osikowe deski, z których zrobiłem trumnę.

Matkę pogrzebano w niepogodę. Niebo płakało deszczem i śniegiem.

Ciemnoszare chmury nisko płynęły nad cmentarnymi drzewami. Stałem nad mogiłą matki i przelykałem łzy, lecz one nie były słone. Może dlatego, że było ich dużo.

W nocy nie mogłem zasnąć. Na podwórku zrywał się wiatr. Miałem bolesną świadomość, że w grobie, w którym pogrzebana została matka, jest ciemno, zimno i nie ma powietrza.

Parę dni później miałem sen: matka stała w drzwiach, w tej samej szarej, nie noszonej sukience. Chciałem rzucić się jej na spotkanie, ale nie mogłem: coś trzymało mnie w miejscu.

— Jest mi dobrze, bardzo dobrze, synku – rzekła matka głuchym, nienaturalnym głosem. – U nas wszystkim jest dobrze.

Wkrótce się przebudziłem. W podnieceniu biło mi serce. Żałowałem, że nie zapamiętałem twarzy matki i nie powiedziałem jej ani słowa. A do powiedzenia miałem wiele.

Tak rozpoczęło się życie.

## Wchodzenie w świat

„Kto nie pamięta przeszłości,  
Ten żyje bez przyszłości”.  
(Mądrość Wschodu)

Najlepsze nasze wspomnienia związane są z dzieciństwem i nie dlatego, że wtedy żyło się lepiej, a dlatego, że my sami byliśmy lepsi.

Gdy mój ojciec opuścił wieś z powodu szyszan, okazało się, że zostałem wyrzucony na ulicę. W tym czasie w poszukiwaniu kawałka chleba chodziło wielu, pozbawionych opieki. Przyjąłem radę starszej siostry i nająłem się jako pomocnik pastucha Anufricza. Jadaliśmy wspólnie, kolchoz naliczał mi pół dniówki, a ja byłem dumny ze swojej własnej wypłaty.

Ciężko mi było budzić się rano. Sen na tyle mnie opanowywał, że siostra nie raz lała wodę na moją głowę. Wstawałem, w biegu przecierałem oczy i włókłem się za stadem, mokry do pasa od gęstej rosy.

Letnie dni przy stadzie bardzo się dłużyły. Czas się ustalało według słońca. Wiele razy mierzylem swój cień. Gdy cień się mieścił w moich dwóch krokach, pędziliśmy stado na Spalone bagno do „zagrody”. Tam Anufricz rozpałał ognisko, wrzucał do niego wilgotne sęki. Dym był doskonałym środkiem przeciwko natarczywym zastępom nocnych owadów i komarów.

Obiad przynosili nam ze wsi, każdego dnia ktoś inny: garnczek ciepłej kartoflanki z podsmażoną cebulą, parę kromek chleba i dzbanek mleka.

Przeżegnawszy się krzyżem, Anufricz szeptał swoją modlitwę, później zwykle łamał chleb i podając mi dobrą część, nigdy nie zapomniał powiedzieć:

— Bierz, co Bóg posłał. Wzmocnij się, młodzieńcze.

— Jakże Bóg posłał, jeżeli nam ludzie przynieśli? – zapytałem raz.

Staruszek surowo spojrział na mnie i rzekł:

— A Bóg, jak posyła? Z nieba kawałeczki rzuca, czy co? Właśnie tak, przez dobrych ludzi, i karmi biednych...

— A bogatych, kto karmi? – zapytałem.

— Kto u nas bogaty? Wiesz, teraz u nas równość: wszyscy biedni.

— Wszyscy? Nie wszyscy – sprzeciwiłem się. Wczoraj dyrektor przyjechał do kolchozu samochodem. Wszystko błyszczało, jak nowe. Dyrektor – nie biedny...

— No, przyjacielu, to ludzie szczególnego rodzaju, partyjni. Nie równać się nam.

Anufricz nie lubił moich pytań, nie był ze mną rozmowny i często milczał. Po obiedzie wybierał sobie miejsce pod drzewem i się układał do spania. Ja swój obiad jadłem szybko, później kładłem się na plecach i długo, czasem do łez, wpatrywałem się w zagadkowe, niebieskie niebo.

Patrzanie w niebo – było moim ulubionym zajęciem. Bydło się chowało w zaroślach przed upałem, a ja mogłem długo leżeć i się oddawać swoim myślom.

Ptasi chór, nie patrząc na południowy skwar, śpiewał swoje pieśni nie milknąc. Obok, z rozchylonymi, bezzębnyimi ustami, chrapał Anufricz. Monotonnie, jak osłabła struna, brzęczały owady.

— Jak wszystko pięknie zbudowane jest na ziemi! – myślałem sobie. – A kto

wie, jak się pojawiła ziemia i pierwszy człowiek na niej? Co było na początku? Paweł Diemianicz, miejscowy nauczyciel, mówił: „Nie wierzcie popowskim bajkom. Ziemi nie stworzył Bóg, gdyż Boga nie ma. Ziemia powstała ze słońca, a słońce powstało samo z siebie. Naukowo udowodniono...”.

— Leczą, dlaczego teraz nic nie powstaje samo z siebie? – powstało nierozstrzygalne pytanie. – Tak więc, przypuśćmy, moja łyżka. Sama z siebie ona nie powstała. Ktoś ją zrobił. A jak taka ogromna i piękna ziemia, a na niej kwiaty, łąki, lasy, rzeki, góry – jak to wszystko mogło powstać samo z siebie?

— Człowiek powstał z małpy, mówi nauczyciel. – Anglik Darwin udowodnił to.

— Załóżmy, że to tak – myślałem. – Od kogo zaś małpa pochodzi? – Od bardziej prostszego zwierzęcia. – A to, prostsze zwierzę, skąd pochodzi? – Z żywej komórki.

O komórce miałem wtedy bardzo abstrakcyjne pojęcie, lecz moje myśli na tym nie zatrzymywały się, ale podążały ciągle w tym kierunku:

— A ta, żywa komórka, skąd się wzięła? Jak ona powstała? – „Z wody i powietrza” – wyjaśnił nauczyciel. – A woda i powietrze, jak powstały? – „Woda i powietrze zawsze były” – mówił nauczyciel.

Odpowiedź nauczyciela nie podobała mi się. Czuję, że coś jest nie tak. Jeżeli pierwsza komórka powstała z wody i powietrza, to dlaczego teraz nie powstają te żywe komórki z wody i powietrza?

Leżąc na plecach, starałem się przypomnieć każde słowo, które wypowiedział nauczyciel. W mojej głowie dojrzało wiele pytań. Stały one przede mną, jak niezwykłe olbrzymy. Z niecierpliwością myślałem o tym dniu, gdy zostawię stado i znowu pójdę do szkoły.

Wszystkie moje myśli kończyły się na żywej komórce. Dalszej drogi nie było. Wiedziałem, że istnieje mikroskop, ale nigdy go nie widziałem, i chciałem spojrzeć na to tajemnicze stworzenie – żywą komórkę, jak na wielki cud, początek wszystkich początków.

Pastuch Anufricz, z białą, jak liść kapusty, rozłożystą brodą, nie mógł zaspokoić mojej ciekawości. Rozciągając słowa, ochryplym z przeziębienia głosem, powtarzał wciąż te same zdania:

— Zepsuł się naród. Zupełnie się zepsuł...

Surowo, z wyrzutem spoglądając na mnie, nerwowo mówił:

— Mleko na ustach nie wyschło, a patrzcie dokąd ciebie ciągnie! Powiedz mi, ile lat ma ziemia? Dziwak jesteś, młody! A czyż komu wiadomo?

Staruszek zwięźzał i bez tego już wąskie, zawsze opuchnięte oczy, z gęstymi brwiami, i podnosił twarz ku niebu, jakby tam szukał odpowiedzi na moje pytania.

Po minucie, wieloznacznie mówił:

— Bóg wszystko wie. A my kim jesteśmy? Nam nie dano dużo wiedzy.

Na tym nasza rozmowa się kończyła. Anufricz niechętnie wstawał, leniwie rozprostowywał nogi, otrząpywał podarte ubranie i, jakby na zakończenie, cedził słowa ze szczególną, śpiewną intonacją:

— Ty, miły, byś porozmawiał z naszym kapłanem. Ot, światła głowa! Mądrała. Ten wszystko wie. On mi mówił: „Cała ziemia Słowem stworzona”. A jakim Słowem? – na to odpowiedzi nie daje, się boi...

— Kogo się boi? – zapytałem.

— Władzy... Sprawa jego zakazana. Pszczelarzem się stał. A no, tak przy-

szło. Trzymaj, miły, język za zębami, dłużej pożyjesz.

Niekiedy w myślach przenosiłem się do nie znanych mi, dużych miast, w których żyją wszytkowiedzący, uczeni ludzie.

Wkrótce w dziwny sposób złożyły się okoliczności i po skończeniu szkoły siedmioklasowej, trafiłem do miasta. Zostałem tam przyjęty na przyspieszone kursy przygotowawcze.

Były to ciężkie lata. Władza płaciła mi 40 rubli miesięcznego stypendium, ale żeby przeżyć za te pieniądze, trzeba było zrezygnować ze śniadania, a na obiad brać funt chleba i trochę cukru. Dwa razy w tygodniu mogłem pozwolić sobie na pójście do studenckiej stołówki, aby kupić talerz gorącej zupy i kubek kisielu.

Nie lepiej wyglądała sprawa i z ubraniem. Nawet i później, gdy otrzymałem sto rubli na miesiąc, w jednej bluzie „rubaszce” chodziłem na zajęcia przez cały rok szkolny. Gdy zaczynała błyszczeć od brudu, zdejmowałem ją przed snem, prałem w umywalce, prawie bez mydła, gdyż mydło kosztowało drogo. Przez noc bluza wysychała, gniotłem ją w rękach i rano znowu była na moich ramionach.

Ciężkie były ostatnie godziny zajęć. Z powodu myśli o jedzeniu, usta napęłniały się śliną, w żołądku pojawiał się ból, mdłości. W jednym z takich momentów patrzyłem na tablicę, na której nauczyciel rozwiązywał zadanie z geometrii, a myślałem o czymś innym: jak i gdzie dziś zjeść obiad? Do pobrania stypendium pozostało jeszcze parę dni, a w kieszeni było tylko 30 kopiejek. U przyjaciół już miałem dług.

Nauczyciel matematyki, kulawy, w nieokreślonym wieku człowiek, z kobiecym i jednocześnie surowym wyrazem twarzy, zawsze z czegoś niezadowolony, z oczu potrafił czytać myśli studentów. Wezwał mnie do tablicy:

— W., rozwiązujcie dalej zadanie!

Wyszedłem ociężałe, jakby na egzekucję. Pocilem się, rozwiązywanie szło wolno, lekcja się przeciągała, a nauczyciel siedział z wykrzywionym wyrazem twarzy, jakby w ustach miał ocet, i milcząc spoglądał na mnie. To jeszcze bardziej mnie peszyło. W końcu wstał i szybko wygłosił:

— Zadziwiająco zdolny młodzieniec, lecz okropny leń.

Ostatnie słowa szczególnie zaakcentował.

Zadzwoił dzwonek.

Czy nauczyciel wiedział, że w tej chwili szary banknot rublowy był moim najskrytszym marzeniem? Po lekcji, na gwarnym i zatłoczonym korytarzu, nauczyciel podszedł do mnie, położył rękę na ramieniu i zajrzał w twarz współczującym wzrokiem.

— Krukowi Bóg posłał kawałek sera – rzekł żartobliwym tonem i coś wsunął do mojej kieszeni. – Trochę nie miałem racji – dodał z zakłopotaniem.

Gdy znikł za drzwiami pokoju nauczycielskiego, znalazłem w swojej kieszeni niedbale zwinięty banknot pięciorublowy.

Przypomniałem pastucha Anufricza i zgodziłem się z jego słowami:

— Przez dobrych ludzi Bóg biednych karmi...

## Dobra dusza

W zimne, grudniowe dni 1939 roku, gdy mróz na oknach nie puszczał od paru dni pod rząd, pozostawiłem ponury studencki internat i wynająłem tani pokoik w oddalonym i głuchym rejonie miasta N.

Stary, przygarbiony domek z dwoma pokojami i paroma komórkami, stał zasypany śniegiem w głębi ogrodu. Wiosną bujnie kwitła tam czeremcha.

Gospodyni domu, Praskowia Wietkowska, samotna, przez wszystkich zapominiana staruszka, z czystym, dobrodusznym spojrzeniem, w chustce, przykrywającej głowę prawie do brwi, zaproponowała mi jedną z komórek, z łóżkiem, stolikiem, dwoma krzesłami. Nieduża cena była na moją kieszeń.

Praskowia Iwanowna lubiła długo przesiadywać przy samowarze, rozmawiać z kotem i pić brunatną, lipową herbatę. Gdy rano, oczyściwszy dróżki ze śniegu, wybierałem się na uczelnię, ona przynosiła mi filiżankę słodkiej herbaty i życzliwie się uśmiechając, mówiła:

— Ogrzej się, młodzieńcze. Ta herbatka jest pożyteczna, zdrowotna. Ja całe życie piję i do lekarzy drogi nie znam.

Kiedyś, w czasie wykładu, poczułem się źle. Wróciwszy z zajęć przed czasem, już w korytarzu usłyszałem dźwięki śpiewanej modlitwy. Wyływały one, jakby z piwnicy. Słabe głosy staruszków śpiewały każdy sobie. Podśpiewując grubemu basowi, słańbutki dyszkant powtarzał jedne i te same, niewyraźne słowa. Śpiewano w pokoju mojej gospodyni.

Ostrożnie wszedłem do swego pokoiku i ległem na łóżku. Śpiew pobudzał we mnie wspomnienia, dotykał serca, a częste powtarzanie „Panie, zlituj się”, przypominało mi to nabożeństwo cerkiewne, które słuchałem kiedyś w dzieciństwie.

W mieście do tego czasu nie było już ani jednej otwartej cerkwi, chociaż dziesiątki kopuł bez krzyży wciąż jeszcze widniały nad szarymi, jednolitymi domami, nad rzadkimi zagajnikami i ogrodami. Cerkiewne pomieszczenia wykorzystywane były do potrzeb gospodarki narodowej, do „kulturalnej i wychowawczej pracy”, jako magazyny, kluby, czytelnie, muzea itp.

Przez odtajane w ciągu dnia okno widać było cichy, zaśnieżony ogród. Dwa, trzy ptaszki skakały po gałązkach. Milczące drzewa bezszelestnie osypały szron. Dzień niepostrzeżenie kończył się, czerwone słońce wątlymi promieniami ślizgało się po dachach sąsiednich domów. W nocy znowu brał się mróz.

Przez cały dzień nie jadłem i to powodowało przygębajające samopoczucie. Mimo woli zacząłem rozważać sam z sobą. Za ścianą ludzie modlą się do Boga. Mają oni wiarę, mają jakąś tam nadzieję, niech nie ziszczalną, ale mają, a ja, co mam?

Należałem do kategorii młodych ludzi radzieckich, uważających religię, według Lenina, za „opium ludu”. Lecz zdarzają się w życiu chwile, gdy człowiek poczuje się pusty, śmiertelnie samotny, nieszczęśliwy i nikomu nie potrzebny. Nie ma się z kim podzielić swoimi przeżyciami, swoimi myślami. Każdy żyje swoim życiem, każdy ma swoje ły, swój ból. I wtedy człowiek mimowolnie zaczyna myśleć o sensie życia.

W sieni zaskrzypiały drzwi. Goście Praskowii Iwanownej zaczęły pojedynczo się rozchodzić. Chwilę później gospodyni zastukała w moje drzwi:

— Co z tobą miły przyjacielu? – zapytała współczująco, po macierzyńsku, czule, zaglądając w moją twarz. – Czy nie zachorowałeś?

— Troszeczkę... Przeziębilem się. Temperatura... – odpowiedziałem.

— To nie nieszczęście. Mam na poty trawkę. Od razu, jak ręką, odejmie. A my, Nikołaju, do Boga się modliliśmy – rzekła Praskowia Iwanowna, zmieniając temat rozmowy. – Co ty na to powiesz?

Gospodyni dobrze wiedziała, że domowe nabożeństwa są zabronione, że za to można ponieść karę. Lecz na jej różowej twarzy nie zauważyłem ani strachu, ani zmieszania. Odwrotnie, lśniła ona pokojem i radością.

Milczałem, nie znajdując odpowiedzi.

— I za ciebie się modliłam, żeby miłościwy Bóg pomógł ci w życiu, w nauce. Przecież tobie też ciężko się żyje. Tak, wszyscy ci studenci są męczennikami. Ilu ich widziałam – wszyscy oni cierpiący. Jakże o was nie modlić się do Boga...?

— Dziękuję, Praskowia Iwanowna. Tego właśnie potrzebuję. Trochę zachorowałem. Od ojca nic nie słysząc... Jest o co prosić Boga – odpowiedziałem.

— A czy ty w Boga wierzysz? Uczą was teraz przecież, że Boga nie ma. W miejsce Boga znaleźli jakąś tam materię. W sklepach żadnej materii nie znajdziesz, a wam, ty wiesz, o niej mówią.

— Być może, że Bóg jest, lecz ja Go nie znam. Nikt Boga nie widział.

Gospodyni stała przede mną, złożywszy ręce na piersi, i spokojnie słuchała moich wywodów. Później przysiadła na krawędzi krzesła i pouczająco zaczęła:

— Synu mój, synu, a czyż my grzesznicy możemy widzieć Boga na ziemi? Nie dano nam Go widzieć, dlatego i powiedziano: „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”.

Z tymi słowami Praskowia Iwanowna wyszła, ale szybko wróciła, trzymając w rękę starą, pożółkłą księgę i miedzianą ikonę.

— Daję tobie obrazek Matki Bożej, Orędowniczki. O wszystkich ona się troszczy, wszystkim pomaga. A tu (otworzyła księgę) jest modlitwa. „Jest godnie” się nazywa. Posłuchaj mnie starej, jak matki. Złego nie uczę, dobrego. Przepisz tę modlitwę i naucz się dobrze.

Z uwagą wpatrując się w moje oczy, jakby z nich czytając, cicho dodała, prawie szeptem:

— Jeśli chcesz u Boga dostąpić miłosierdzia – się módl. A „Ojcze nasz” ty znasz?

Potwierdzając kiwnąłem głową i na dowód tego powiedziałem modlitwę bez zająknięcia.

— Od dzieciństwa znam. Matka kiedyś nauczyła.

— To dobrze – kontynuowała gospodyni z zapalem – I „Ojcze nasz” czytaj, zegnaj się

krzyżem. Sam Chrystus uczył tej modlitwy.

Po krótkim milczeniu, mówiła dalej:

— Tylko patrz, synu, nie wszystkim o tym mów. Sam wiesz, jaki naród jest teraz. Nie wierz rodzonemu bratu... I jakby na potwierdzenie tego, dodała:

— Tak i w świętych księgach napisano: „Powstanie naród przeciwko narodowi i syn będzie przeciwko ojcu”. Tak właśnie teraz jest.

— Lecz, jakże to, Praskowia Iwanowna, wierzy mi pani? – zapytałem z dużym zdziwieniem.

— Ja wiem, ty nie donosiciel. A ja przecież nie wróg władzy. A w Boga wszystko jedno będę wierzyć, chociaż zabij. I nie jedna ja taka. Wiara, synu, duża sprawa, nieoceniona. Przecież twoja mama też wierzyła?

— O, tak – odpowiedziałem. – Ona wierzyła. Całym sercem wierzyła. Tylko, co z tego? Całe życie, do władzy radzieckiej, służącą była, się podpisać nie umiała. Wierzyła, wierzyła, a życia i tak nie widziała. Widać, że Bóg i od wierzących się odwrócił...

— To jest nieprawda – upierała się przy swoim Praskowia Iwanowna. – Bóg od ludzi się nie odwrócił, to ludzie się odwrócili od Niego. Stąd i nieszczęście na ziemi. Pomyśleć tylko, nie tylko u nas, a nawet za granicą z głodu umierają.

W tym momencie, zmieniając temat rozmowy, Praskowia Iwanowna rzekła:

— A wczoraj czytałam twoje wiersze o matce i też nie powstrzymałam. Sama wzięłam nie proszona.

Na pomarszczony policzek gospodyni potoczyło się parę brylantowych łez, lecz ona, jakby nie zauważyła, otarła je dłonią i odeszła do swojej „celi”.

Miedziana ikona, wielkości pudełka do zapalek, pokryta niebieskawym nalotem patyny, przedstawiała Marię Dziewicę z Dzieciątkiem na piersi. Schowałem ją w biurku, przepisałem modlitwę „Jest godnie”. Sens cerkiewno-słowiańskich wypowiedzi był mi mało zrozumiały i daleki od moich odczuć, lecz jak większość ludzi, skłonnych szybciej ku przesądowi niż do wiary, patrzyłem na to wszystko z wątpliwością.

Praskowii Iwanownie, prawdopodobnie, wydawało się, że ja interesuję się zagadnieniami wiary i gorliwie chciała wprowadzić mnie w prawosławie, w czczenie świętych, w post i modlitwę. Niekiedy długo jej słuchałem, szczególnie w wolne dni, gdy z powodu braku pieniędzy siedziałem w domu.

— To nic, Nikołaju, nie trap się – pokrzepiająco mówiła Praskowia Iwanowna.

— Bóg cię nie zostawi. Tylko wier. „Padną wokół ciebie tysiące i dziesięć tysięcy po prawicy twojej, lecz do ciebie nie zbliżą się”.

W rzeczywistości zaś interesowałem się religią w tej mierze, w jakiej była ona związana z historią Rosji. Historię lubię tak, jak i literaturę. Lecz dialektyczny materializm, zagadnienia leninizmu i politycznej ekonomii, zawsze odkładałem do kolokwium, a później się starałem w dwa, trzy wieczory nadrobić to, co opuściłem.

Czysta nauka historii faktycznie wtedy nie istniała. Do wypowiedzi takich historyków, jak Płatonow i Kostomarow, podchodzono dość ostrożnie. Nawet Sołowiew i Klinczewski narażali się na krytykę z powodu oceny niektórych wydarzeń historycznych. O Pokrowskim nawet mówić nie było można. We wszystkim trzeba było trzymać się surowo partyjnego punktu widzenia. Dlatego też wiele, szczególnie, gdy chodzi o zagadnienie religii, pozostawało w ukryciu, niejasne i wątpliwe.

Być może, że właśnie to powodowało moje liczne rozmowy z Praskowią Iwanowną o tym, co było. Jej matka dobrze знаła pańszczyznę. Babcia została sprzedana znanemu w naszej okolicy oprawcy, dziedzicowi. Te opowiadania wyzwały we mnie uczucie oburzenia w stosunku do władców Rosji, wyzwały nieufność do cerkwi i jej kapłanów, którzy szli zgodnie z klasą bogaczy. Lecz, gdy Praskowia Iwanowna opowiadała o bojownikach wiary, wtedy myślałem o tych ludziach, jak o bohaterach.

Razem z ciepłymi, pocieszającymi słowami, gospodyni przynosiła mi codzien-

nie talerz gorącego, smacznego kapuśniaka. Przysiadowała przy moim stole i rozpoczynała swoje opowiadania o sprawiedliwych starcach, o cudach, o życiu patriarchów Izraela. Wtedy pierwszy raz słyszałem opowiadanie o pięknym Józefie, synu Jakuba, i nie raz myślałem o napisaniu o tym poematu.

Niekiedy podejmowałem dyskusję, przytaczałem powszechnie znane fakty o niegodnym życiu duchowieństwa, a wtedy Praskowia Iwanowna szukała innego tematu lub odchodziła do swego pokoju. Widać, że i ona wiedziała o tych chorych miejscach, którymi umiejętnie posługiwali się ateści w walce z religią.

Na drugi dzień, jak tylko przychodziłem z zajęć, gospodyni znowu się pojawiała w moim pokoju z jakąkolwiek prośbą, a później, goszcząc mnie obiadem, rozpoczynała tę samą rozmowę o Serafinie Sorowskim, o Siergieju Radonieźskim i o innych pustelnikach prawosławia.

— Jakim to sposobem – zapytałem ją pewnego razu – ludzie, którzy odchodzili do pustelni, odrzucający materialne wartości, zakładali klasztory i sami się stawali wielkimi właścicielami lasów, łąk, rzek i nawet wiosek? Wygląda na to, że przeczylili temu, czego sami nauczali?

— Za moich czasów tego nie było – usprawiedliwiała się Praskowia Iwanowna. Tak, klasztory były i u nas bogate.

Wkrótce Praskowia Iwanowna kontynuowała:

— Dużo wiedzieć, to szybko się zestarzeć. Po cóż to robić? Teraz dużo wiedzą, a też dzisiaj dwie godziny za kilogramem chleba w kolejce stałam. Pan ukarał Ruś za wielkie grzechy. Bywało, w Korchowskiej katedrze dzwonią, a u nas słyhać, jak dzwony rozbrzmiewają. Prawie dziesięć wiorst będzie. A teraz i duży zmarłego nie ma gdzie wspomnieć. Pilnują ludzi, jak zwierząt...

Te opowiadania interesowały mnie nie na żarty. Żale Praskowii Iwanownej były uzasadnione. Znałem to i widziałem, jak wierząca, dobra dusza była lekceważona. Było mi jej żal i nie zauważając tego, stanąłem po jej stronie.

— Z tobą porozmawiać to dla mnie, jak herbaty popić – mówiła, odchodząc do snu. – Z tobą i mi weselej, stałeś się mi drogi. Ot, posiedzę u ciebie i duszę otworzę. Na sercu lżej...

Gospodyni nie uczyniła ze mnie religijnego człowieka, lecz spowodowała we mnie zainteresowanie duchowymi zagadnieniami, zrodziła wątpliwość w to, że dusza człowieka jest śmiertelna, że nie ma życia pozagrobowego. – Ktoś jest ponad człowiekiem – myślałem.

Wiosną, gdy błoto wysychało, kwitły klony, a słońce ogrzewało ziemię, często wychodziłem do ogrodu przygotowywać się do zaliczeń egzaminów. Do domu przychodziłem zmęczony, jak zawsze głodny i nerwowy. Praskowia Iwanowna знаła to i nie niepokoiła mnie swoimi opowiadaniem, lecz przed egzaminami nauczyła mnie jeszcze jednej modlitwy: „Módl się do Boga o mnie święty, błogosławiony, Boży, Nikołaju, jako że gorliwie do ciebie przychodzę, szybkiego pomocnika i orędownika duszy mojej” I powtarzałem tę modlitwę przed drzwiami srogięgo docenta.

Pewnego razu, zaznajamiając się z pierwowzorem okresu powstawania Rusi, zostałem głęboko poruszony opisem życia cara Jana Groźnego. Był on religijnym, pobożnym człowiekiem i w tym samym czasie wykonywał egzekucje, umieszczał imiona skazanych w spisie umarłych na wspominki, w księgach zmarłych – ogromnych księgach. Później te imiona rozsyłał po klasztorach. Niektóre z tych

spisów zachowały się do naszych dni jako historyczne pamiątki. Jeden z takich spisów – księga umarłych, został umieszczony w wypisach. Liczba ofiar religijnego cara dochodziła niekiedy do czterech tysięcy. Bracia wspominali je za szczególną wspominkową opłatą, co było też jednym z ważniejszych źródeł wzbogacania się klasztorów i cerkwi w ogóle.

Naruszając powszechną zasadę, wyniosłem ten zbiór materiałów z biblioteki, aby przeczytać Praskowii Iwanownej i przekonać ją, że religia jest czymś złożonym i niezrozumiałym. Jak było można zabić człowieka, a później modlić się do Boga o zbawienie jego duszy?

Czytałem Praskowii Iwanownej o Aleksandrowskim klasztorze, w którym Jan Groźny wybrał braci – trzydziestu opryszków (wojów), a księcia Afanasija Wiazemskiego obdarzył tytułem szafarza. Braci przyodził w zakonne skufie i czarne riasy, a sam włożył na dzwonicę dzwonić na jutrznię, później czytał i śpiewał na prezbiterium i długo modlił się na kolanach.

Praskowia Iwanowna niechętnie słuchała, ze łzami, i nie znajdowała dowodów, żeby usprawiedliwić czyny takich „prawowiernych” carów. Czytałem jej też Kliuczewskiego: „Gdy po mszy, za stołem wesola brać zakonników opijała się i objadała, car za anafiojem czytał pouczenia ojców kościoła o poście i wstrzeźliwości, później sam się objadał, po obiedzie lubił mówić o prawie, drzemał lub schodził do lochów, aby być obecnym przy przesłuchaniu „podejrzanych”.

Te fakty, jak wiele innych, odciągały mnie od religii, lecz gdzieś głęboko w sercu miałem świadomość, że ponad religią jest Bóg, jest Stwórca, którego my, ludzie, nie znamy.

Znalezienie prawdy o Bogu stało się moim najszybszym pragnieniem.

## Boży egzamin

W niedzielę, 22 czerwca 1941 roku, był ciepły, pogodny dzień. Po małym, ciuchym deszczu, który padał w nocy, poranne niebo było czyste i błękitne. Powodując zamieszanie, wróble fruwały chmarami.

W tym dniu byłem w wiosce u moich przyjaciół, siedem wiorst od miasta Nowozybkowa. Wyszedłem na łąkę, obok małej, lecz bystrej rzeczki, trzymając przy sobie postrzępione konspekty, dotyczące nowej historii. Za dwa dni czekał mnie ostatni egzamin.

W południe pogoda się zmieniła. Na horyzoncie pojawiło się parę obłoków. Zbliżały się one z zachodu, stopniowo ciemniejąc.

Byłem już na drodze do wsi, gdy z zarośli wybiegł mi na spotkanie siedmioletni chłopiec, syn mojej gospodyni.

— Wujek, wojna się zaczęła, wojna...!

— Niemcy idą... Bomby rzucają... paplał chłopczyk. – Mołotow powiedział.

— Gdzie żeś ty widział Mołotowa? – zapytałem.

— Nie widział, a słyszał, przez radio, w klubie. A ludzi tam... Cała wioska! Pędź, szybko, zobacz...

Złe przeczucia wypełniły moje serce. Wszedłem do wsi przez ogrody, na skróty. Przy gminnej radzie cisnęło się mnóstwo ludu. – Oto one, te układy – wykrzy-

kiwał podpity kołchożnik. – Ocyganił nas Niemiec. Teraz spróbuj, zatrzymaj go, kiedy on już do Mińska strugnął. Tedy i patrz, jutro będzie tu...

— Ty, stary, zamilknij! – krzyknął ktoś na kołchożnika. – Kontrrewolucji nie rozpuszczaj.

W klubowym pomieszczeniu, zatopionym w tytoniowym dymie, stał odbiornik radiowy. Nie można było tam wejść. Ludzie cisnęli się w korytarzu, pod oknami. Wśród ludzkiego zgółku słyszało się charczenie głośnika, gwizd alfabetu Morse'a. Ktoś podstroił fałę i z okna wyrwała się pieśń:

„Lecz surowo brwi zasępimy,  
Jeśli wróg zachce złamać nas.  
Jak niewiastę kochamy ojczyznę,  
Troszczymy się, jak o czułą matkę”.

Wkrótce poszedłem do moich przyjaciół przywitać się. Gospodyni płakała: starszemu synowi, Siemionowi, goniec przyniósł wezwanie. Nakazywali bez zwłoki stawić się w rejonowej komendzie z żywnością na trzy dni i parą bielizny.

— Wypijemy, przyjacielu, na pożegnanie – rzekł Siemion. – Przygotowałem pół litra na wszelki wypadek. Może ostatni raz wypijemy.

Jego ojciec, łysy, rudobrody staruszek z jednym okiem, znany na całą okolicę rybak, po drugiej kolejce rozwiązał język:

— Powiem wam, chłopcy, w tajemnicy: żal mi was. Pędzą naród na rzeź, nie inaczej. A że wojna się zaczęła, ani trochę nie żałuję. Może zmiana będzie, z więzień wypuszczają...

— Starzec spoglądał w talerz, napełniony świeżymi ogórkami i cebulą, i o czymś myślał. Z jego oka potoczyła się łza i znikła w gęstej brodzie.

— Nagrzeszyliśmy my dużo... Teraz, pewnie, zapłata przychodzi.

Stary opróżnił jeszcze jeden kubek i powąchał skórkę od chleba.

— Zobaczmy, czyja weźmie, kto wytrzyma? A cierpienie narodu wszystko jedno nie minie, na odkupienie grzechów – dodał.

— To znaczy, że wojna jest czymś w rodzaju kary Bożej? – zapytałem.

— Ot, ot, tak to i jest, synku. Dokładnie tak.

Serdecznie pożegnałem się z Siemionem. Miałem stary rower i za pół godziny byłem w mieście.

Przy wojskowej komendzie, wzdłuż ulicy, już stały furmanki. Mobilizacja odbywała się

całą parą. Przy szeroko otwartej bramie cisnęli się ludzie z tobołkami na plecach i wszyscy mówili o jednym: Niemiec zbombardował dużo miast. Jego dywizje szybko przemieszczają się na wschód. Gdzieś śpiewały kobiety, w dwóch, trzech miejscach słychać było głos harmonii. Pijane głosy we wszystkich domach śpiewały pieśń:

„Ostatni, obecny dzio...nek  
Bawię się z wami, przyjaciele...”

Siedząc na wozie, ospowata, podmalowana, młoda kobieta krzyczała:

— Przekłęte, nie dali pożyć! I mego też zabierają...

Na dziedzińcu komendy wojskowej nowo wcieleni przebierali się. Nowi naczelnicy wykrzykiwali nazwiska, liczyli, odprowadzali kolumny na dworzec kolejowy przez całe miasto.

Sprzedaż napojów alkoholowych była surowo zabroniona. Lecz ludzie, dosłownie nieprzytomni, wyszukiwali meliniarzy, pożądliwie rzucając się na wódkę.

Na targowym placu, jak raz naprzeciwko pomnika Lenina, spotkałem krajana, traktorzystę z bazy maszynowej. Objął mnie, obcałował, przytulił się mokrym od łez policzkiem i ciężko oddychając wódkowym odorem, mówił mi do ucha:

— Brachu, kasza się zagotowała nie na żarty... A po co iść walczyć, pies ich powłóć!? Za to, że ojca zgnoił w Sołówkach?

A obok tłum ludzi otoczył wesołego tancerza, kołchozowego młodzieńca. Człapiąc porwanymi butami po ulicy (rekruci ubierali się, jak najgorzej), dziarsko klaskał w dłonie i pod ryk harmonijki rzucał słowa:

I pić będziemy,  
I się bawić będziemy,  
A śmierć przyjdzie –  
Umierać będziemy.

Następnego dnia w klubie wyższej uczelni pedagogicznej odbyło się nadzwyczajne zebranie studentów. Występowali aktywiści, siarczyście przeklinali niemieckich najeźdźców, wzywali do obrony ojczyzny nie szczędząc życia. Miejscowi poeci zdążyli napisać patriotyczne wiersze, nie zapominając wspomnieć o genialnym Stalinie. Od razu po zebraniu zaczęły się formować brygady ochotników. I ja się zapisałem.

W komendzie wojskowej po szybkiej komisji lekarskiej, powiedzieli mi:

— Kierujemy was do Wojskowej Uczelni Łączności w Woroneżu. Będziecie podporucznikiem łącznościowcem.

29 czerwca byłem w Woroneżu, na ulicy Studenckiej, w głównym sztabie uczelni. Spojrzawszy na moje dokumenty, dyżurny się uśmiechnął:

— Student? Przyjmą tu ciebie, jak należy, zapał wybiją.

Po wolnym, studenckim życiu, uczelnia z żelazną dyscypliną wydawała mi się katorgą. Od 6 godziny rano do 10 godziny wieczorem – każda minuta była wypełniona. Zajęcia odbywały się według przyspieszonego programu, z takim zamiarem, żeby pod wiosnę wyprawić nas na front.

Z frontu przychodziły smutne wiadomości. Niemcy podchodzili pod Moskwę.

We wrześniu 1941 roku Niemcy bombardowali Woroneż, celnym trafieniem zniszczyli zakład lotniczy.

Musztra, czterdziestokilometrowe marsze, zajęcia taktyczne, częste alarmy bojowe w nocy, doprowadzały nas do zupełnego wyczerpania.

Pewnego razu nasza szkolne kompania miała służbę. Trafila mi się patrol w parowie, gęsto porośniętym wikliną, w pobliżu wojskowego miasteczka. Dowództwo obawiało się zrzutu desantu i każdej nocy wystawiało patrole.

Była zimna, wrześniowa noc. Od pół wiał wilgotny wiatr. Nieprawdopodobna ciemność zaślepiła oczy. Od strony miasta nie było widać ani jednego światła: w mieście obowiązywało zupełne zaciemnienie. Tylko w Cziżowkie, na pobrzeżu Woroneża, zjadale ujadły psy. Znajdowały się tam stanowiska reflektorów. Czasami przeszukiwały one niebo słupami światła.

O czym ja nie myślałem podczas tych nocnych patroli?! Lecz najwięcej myśla-

łem o sobie. Przypominały się pouczenia zmarłej matki.

— Dlaczego miałbym nie pomodlić się? – przyszła raz do mnie myśl. I zacząłem siebie ćwiczyć w modlitwie, powtarzając „Ojcze nasz”. Niekiedy modlitwę kończyłem słowami:

— A jeszcze, Boże, proszę, uczyń tak, żebym nie zabił człowieka...

Ten problem najbardziej mnie niepokoił. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak można załadować do karabinu magazynek i strzelać do żywych ludzi, nawet gdy byli to wrogowie?

Moja modlitwa nie powodowała zmiany stanu mojej duszy i samopoczucia, a wszystko jedno, wspominając matkę i jej słowa, za każdym razem chciałem pomodlić się cichaczem. I to czyniłem. Na początku listopada 1941 roku uczelnię pospiesznie ewakuowano do Samarkandy. W

drodze, po zbombardowaniu szyn kolejowych w Borisogliebsku, nowy komisarz batalionu wezwał dyżurnych wagonów.

W otwartych drzwiach sztabowego wagonu, w nowym, za dużym mundurze, stał były dyrektor naszej uczelni, kandydat nauk historycznych, Alfieriew.

Po oficjalnym meldunku zwróciłem się do niego po imieniu.

— A co to? Poznają, poznają, mój drogi. Pamiętam, jak prosiłeś o stypendium. A teraz, znaczy, w jednych szeregach. – mówił się uśmiechając.

Alfieriew zaprosił mnie do swojego, wydzielonego w wagonie „gabinetu” i zyczajnie, rzeczowo zaczął:

— Widzisz, w życiu wszystko wypada troszeczkę inaczej. Teraz przed nami egzamin, doprawdy, żyć albo nie żyć. Tak, tak... Żyć albo nie żyć. Takiej wojny w dwa tygodnie nie kończą. Nauczać dialektyki to jedno, a wywalczyć sobie prawo do życia – to drugie. Nie wszystkim to się udaje. Ucz się, mój drogi, pilnie, na froncie się przyda.

Żegnając się, Alfieriew przyłożył rękę do pilotki, która niezdarnie trzymała się na jego ogolonej, dużej głowie.

Nie za długo miałem do czynienia z surową dyscypliną uczelni. Na początku 1942 roku zostałem w pośpiechu oddelegowany z uczelni do Taszkientu, gdzie formowała się 69 dywizja.

W marcu 1942 roku dywizja została skierowana na front. Zatrzymaliśmy się w Tule. Bojowa romantyka rozplynęła się, jak dym, gdy w zniszczonej wsi Kosaja Gora na przedmieściach Tuły, pod śniegiem ujrzałem setki pozbieranych, zamarniętych trupów.

Piwnice zburzonych domów przepelnione były rannymi. Zginęli oni z powodu utraty krwi, gdyż nie było nikogo, kto by udzielił im medycznej pomocy. Byli to obrońcy Tuły, robotnicy zakładów, ochotnicy, zmobilizowane kobiety, a nawet młodzież w roboczym ubraniu.

Nieopisana zgroza ogarniała każdego, kto zaglądał do tych grobów. Niemcy już dawno odступili, a trupów ciągle nikt nie zabierał.

Spod śniegu widoczne były niemieckie samochody, porzucone kuchnie polowe, zniszczone czołgi.

Pewnego razu, w słoneczny dzień, wyszedłem z łącznościowcami na zajęcia taktyczne do cegielni, sześć kilometrów od miasta. Będąc nowicjuszami, z ciekawością oglądaliśmy niemieckie trofea. Niedaleko nastąpił wybuch, za nim drugi i trzeci. Eksplodowały miny. Okazało się, że weszliśmy na nieoznakowane pole mi-

nowe. Paru czerwonoarmistów wyleciało w powietrze. Rozerwało ich na kawałeczki, których nie można było nawet zebrać. Został tam zabity jeden z moich najlepszych i serdecznych przyjaciół, Żyd, dowódca 4-tej kompanii, podporucznik Gitlin. A jeszcze tak niedawno, parę godzin temu, śpiewał wesołą piosenkę i dowcipkował:

Wiosną w Berlinie będziemy  
I smutek cały zapomnimy...

W nocy nie mogłem spać. Przed oczami stała postać Gitlina. Ileż razy ratował on mnie w Taszkencie, gdy solidnie podpity trafiałem na milicję. Teraz widziałem, że życie człowieka nie jest dłuższe od życia trawy. Dzisiaj kwitnie, a jutro więdnie skoszona. Jutro to samo może być ze mną, z każdym. A co dalej? Jeśli się okaże, że jest życie po śmierci? Co robić z moimi grzechami?

W tym dniu wyciągnąłem z walizy mój „talizman”, ikonę Praskowii Iwanownej, mojej byłej gospodyni, i włożyłem ją do kieszonki podkoszulki, razem z komсомolską legitymacją.

Wkrótce, w tulskiej łaźni, ujrzałem kolegę, członka partii, starannie chowającego łańcuszek z krzyżykiem.

— Co to jest takiego? – zapytałem go wprost.

— Tak, wiecie, pamiątka po matce. Jest mi ona droga. A zresztą, mówiąć między nami, „póki grom nie trzaśnie, mężczyzna nie przeżegna się...”.

W drodze do sztabu, mówił mi do ucha:

— Wierzyć lub nie wierzyć w Boga – jest osobistą sprawą człowieka. Ja myślę – usprawiedliwił się – że nie ma to nic wspólnego z przynależnością do partii. Założmy, zakaż mi wierzyć, a ja wierzę... A? Co powiesz?

— To jest prawda – odpowiedziałem. – Ja też wierzę. Tu bracie wojna. Każdy ma swoją filozofię...

## Dzień na pierwszej linii

Dzień 5 maja 1942 roku rozpoczął się dla mnie wcześniej. Ledwo zaczęło widnieć, wylazłem z podziemnego schronu na świeże powietrze. Osinowy zagajnik, w którym rozłożyliśmy się wieczorem, tajemniczo milczał. Wkrótce zagajnik rozbrzmiał rykiem samolotu. Zza pagórka pojawił się niemiecki samolot i zrzucił dwie bomby. Wybuchły one na skraju zagajnika, nie czyniąc nam szkody.

Jednakże, już nikt nie mógł spać.

— Podjemy! – krzyknął koniowód, który przebudził się pierwszy. Stał obok dwukółki, załadowanej bębniami i aparatami telefonicznymi.

— Goście przylecieli! Przyjmij prezenty! – żartował.

Żołnierze niechętnie wylazili z ziemianek. Niektórzy cisnęli się w kuchni po herbatę, drudzy chytrze się myli, polewając się z manierki.

Nasz 120 pułk rozłożył się w drugim eszelonie, dziesięć kilometrów od pierwszej linii, w pobliżu stacji Bariatynsk, na styku Kałużskiego i Brianskiego obwodu. W sąsiedniej wiosce Szerszniewo odpoczywała kompania czołgów. W ostatnich

walkach straciła ona połowę swojego stanu i prawie cały sprzęt, a teraz oczekiwała na uzupełnienie. Czołgiści, w poszukiwaniu krajanów, przyszli do nas, nowicjuszy. Młody, kędzierzawy sierżant, ze świeżą blizną na brodzie, co przydawało jego twarzy komicznego wyglądu, po ojcowsku pouczał:

— Najważniejsze, chować głowę. W niej jest całe życie. Nie ma głowy – nie ma życia. Wszystko pozostałe – bzdura, wyleczyć można. Mi odłamek wypisał na brodzie, a dwa razy byłem ranny w nogi i nic, przez trzy miesiące odremontowali i znowu tu.

Szczodrze obdarowywał nas papierosami i pytał się podchodzących żołnierzy:

— Rodaków nie ma tu? Pskowskich...?

— My tu wszyscy rodacy – odezwał się jakiś głos. – W ziemi ryjemy. Ziemią się nakryjemy...

Słońce obiecywało pogodny dzień. Ze wsi Szerszniewo niósł się zapach kwitnących sadów i szarej ziemi. Kopali tam okopy.

Przyszedłem na węzeł łączności. Przez chwilę zapiszczał brzęczyk: przywoływał szef sztabu.

— O 10 zero-zero, bądźcie gotowi. Pojedziemy na rozpoznanie.

Na skraju zagajnika, przy wyjściu na główną drogę, która wiodła na pierwszą linię, spotkał nas dowódca pułku, major Czigwincew, chudziutki, niedużego wzrostu, z wąską głową, jak gdyby trzymał ją w ściskach. Major był zawodowcem. Przedstawiając sytuację, wyrzucał słowa, jak automat.

Zgodnie z rozkazem dowódcy dywizji, nasz pułk musiał do jutrzejszego wieczora zmienić

rozbitą pułk syberyjski i zająć pozycje obronne.

Przysliśmy do artyleryjskiego punktu obserwacyjnego. O dwa kilometry dalej znajdowała się wieś Jakowlewka, zajęta przez Niemców. Dowódca dywizjonu przywitał nas z radością.

— Szybciej zachodźcie, nie sterczcie na oczach! Dawno was już oczekujemy. Czas i wam powalczyć, a nam obmyć wszy, odpocząć troszeczkę.

Podczas oczekiwania na szefów sztabów innego pułku, weszliśmy do schronu artylerzystów. Dawno nie golony, z podpuchniętymi oczami, zabrudzony ziemią podporucznik, co chwilę zaglądał w obserwacyjną szczelinę i przekazywał polecenia telefoniście.

Podporucznik zaznajamiał nas z frontowym życiem. Przebywał on na pierwszej linii 5 miesięcy bez przerwy, trzy razy otrzymywał uzupełnienie, które składało się z Uzbeków, nie wiedzących o artylerii. Dużo z nich uciekało do Niemców.

Tragiczne przypadki podporucznik umiał przyoblec w humorystyczną formę.

— Zimą, coś takiego zrobiliśmy – mówił pokrępiąco. – Artylerzyści zaprzęgli do sań, znaczy, klacz, natarli ją gdzie trzeba pieprzem, położyli na sanie dwie miny i puścili ten transport prosto do Jakowlewki, do Niemców. Szkapą była nic nie warta, lecz tak się postarała, że za pięć minut była tam, w zabudowaniach... Widzicie?

Wioskę, zajęta przez Niemców, przez lornetkę można było oglądać, jak na dłoni.

— I wyobraźcie sobie, dwa fryce wyskoczyli, jak spod ziemi i dawaj biec za klaczą. Złapali ją, a wybuchu nie ma. Myśleliśmy, że mechanizm się zaciął. Lecz naraz, bracia, jak walnęło, że z klaczy ani z fryców nic nie pozostało. Ale było

śmiechu...!

I śmiał się zapalczywie i głośno, pokazując rząd zębów, pożółkłych od palenia.

Trudno było mi zrozumieć, jak można się śmiać z podstępnej śmierci ludzi i zwierzęcia. Frontowe okoliczności znieczulały serca ludzkie, czyniły je nieczułe na śmierć innych.

— No i dał nam Niemiec po tym wszystkim pieprzu! Uch, co tu było... Cały dzień sadził pociski, jak kartofle. Wtedy pięciu żołnierzy straciłem – tak zakończył swoje opowiadanie podporucznik.

— A to, co tam, na ogrodach? – patrząc przez lornetkę, zapytał Czigwincew. – Niemcy gęsi pasą, czy co?

— Gdzie tam, gęsi? To są nasi narciarze, w maskujących płaszczach, o odpowiedział podporucznik. – Tam cały syberyjski batalion od lutego leży. Niemcy podpuścili blisko, a potem wszystkich skosili. Umyślnie nie zabierają...

Około południa zakończyliśmy zwiad. Zachowując zasady maskowania, pojedynczo

wyskakiwaliśmy z transei. Za mną szedł podporucznik Cin, adiutant dowódcy pułku. Raptownie Cin krzyknął i przysiadł:

— O—o—ch – stęknął, próbując wstać. Noga odmawiała posłuszeństwa. Rozciąłem mu but. Kula snajpera trafiła go w nogę. Podbiegli inni, przenieśli go w inne miejsce, wezwano sanitariuszy.

Do połowego szpitala trafił on po paru godzinach: trwał obstrzał. A w szpitalu, dwudziestoletniemu podporucznikowi, amputowano nogę.

Wracaliśmy do swojego pułku przez nie koszone łąki. Na każdym kroku było widać ślady wojny: leje po pociskach, łuski, puste puszki po konserwach, skrzynki, a gdzie niegdzie i mogiły pogrzebanych żołnierzy. Weszliśmy w młodnik. Stała tu batalionowa kuchnia polowa. Żołnierze, dzwoniąc menażkami, ustawiali się w kolejkę. Kucharz, jak i wszyscy kucharze, był żartownisiem i dowcipnisiem, pokrzykiwał na żołnierzy.

— Nie tłoczyc się! We wszystkim jest potrzebna wprawa, umiejętność, maskowanie...

Kucharz nie skończył swojej pieśni. Zaraz rozległ się szum, jakby leciało stado przepiórek. Obok, prawie jednocześnie, rozerwało się parę pocisków. Wszyscy się rozbiegli na boki.

Wskoczyłem do pierwszego schronu, który spotkałem – stary schronik z cieniutkim belkowaniem. Schroniło się w nim niewielu. A w tym czasie szkwał artyleryjskich pocisków pokrywał rejon kuchni.

— To dezertrzy!... Oni powiedzieli Niemcom, gdzie mamy kuchnię i o której godzinie obiad! – ryczał czyjś głos w ciemności.

— Zdrajcy!...

Pociski padały jeden za drugim, całym rzędem. Ludzie od razu umilkli i myśleli o swym losie. Po każdym wybuchu fale gorącego powietrza wdzierały się do schronu, ziemia się osypywała. Przez huk rozrywających się pocisków i wycie odłamków, słychać było rozrywające duszę okrzyki rannych, ale nikt nie próbował wychodzić ze schronu. Pocisk trafił w stolik, stojący przed wejściem do schronu, inny – w wierzchołek drzewa i tam się rozerwał. Odłamki sypały się, jak grad, bębniąc po dachu. Trzeci pocisk wpadł prosto do dołu, napełnionej wodą, ob-

rzucając błotem tych, którzy siedzieli przy wjeździe. Pocisk nie wybuchł.

Obstrzał ogniowy skończył się tak samo nagle, jak i się rozpoczął. Przez dwie minuty Niemcy wystrzelili nie mniej niż sto pocisków. Paru ludzi zostało zabitych, rannych znoszono do batalionowego punktu sanitarnego. Nie doliczyliśmy się do wódcy kompanii zwiadowców. Został zabity.

W tym dniu pierwszy raz ujrzałem oderwane części ciała i gęsto zakrzepniętą krew na niebieskich i żółtych kwiatach leśnych, na ścieżkach, prowadzących do głównej drogi.

Rozglądając się, ludzie wychodzili z ukrycia. Zagajnik stał się nie do poznania. Niebieski dym unosił się nad niedużym skrawkiem, gdzie stała kuchnia. Zapach spalenizny i szarej, porytej pociskami ziemi, unosił się w powietrzu.

Był to zapach wojny.

Major Czigwincew wcześniej odjechał do pułku, unikając obstrzału. A my, z szefem sztabu, wyszliśmy na główną drogę i przyspieszyliśmy kroku.

Po drodze myślałem o tym, w jaki sposób jutro otworzy się nowa stronica mojego życia, życia na pierwszej linii frontu. Kiedy i jak zostanie ona zamknięta – tego nikt nie wiedział.

Dzień zbliżał się ku końcowi. Jak biały dymek, uciekały po niebie obłoki. W gąszczach przelatywały ptaki, przygotowując gniazda, a po obu stronach drogi stały zielone ściany traw. Z trawy wyglądały złote główki dmuchawców. Ciężki, gorzki zapach zgnilizny i rozjeżdżonej ziemi był nieprzyjemny, ale trzeba było do niego się przyzwyczajać.

Ognisty skrawek słońca coraz szybciej i szybciej staczał się za las, z którego niedawno wyszliśmy. Na spotkanie nam szła grupa żołnierzy. Ich surowe i zatroskane twarze wydawały się być wyciosane z szarego marmuru.

Każdy myślał sobie jedno: idziemy umierać...

## **Piekło na ziemi**

Połowa czerwca 1942 roku. Minął tylko jeden rok, jak zaczęła się wojna, a ile zmian, ile rzeczy się wydarzyło w moim życiu przez ten rok! Ukończenie wyższej uczelni, wojskowa szkoła, Woroneż, Samarkanda, Taszkient, Tuła, a teraz pierwsza linia zachodniego frontu.

Dwa kilometry od nas, za rzeką Użat, widniały obronne umocnienia Niemców, odepchniętych spod Moskwy. Okopy, schrony, betonowe umocnienia ogniowe. Dwa, trzy razy dziennie Niemcy strzelają do nas z moździerzy, gwizdzą kule snajperów i każdego dnia paru ludzi zostaje się z życiem. Nasza artyleria milczy, brakuje pocisków. Tylko w celu wstrzelania się, z moździerzy wylatuje parę pocisków. I to już nas cieszy: coś i my mamy.

Prawie każdego dnia zwiadowca chodzi „za językiem”, ale powraca z pustymi rękami. Dowódca pułku warczy w złości.

— Ja nie wiem, kto przede mną stoi. Potrzebny mi jest Niemiec! Jutro sam pójde „po języki”!

Nasi dezercerzy, a ich liczba się zwiększała każdego dnia, podają Niemcom dokładne dane o nas, o sztabach, węzłach łączności. Ogniowe obstrzały powta-

rzają się codziennie. Najlepsi moi łącznościowcy ubywają jeden za drugim, na ich miejsce dają zupełnie nie przygotowanych ludzi.

W czerwcu 1942 roku z dowództwa dywizji przyszedł tajny rozkaz: w nocy, na 21-go, dwa bataliony naszego pułku, do ukazania się księżycy, miały nacierać na umocnioną rubież niemiecką, odciąć dwie wioski, Jakowlewko i Łoszychino, ująć jeńców w celu uzyskania wiadomości o przeciwniku.

Był to tak zwany, zwiad bojowy.

Wieczorem, przed rozpoczęciem natarcia, na wyjściowej rubieży sierżanci rozdawali dla żołnierzy, dla odwagi, spirytus, a w tym czasie odbywało się przygotowanie artyleryjskie. Przez równą godzinę nasi grzmocili z armat, nieprzerwanie dudniła ziemia, zajęta przez Niemców. Ich pozycje mieszały się z kłębamii dymu, ognia i ziemi.

Gdy tylko wyrzutnia – „Katusza” – skończyła trzecią salwę, nasze kompanie z okrzykami: ura, za Ojczyznę! – ruszyły do natarcia.

W punkcie dowodzenia dowódcy batalionu I.A. Bachmietiewa, bez przerwy odzywały się brzęczki. Nasze kompanie przeszły rzekę Użat. Saperzy wykonali swoje zadanie dobrze.

Bachmietiew krzychał do słuchawki telefonicznej zwycięskim głosem:

— Podporucznik Arutiunow? Jak daleko od was są niemieckie okopy? 50 metrów? Tylko? Mobilizuj się do ataku! Dawaj, działaj! I w tym czasie pierwszy niemiecki pocisk spadł na nasz schron. Na nasze głowy posypała się ziemia, lampka zgasała, znaleźliśmy się w otaczającej ciemności, dzwoniło w uszach.

Łączność z nacierającymi została przerwana.

Wyskoczyłem z pół rozwalonego schronu. Niemcy, jakby wskrzeszeni z martwych, walili w atakujących ze wszystkiej broni, walili w nasze tyły. Gęsty zagajnik „Serce” przerzedził się w wyniku wybuchów pocisków i po paru minutach prześwitywał się cały. Pojawiali się pierwsi ranni. Jednych niesiono, drudzy sami się czolgalii, jęczeli, wzywali sanitariuszy, sypali przekleństwa.

W węzle łączności nie pozostał w rezerwie żaden łącznościowiec. Radiotelefonista ciężko ranny.

W tych strasznych, nieopisanych chwilach, pierwszy raz w życiu świadomie modliłem się do Boga. To nawet nie była modlitwa. Był to krzyk rozpacz: Boże, wybac mi, grzesznemu! Uratuj mnie. Jeśli uratujesz mnie, będę się starał zawsze być dobrym i nie grzeszyć.

Nie znając prawdy Bożej i charakteru Jego miłości, szedłem z Bogiem na „komercyjny układ”: „Jeżeli zachowasz moje życie, będę żył inaczej, jak wierzący...”.

Ze 140 ludzi, uczestniczących w natarciu rozpoznającym siły przeciwnika, ocalało tylko 30. Zaś wszystkich w tym starciu zostało zabitych znacznie więcej.

Sześciu łącznościowców z mojego pododdziału zostało na polu boju. Wśród nich Wasilij Strielcow z Taszkientu.

Był to spokojny, uczciwy, szlachetny człowiek. Wszystkich kochał i wszyscy go kochali. I ja kochałem go synowską miłością. Długo rozmawialiśmy o naszym życiu, marzyliśmy o przyszłości. Nie chciałem, aby taki człowiek szedł w ogień. Wieczorem, przed atakiem, wyznaczyłem go na dyżurnego przy telefonie na tyłach, w bardziej bezpiecznym miejscu. Lecz stało się inaczej.

Wróciwszy po nieudanym natarciu do swego schronu, nie znalazłem w nim

Strielcowa. Wkrótce zadzwonili do mnie moździerzyci:

— Towarzyszu poruczniku, obok naszego stanowiska ogniowego leży zabity wasz łącznościowiec. Pochowajcie...

Okazało się, że gdy łączność telefoniczna z atakującymi została przerwana, Strielcow poszedł w poszukiwaniu uszkodzenia linii. Spadający pocisk oderwał mu głowę i tylko po odłamkach aparatu telefonicznego moździerzyci rozpoznali, że był to łącznościowiec.

Pozostałości ciała, zebrane w jakiś płaszcz, pochowaliśmy pod drzewem, pokaleczonym przez odłamki i kule.

Pochowawszy Strielcowa, wracałem do swojego schronu z ciężkim sercem. W leszczynowych zaroślach, jak czmiele, brzęczały kule: Niemcy ciągle jeszcze obstrzeliwali nasze przednie pozycje, a ja szedłem na skróty przez gąszcze, aby znaleźć spokojne miejsce i pomodlić się do Boga. Zszedłszy do wąwozu, znalazłem takie ciche miejsce, pachnące grzybami, paprocią i prochowym dymem. Przysiadłem na drzewie, wyrwionym przez bombę i mówiłem szeptem:

— Boże, dlaczego zginął Strielcow? Przecież był on lepszy ode mnie. Był on taki dobry, mądry, spokojny, uczynny, nie pił, nie palił... A ja kim jestem? Grzesznik! Ty zachowałeś mnie. Dziękuję. A czy wytrwam w mojej obietnicy?

Moje serce zapłonęło miłością do miłującego Boga, powstało pragnienie życia czystym, świętym życiem. Ale, jak to urzeczywistnić? Tego nie wiedziałem. Myślałem o marności życia, chciałem poświęcić siebie walce z ludobójstwem, ale znowu – jak? Mój dziennik puchł od wierszy, zawierających religijną treść. Niekiedy czytałem je przyjaciółom. Chętnie i z uwagą słuchali. Nie przypominam nikogo, kto odnosiłby się do nich sceptycznie, chociaż większość moich słuchaczy była komsomolcami, a nawet partyjnymi. To był front. To była wojna. Wtedy nikt nie miał w głowie, żeby donosić na tego, kto wierzył w Boga. Gdzieś, jedna za drugą, otwierano cerkwie.

Wtedy nikt mi nie mówił, że wiersze o Bogu to mistyka i wypaczenie. Słysząc to teraz w Ameryce, gdzie spokojnie i bogato żyją moi rodacy, zapomniawszy o Bogu, o tym, co sami przeżyli.

Moje życie, jednak, kulało na obie nogi. W cichych chwilach, gdy ogarniała mnie bezsenność, wsłuchiwałem się w głos sumienia, starałem się wnikać w siebie, w swoje niedawne zachowanie. Na przykład, wczoraj zaszedłem do jednego dowódcy batalionu, a on, jak raz jadł obiad i podał mi kubek spirytusu, rozrobionego wodą. Nie starczyło mi sił, żeby odmówić. I znowu byłem pijany...

Zawsze w sobie rozróżniałem dwie walczące ze sobą moce, dwa duchy, dwóch Nikołajów. Jeden mówił: „Rób, co tam... Zastanawiasz się?... To przecież wojna, po wojnie będziesz żył w uświęceniu. A później jest przecież dobrze, wesoło, przyjemnie...”. A drugi przypominał o obietnicach, danych Bogu. Zawstydział mnie, żalił się na niesprawiedliwość, na mój brak honoru, napominał mnie, czynił wymówki...

To smutne, ale zwycięstwo odnosił duch ze złą sławą, mój „czarny gość”. On tak umiejętnie mnie usypiał, że nic mi nie pozostawało, jak dać mu rękę i robić to, co on kazał. Byłem jego niewolnikiem...

19 sierpnia 1942 roku, o świcie, gdy ledwo zaróżowił się wschód, siedziałem z oddziałem ubezpieczającym pewnej kompanii i czekaliśmy na powrót naszego zwiadu. Nagła napaść Niemców zmieniła mój los. Po krótkiej wymianie strzałów

zostaliśmy otoczeni. Zostałem wzięty do niewoli.

Lecz na tym wojna nie skończyła się dla mnie. Niemiecka niewola była takim samym polem walki, jak i front, z tą tylko różnicą, że na froncie walczone o ojczyznę, a w niewoli – o życie, o menażkę lury.

Oświadczenie Stalina, że dla niego „nie ma jeńców, a tylko zdrajcy”, zrodziło w sercach jeńców, w tej liczbie i w moim, przykrość i żal.

Ale o tym pisali i piszą inni.

## **To nazywało się życiem**

„Jak krótko się żyło,  
Jak dużo się przeżyło”.

Nadson.

Była deszczowa, zimna jesień. Pogoda, jakby przeziębiona, parę dni pod rząd była dżdżysta. Niebo zaciągało się ciemnoszarymi chmurami, które jak leniwe niedźwiedzie wolno płynęły z zachodu na wschód.

Dla nas, jeńców aleksandrowskiego obozu, najlepszą porą dnia był wieczór, gdy kończyliśmy roboty drogowe i wracaliśmy do baraków, otoczonych kolczastym drutem. Strażnicy popychali nas kolbami i co chwila wrzeszczeli:

— Lose!... Lose!...

W barakach, na pryzcach, ludzie się poruszali, jak robaki, inni się tłoczyli przy nagrzejanej do czerwoności beczce, grzeli wodę, parzyli się i siarczyście przeklinali. Przy drzwiach przez całą noc paliła się lampa. Ciężkie, duszne powietrze, dym i czad gryzły w gardło, bolała głowa.

Dokładnie o 8-mej godzinie wieczorem, strażnik uderzał w kawałek szyny kolejowej, wartownik przy karabinie maszynowym zakładał na głowę kaptur, w obozie kończył się ruch.

Karabin maszynowy czarnym okiem lufy spoglądał na baraki, podobne do mogił. Do tych, którzy naruszali rozkaz, strzelano w nocy bez uprzedzenia. Wartownicy, jak zmokłe kury, wciskali głowy w ramiona i przechadzali się pod zadaszaniem na placu.

Świat dla nas nie istniał. Była wojna, groźna, bezwzględna jatka. Był bezlitosny komendant obozu Gustaw Kompass, rudy Niemiec z rzadkimi, sterczącymi, jak u kota, wąsami. Byli milczący, zawsze niezadowoleni wachmani. Była blaszana puszka na zupe. Wisiała ona na pryczy przy głowie, razem z szarą szmatką, kawałkiem onucy – służącej za marny ręcznik.

Wieczorem do baraku zachodził patrolowy. Dokładnie oglądał prycze, liczył ludzi, groźnie się odnosił i gasił nasz piec. Był to młodzieniec z Rygi. Znał on rosyjski język, lecz do nas się zwracał tylko po niemiecku.

— Nicht sprechen!... – rzucał komendę i wychodził z baraku.

A o szóstej godzinie rano jego donośny głos ogłaszał pobudkę:

— Aufstehen!...

— Aufstehen!... – jak echo rozlegało się we wszystkich zakątkach obozu.

To słowo dotykało mojego serca, jak ostry nóż. Ludzie wyskakiwali z prycz,

biegli, spotykając się w kuchni. W biegu przecierali oczy, spieszyli się zająć miejsce w kolejce za herbatą i zupą, Żeby zdążyć dostać dokładkę.

Z powodu dodatkowej łyżki mętnej i rzadkiej zupy, zwanej „lurą”, ciągle wybuchały walki. Do czasu, gdy jak cień pojawiał się ober policjant Mott, w podszłym wieku, polski Niemiec, z bladą twarzą i małymi, ale bystrzymi oczami. Chodził, jak dumny kogut, z podniesioną głową, a za nim, jak malutki kundelek, biegła jego nierozłączny towarzysz – tłumacz Sztok, niziutki, małpopodobny młodzieniec z Besarabii.

Pokonani przez głód ludzie, zapominali o elementarnych zasadach etyki, bezlitośnie się wyzywali, przeklinali, silniejsi krzywdzili słabszych.

Kiedyś wyszedłem, już po pracy, na zewnątrz baraku. Obozową drózką wlekło się dwóch jeńców, podtrzymując jeden drugiego. Lecz oto, jak kurczaki za zdobyczą, rzucili się na ziemię. Jeden z nich złapał niedopatek, podrzycony przez wartownika dla zabawy. Drugi zamachnął się ręką i uderzył przyjaciela po głowie:

— Szaka! – z wyrzutem rzekł. – Za tobą nigdy nie zdążysz... Szczęśliwy ze zdobyczy kolega nic nie odpowiedział. Troskliwie pilnując tego niedopałka, odwrócił się w drugą stronę i po złodziejsku oglądając się na boki, zaczął gorączkowo zaciągać się dymem.

Nie jeden raz i ja oddawałem połowę kromki czarnego chleba z trocinami za jedno-dwa zaciągnięcia niebieskim, tytoniowym dymem.

Raz zdarzyło mi się widzieć, jak jeniec próbował zarznąć sąsiada tylko za to, że ten ukradkiem obliżywał jego puszkę.

Po śniadaniu (był to jednocześnie i obiad) liczyli ilu jest zdolnych do pracy, ilu „próżnuje”, ilu „zaginęło”. Blokowi biegali z baraku do baraku, sprawdzali prycze, wyginali na apel chorych.

— Ty, co się rozwaliliś? lury się objadłeś, czy co? Nie słyszysz komendy?

Lecz leżący na pryczy rzeczywiście nie słyszał komendy, gdyż już wczoraj odszedł do innego świata, gdzie nie ma wojen, nie ma obozów, nie ma jeńców, gdzie wszyscy są wolni.

Przed szeregiem jeńców ober policjant Mott dawał upust swojemu despotyzmowi. Naruszenie obozowej dyscypliny przez jednego, niosło karę dla wszystkich. Winowajca popadał później w niełaskę całego obozu.

Pewnego razu z obozowej kuchni ktoś wyniósł parę główek kapusty. Zdenerwowany Mott biegał przed szeregiem z krwistymi oczami i się wydierał:

— Kto wyniósł kapustę? Wystąp do przodu!

Wszyscy stali z opuszczonymi głowami, nie ruszając się z miejsca.

— Milczycie...? Szukajcie kapustę po całym obozie! Daję pięć minut...!

Wszyscy się rozbiegli na boki. Ludzie wiedzieli, że Mott nie umie żartować. Młody chłopak jakoś zwlekał. Mott uderzył go w twarz. Ten, zakrywając głowę rękami, upadł na ziemię. Inny policjant dobił go butem.

— Starczy?...!

Zaczął się coś okropnego, szczególnie dla chorych – dziesięciominutowa gimnastyka. Osłabieni ludzie, ledwo ciągnący nogami, wykonywali komendę:

— Raz, dwa, trzy! Wdech – wydech...!

Mott stał z boku założywszy ręce na piersi, tępo spoglądał na wszystko, co się odbywało na dziedzińcu obozowym. W jego szarych, bezbarwnych oczach, zastrygł triumf zwycięzcy.

— Wziąć łopaty! – rzucił komendę i skierował się do obozowej kancelarii.

Przygotowanie do pracy skończyły się w parę minut. Ustawiono nas w czwórki, dzielono na grupy według rodzaju pracy i wyprowadzano do robót drogowych, trzy kilometry od obozu.

Do tej pory nie zapomniałem tej drogi, asfalt pokryty gołoledzią, jak aluminiową folią. Od Rosławlia do linii frontu, nieprzerwanie kręciły się samochody, warczały ciężarówkami, na przyczepach trzęsły się armaty. Otwory luf były zakryte brezentowymi pokrowcami. Żołnierze otulali się w maskujące peleryny, siedzieli na skrzyniach samochodów. Trzeszcząc i dymiąc, przemieszczały się motocykle. A po obu stronach drogi na błotnej glebie schły brzoźowe zarośla, widniały pieńki przygotowane na ogniska.

Dalej ku horyzontowi było widać czarne skiby ozimej orki, niezdarne sylwetki słupów – pozostałości spalonych drzew.

W drodze do pracy zdarzało się, że niektórzy padali. Słabszych poganiano pałkami, a beznadziejnych rozstrzeliwano w przydrożnym rowie.

Tam płakaliśmy i modliliśmy się do Boga, wzywaaliśmy Go na świadka ludzkiego okrucieństwa. Strażnicy stanowili dla nas wielką zagadkę: trudno było uwierzyć, że tych ludzi urodziła matka. Byliśmy źle ubrani, na nogach – buty z drewnianą podeszwą i tylko nowi mieli jeszcze żołnierskie buty.

Wszystkie próby miejscowej ludności, żeby nam ulżyć w naszym losie, były surowo karane. Ludzie wiedzieli to i unikali nas. We wszystkim było widać politykę wodza, aby zniszczyć jeńców, unicestwić narody.

Tak Niemcy czynili wobec wrogów, odważnych, nieprzejednanych partyzantów, których oddziały składały się w większości z obozowych uciekinierów.

Głód i nadchodząca zima zapowiadały się groźnie. Każdego dnia śmierć kosiła nasze szeregi, lecz one prawie każdego dnia uzupełniały się nową liczbą nowych. Specjalna drużyna sanitariuszy, złożona z policjantów, każdego ranka sprawdzała prycze. Zmarłych grzebano za barakami.

Pewnego razu sąsiad z pryczy wszedł do baraku i zaczął opowiadać ze zwykłą obozową obojętnością:

— Ja, znaczny, idę za potrzebą, patrzę, a oni niosą Gruzina... Pamiętasz, co piosenkę o Stalinie śpiewał? Taki komik...

Niosą go do czarnej bramy, do wspólnego dołu, a on jęknie i cicho prosi: „Bracia, co wy robicie?... Ja jeszcze żyję...”.

— A kto lepiej wie – ty, czy lekarz? – odpowiedzieli „sanitariusze” ze śmiechem. I ponieśli, gady...

To opowiadanie wielu zdenerwowało, ale skarżyć się nie było do kogo.

Wiedzieliśmy, że do dołu wynoszono półżywych ludzi, jeżeli na nogach mieli buty lub ciepłe ubranie. Buty i ubranie były łupem grabarzy.

Inny sąsiad, z „dogorywających”, słyszał to opowiadanie i na jego żółtej, jak wosk, twarzy, pojawiło się coś podobnego do uśmiechu. Później zaczął:

— Tak to jest. Pamiętacie u Kryłowa o starcu i śmierci? Dobrze powiedziane. Nikt nie chce umierać. Ty umrzyj dziś, a ja jutro...

Przysłuchiwaaliśmy się żalom sąsiada, a on prawie szeptem opowiadał:

— Biedny staruszek, tak jak i ja, bezsilny. Było to w lesie. Zebrał on wiązkę drewna i podnieść nie może. Życie zmęczyło. Co robić? I mówi: „Ech, chociażby i śmierć przyszła...”. A ona, ta śmierć, nie za górami. Obrócił głowę, a ona obok, za

plecami... Staruszek ujrawszy śmierć, mówi jej: „Nie, nie wzywałem cię w gniewie, ale żebyś pomogła mi podnieść wiązkę...”.

W głębokich oczach sąsiada lśniły łzy, a to mówiło bez słów o jego nieugaszonym pragnieniu życia, ujrzeniu wiosny, słońca, wolności, rodzinnego kraju, żony, dzieci.

Ktoś zapytał:

— A co, umierać to strach?

— Nie to, że strach, ale się boję, co będzie po śmierci?

Zamilkł i więcej nie powiedział nam ani słowa. Ciężko było mu mówić. Dotrwał do Bożego Narodzenia. O jego śmierci nie mówiliśmy przez dwa dni, żeby dostać na niego kromkę czarnego, zmarzniętego chleba.

X X X

Minęła mroźna zima. Minęły wiosna i lato 1943 roku. Niewielu nas przeżyło z tych, których Niemcy prowadzili do remontu drogi. Wojna się przedłużała, ale życie jeńców troszeczkę się polepszyło. To polepszenie przypisywano generałowi A. Własowowi. Jego „list otwarty” krążył wśród nas. Jeńcy różnie się odnosili do niego: niektórzy nazywali go zdrajcą, inni nie ukrywając mówili:

— W końcu znalazł się dobry człowiek! Może Niemcom przemówi do rozumu...

Niekiedy powstawały wśród nas zażarte spory, lecz za każdym razem zwyciężali zwolennicy Własowa.

Nasz obóz niepostrzeżenie przekształcił się w robocze kompanie.

Niemcy się wycofywali.

Po wąskiej, wiejskiej drodze, cicho, prawie bezszelestnie poruszały się kolumny niemieckich batalionów. Pochmurni żołnierze z rzadka odzywali się do siebie. Nocą drżały w Diesnie odbłaski gwiazd, półsennie wzdychała ranna ziemia, puste i martwe pola przywodziły okropne myśli.

Niemcy prowadzili nas z sobą jako darmową siłę roboczą. Oni dobrze wiedzieli, że ich nienawidzimy i zdarzało się, że nie raz w naszej obecności przeklinali wojnę, złorzeczyli swemu dowództwu i dzielili się z nami swoimi papierosami.

Prawie każdej nocy brano nas do kopania okopów, ale radziecka armia szła tak szybko, że Niemcy prawie nigdy nie korzystali z tych okopów. Niekiedy nie dając skończyć zaczętej roboty, przeganiano nas dalej na zachód.

W jedną z takich nocy poczułem się źle. Przyjaciele pomogli mi wykopać okopową normę.

— Trzymaj się, chłopcze, trzymaj – mówił do mnie Aleksiej Aleksiejewicz Łożkin, były dowódca kompanii. Zataił on przed Niemcami swój stopień i cudem uniknął karnego obozu. Był to rosły, szeroki w ramionach, tęgi chłop z bystrymi oczami, zręczny i wytrzymały.

Zdarzało się, że Łożkin przysiądzie na pniaczku przy ognisku i zaczyna filozofować:

— Życie, to samo co miedziak: z jednej strony orzeł, a odwrócisz – reszka. Był kapitan Łożkin, a teraz Błoszkin, a przyjdzie czas – znowu będę Aleksiej Aleksiejewicz.

W tę noc, wyrzucając ziemię z mojego okopu, cicho do mnie mówił:

— Abyśmy tylko dotarli za Diesnę, a tam i prysnąć można. Tylko nie do swoich. Do swoich trafisz, do karnej pójdziesz, gorzej będzie. Ja to już wiem, stary wróbel. Dochodzeniem zadręczą. A później i kropnąć mogą. Tak jest wojna. Nie ma czasu na porządek.

Gdy przechodziły nadzorujące patrole, wtedy wyęźałem ostatnie siły i wyrzuciłem ziemię częściej i zręcznie. Grunt był twardy, łopata głucho dzwoniła i odbijała się.

Po północy, gdy ciemność stawała się szczególnie gęsta, nad nami pojawiały się samoloty. Taki był rozkład każdej nocy.

— Chłopcy, znowu się zaczyna – szeptano w szeregach.

— Za pilną pracę „Ojciec narodów” nam prezenty przysłał. Ależ ojczulek się troszczy...

— Tak, widać, że dziś daje nam premię.

Wystrzelivano oslepiająco jasne rakiety, rozsypywały się półkolem i gasnąc, wolno spadały na ziemię. W takich chwilach Łożkin pierwszy się kładł w okopie i leżał bez ruchu do tej pory, dopóki samoloty krążyły.

Raz go zapytaliśmy:

— Co ty, Aleksiejewicz, na głowę włazisz? Śmierci się boisz?

— Cha, śmierci się boisz! Czego jej się bać? Śmierci ja się nie boję, ale chcę wiedzieć, kto wojnę wygra: Stalin czy Hitler? – To czyż nie widzisz, że Hitler już jest spalony?

— Nie, nie widzę. O niewiadomym nic wiadomego powiedzieć nie można. Jęzeli Amerykanie

nie otworzą drugiego frontu, to Niemcy jeszcze zdobędą...

Nisko, prawie czepiając o drzewa, samoloty przelatywały nad szosą. Rozpoznawaliśmy czarne, poruszające się po niebie ich sylwetki, aż do bólu było żal, że nad nami, tak blisko, nie było wrogów, lecz nasi rodzeni bracia, i oni, podobnie jak i my, pragną jednego – końca wojny, spokojnego, szczęśliwego życia.

Nad drogą rozlegały się głuche wybuchy. Na szosie słyhać było zamieszanie, dochodziło rżenie koni, komendy oficerów.

Zawsze pragnąłem pojawienia się samolotów. Chciało mi się leżeć w okopach do rana, leżeć na wonnej, chłodnej ziemi, jak w grobie, aby tylko nie brać znowu łopaty w zrogowaciałe ręce, nie dłużyć suchej, nieustępliwej ziemi.

— No, co latasz? Siadaj na polu, porozmawiamy sobie – żartował Pietia Kupcow, wesolek

z bystrymi oczami, były kierowca taxi, umiejętnie oczyszczający kieszenie pijanych pasażerów.

Gdy go potępialiśmy za te brzydkie czyny, on zwykle się usprawiedliwiał:

— „Wyprzęgałem” tylko partyjnych...

— A po czym rozpoznajesz, kto partyjny, a kto nie? Na nosie nie napisane – zapytywali go.

— Partyjnych zawsze trzymał się pieniądz.

— A naszego brata, co? Tyle, co kot napłakał.

— Nie, swego brata nie trącałem.

Samoloty, skończywszy swoje zadanie, odlatywały na wschód. Dosłownie, jak spod ziemi wyskakiwał suchy, starszy szeregowiec i podawał komendę:

— Aufstehen! Powstać! Brać łopaty...!

I znowu braliśmy się do roboty, do rana.

Pewnego razu przyprowadzili nas do opuszczonej wsi. Dopalało się parę chat. Mieszkańcy bojąc się zbliżającego się frontu, uciekli do lasu. Po drodze bez ładu biegali żołnierze. Nakarmili nas pozostałością z żołnierskiej zupy, rozcieńczoną wodą. Tak zawsze kucharze wychodzili z sytuacji, gdy brakło zupy. Później zagnano nas na dziedziniec szkoły.

Z paroma przyjaciółmi zaszedłem do szkolnej przybudówki. Opuszczone pomieszczenie zachowało jeszcze ciepłą atmosferę mieszkania. Rudy kot dziko się miałał po ławkach, wpatrując się w nasze twarze granatowymi oczami. Na podłodze leżały książki, nikomu niepotrzebne szmaty, poźółkłe uczniowskie zeszyty.

Pietia Kupcow myszkował po kątach w poszukiwaniu jedzenia, łożkin i dwóch innych zainteresowali się piecem i znaleźli w nim garnek wczorajszego kapuśnika, a mną od razu zawładnęły książki. Przeglądając je znalazłem stary poźółkły tomik w płóciennej oprawie, z tytułem na pierwszej stronie:

### **Nowy Testament Pana naszego Jezusa Chrystusa**

Na dole stronicy był napis: „Brytyjskie Towarzystwo Biblijne”.

Było to moje pierwsze spotkanie ze Słowem Bożym.

Zabrałem ten tomik z sobą.

W pośpiechu pognali nas ku rzece, do remontu uszkodzonego mostu, ale jak tylko

skończyliśmy pracę, z ciemnego nieba spadły dwa samoloty. Ledwo zdążyliśmy się rozbiec, gdy się rozległy dwa ogłuszające wybuchy. Z mostu pozostało wspomnienie. W naszych szeregach nie doliczono się trzech ludzi, w tej liczbie i łożkina.

Każdego dnia czytałem Ewangelię. Przyjaciele często podczas postojów odciągali mnie na bok i mówili:

— Przeczytaj nam coś z Ewangelii.

Gdy czytałem, niektórzy zdejmowali czapki i w milczeniu słuchali.

— „Ja jestem droga, prawda i życie”. „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja wam dam ukojenie”.

— Oto takiego trzeba nam wodza, aby był on prawdziwy, uczciwy, jak Chrystus. Za takiego i umierać nie żal – komentowali przyjaciele.

Wiele pytań powstawało w mojej głowie i nie łatwo mogłem znaleźć na nie odpowiedzi. Niekiedy myślałem: dlaczego Chrystus, będąc Synem Bożym, dobrowolnie oddał Siebie na ukrzyżowanie? Przecież przez to człowiek nie stał się lepszy?

Strzegłem tej Ewangelii, jak największego skarbu i straciłem ją w dniu „reparacji”. Z moimi rzeczami odjechała do ZSRR.

## W styczniu 1943 roku...

Kto z mieszkańców środkowej Rosji nie lubił styczniowego poranka. Z każdą minutą jaśnieje ciemnoniebieskie niebo, wschód rumieni się zorzą, czyste pole skrzy się srebrem. Suche powietrze nasycone mrozem, niekiedy powstrzymuje oddech, lecz to nas nie przeraża. Siedzimy na niskich saniach, na suchym, puszystym sianie, w półkożuszku, pachnącym owczą wełną, w walonkach i ciepłych rękawicach. Koń biegnie chętnie po ujeżdżonej drodze, lekko podrzuca na wybojach, płozy śpiewają, skrzypią mocno naciągnięte rzemienie chomała, dźwięczą hołoble, a w tym czasie zza lasu majestatycznie się unosi czerwone, jak purpura, słońce. Cisza poranka wypełnia serce nie wyrażoną radością i chce się śpiewać o bezkresnych przestrzeniach ojczyzny, o ludziach kochających życie i wolność, o zapomnianej trojce.

Tak myślałem wczesnym, styczniowym rankiem 1943 roku w kolumnie robotczej kompanii, w

drodze z miejscowości Krasnyj Łucz do wioski Buczino na Smoleńszczyźnie.

Robocza kompania została utworzona przez Niemców z tych jeńców, którzy trafili do niewoli zupełnie niedawno i w których nie tylko tliło się życie, ale którzy mogli też machać łopatą, oczyszczać drogi ze śnieżnych zasp, budować mosty, kopać okopy. Niemcy się cofali. Wczesnym porankiem wyraźnie były słyszalne wybuchy pocisków. Strzelała dalekosiężna artyleria. Radzieckie dywizje szły w ofensywie.

Z romantyzmu zimowego, styczniowego poranka, pozostały te same pola, ten sam śnieg i to samo słońce, lecz nie było ani półkożuszka, ani walonków, ani ciepłych rękawic, nie było niskich sań. Prowadzono nas po równinie, zawianej śniegiem, umyślnie mijając duże lasy, w których partyzanci niepokoiili Niemców.

Kompania żyła dniem dzisiejszym. „Dzień przeżył i chwała Bogu” – mówiło się przed snem. Nie wiem, czy ktoś wierzył w zwycięstwo Niemców, ale w zwycięstwo Stalina – też nikt nie wierzył. Wszystkich nas jednoczyło jedno pragnienie – przeżyć do wiosny, a wiosna „pokaże swoje”.

Zimny wschodni wiatr zwał nas z nóg, zawiewał drogi. Wirujący śnieżny pył wdierał się za kołnierz, mróz chwycił za uszy, za policzki, za nos. Zmęczenie podcinało nogi i skłaniało do snu.

Pierwszy odpoczynek dano nam w wiosce z dziesięcioma chatami, zasypanymi śniegiem. Stały one zasmucone nad urwiskiem i maleńkimi, zamarzniętymi okienkami, sieroco spoglądały w świat. Przy rozwalonej szopie cisnęli się szarzy, w pół przygarbieni ludzie. To Niemcy szukali zacisza. Nasi strażnicy kolejno chodzili do chat się grzać, a nam pozwolili rozpalić ognisko.

Zbliżało się południe. Szare, śnieżne niebo przejaśniało się, wiatr szybciej pędził chmury; wydawało się, że stały się lżejsze i rzadsze. Niekiedy wyglądało słońce. Ognisko długo trzeszczało i dymiło, topił się śnieg. Lecz wkrótce, wchłaniając dym, rozpałił się chrust, ogień objął smolne żerdzie. Z powodu miejsc przy ognisku powstawały kłótnie i musieliśmy ustalić kolejkę, żeby ogrzewać się. W powietrzu wisały niewybredne słowa: przeklinali Stalina, Hitlera – cały świat.

— W las można pójść – mówił mi nad uchem wysoki, niezgrabny myśliwy – Sybirak Ilinski.

Polubiłem Ilinskiego i przywiązałem się do niego, jak do ojca. Nie krył on przede mną swoich planów. Na początku wojny, jakimś sposobem trafił do Moskwy, stąd do ochotniczych oddziałów. Wkrótce się znalazł w niewoli i w roboczej kompanii. Był on najuczciwszy z całej naszej braci. Tylko mu powierzaliśmy najbardziej odpowiedzialne sprawy, od których zależało nasze życie – dzielenie kromek: bułkę czarnego z trocinami chleba, na 6-7 ludzi. A on robił to bardzo dokładnie, jak nikt inny.

Nie odpowiedziałem na pytanie Ilinskiego, a on kontynuował:

— Dla mnie to nic, do wiosny wytrzymam, ale ty, młodzieńcze, padniesz...

Do rozmowy wtrącił się Pasza Kudinow, smukły, dziarski chłopak, były bezdomny. Był z niego niepokonany gaduła, zaciekły karciarz i utalentowany muzykant. Jego mała głowa pod spłaszczoną, jak grzyb, pilotką, włożyła z powodu zimna w ramiona, z lekka piegowata twarz czerwieniła na mrozie:

— Prawda, chłopaki, nie życie, ale puszka... W więzieniu było lepiej: bywało, „jabola” dostaniesz i pluj w sufit, a tu tyraj dzień i noc. a najważniejsze, dla kogo...?

— Cierp, kozak, atamanem będziesz – odezwał się były czołgista, Anton Szpak, sprytny i śmiały chłopak z rozciętym policzkiem. Dobrze rozmawiał po niemiecku, lecz ukrywał to przed innymi, a my wiedzieliśmy, że jeśli nie dziś to jutro, przy pierwszej okazji, Anton opuści nas. Szmatami, którymi okręcał nogi, deptał na śniegu order Czerwonego Sztandaru.

— Myślisz, im dobrze? – ciągnął dalej Ilinski, pokazując oczami na zgarbionego strażnika, stojącego z boku w zimnym płaszczu z kapturem. – Patrz, jak się zjeżył...

Pasza Kudinow w tym czasie gorliwie gadał przy ognisku, przykrywając żarem kartofle, a jednocześnie do siebie przyspiewując znaną piosenkę K.Simonowa:

„... Czekaj mnie, a ja wrócę,  
Tylko bardzo czekaj...  
Czekaj, kiedy śnieżycy wieje,  
Czekaj, gdy upał jest.  
Czekaj, kiedy innych nie czekają,  
Zapominając – wczoraj”.

Skończył piosenkę i mrugnął do mnie:

— A teraz zagryziemy, podładujemy się...

W tym czasie przy ognisku pojawił się feldfelbal Balaj, Niemiec z Polski. On decydował o naszym losie, postrach kompanii, nieograniczony zarządca, mający prawo karać i ulaskawiać na miejscu.

— Co to takiego? Kto rozpałił ogień? – krzyknął, trąciwszy nogą Kudianowa. Sękata pałka Balaję uderzyła go po plecach. Upadł on na kolana, lecz od razu podniósł się i wyprostował, i prosto z uporem patrzył w skośne oczy Balaję.

— Formować się w czwórki! – rozkazywał Balaj, przechodząc na niemiecki język.

— Biegiem, marsz!

— Padnij!

— Powstań! Biegiem marsz!

Balaj długo ganiał nas po głębokim śniegu. Zmęczonym, ochrypłym głosem podawał jedną komendę za drugą, a później podszedł do ogniska i rozrzucił palące się węgielki.

Pod wieczór doprowadzili nas do wsi Buczino i rozmieścili na nocleg na skraj wsi, w paru chatach.

Gospodyni przywitała nas przyjaźnie, jak rodzonych synów:

— Sokoliki drogie, siadajcie, gdzie kto może. Chatka moja mała, ale ciepła. Ogrzejcie się, biedactwa...

Widać było, że nie pierwszy raz podczas wojny w jej chacie przebywali rosyjscy żołnierze i w każdym widziała bliskiego i krewnego.

— Czymże was ugościć? – zapytywała siebie, krzątając się w izbie. – Herbatki nagotować?

— Nie odmówimy. Gotujcie herbatkę, matko – zarządził się Ilnski, którego nazwaliśmy starostą. On sam nie był młodszy od naszej gospodyni.

Było już ciemno, gdy Niemiec, starszy szeregowy, przyniósł nam skąpe kromki. Spisał nasze imiona i przypomniał, że jutro o świcie musimy być gotowi do pracy.

Gdy Niemiec wyszedł, nasza gospodyni, Elena Pietrowna, zaczęła:

— Niechrześcijanie oni, przekłęci. Obiecali dać wolność, a panują nad nami, jak chcą...

— Trzeba poczekać – pocieszał gospodynię starosta. Pił on trzeci kubek herbaty, pot zbierał się grubymi kroplami na jego wysokim czole. Powracając do tego tematu, zauważył:

— Osiągniemy wyzwolenie swoją własną ręką... Od Hitlera dobra nie oczekujemy.

W tym czasie Kudinow stroił mandolinę. Nosił ją w podróżnym worku, zdjąwszy uprzednio struny. Za każdym razem, od pierwszego przypadku, strojąc ją, podawał komendy:

— Wróć, panowie–towarzysze! Niech Mołotow się zajmuje polityką, a my rozpocznijmy nasz program. Pierwszym numerem będzie potpourri na motywach dzielnego wojaka Szwejka.

— Racja, to będzie najlepsze. Trzeba ulżyć duszy – rozlegały się głosy.

Kudinow grał na mandolinie znakomicie. Nie raz pomagaliśmy mu półgłosem śpiewać, a gospodyni pociągała nosem w kącie, wyplakując swój smutek.

Wspominając o tym, myślę: skąd u nas, głodnych, wymęczonych, pozbawionych praw, doświadczonych przez los ludzi, brały się te pieśni? Ciężko jest żyć rosyjskiej duszy bez pieśni. Nie znaleźmy pieśni o radościach życia, o ciągłym szczęściu, o nadziei na lepszą przyszłość. Nasze pieśni wypełnione były beznadziejnym smutkiem.

W dal po ulicy zawierucha wieje,  
A mnie tęsknota – żalność gniece.  
Może jutro gdzieś na drodze  
Wroga kula przedziurawi moją pierś.

Usiadłszy na kufrze, bliżej pieca, Kudinow potrzasał dawno nie strzyżoną grzywką i starannie tworzył nową melodię, a wszyscy mu podśpiewywali, włącz-

nie z Uzbekiem Salimowem. Nad stołem ledwo migotała lampka. Straszne cienie poruszały się po szarych, przepoconych ścianach.

Po skończonej pieśni Kudinow jeszcze raz podstroił mandolinę i przeszedł na tańce. Na środek izby wyszedł Anton Szpak. Było śmiechu do łez i żal było patrzeć na jego rozbite do ostateczności buty, związane sznurkiem, na jego szerokie, za duże spodnie polowe – pozostałość umundurowania czołgisty. Zabawnie przysiadł, próbował wywijać hołubce, lecz wkrótce, jak kamień, opadł na ławkę.

— Uchodził się, chłopak!

— Kiszka krótka! – rozległy się głosy z różnych stron izby.

— Na lurze nie pociągniesz – usprawiedliwiał się Szpak. – Daj bochenek chleba i kawałek słoniny, wtedy zobaczysz, ile zrobisz obrotów.

Wesoła atmosfera napelniała izbę. Wydawało się, że jej ściany rozsunęły się szerzej i lampka zaczęła migotać weselej i jaśniej.

— Pozostawia się słowo naszemu zasłużonemu poecie – oświadczył Kudinow i parę razy klasnął w dłonie. Odnosiło się to do mnie.

Wtedy pisałem dużo wierszy. Były to słabe wiersze, ale wszyscy je lubili, gdyż nie odbiegałem od bliskiego wszystkim tematu: o naszym życiu bez radości, o naszych przeżyciach.

Zima mija, jak już bywało,  
Mróz z zawiejami się nie spiera.  
Moich przyjaciół już zabrakło,  
Tak i mnie szybko zabraknie.

Przyjaciele mówili:

— Ty, pisz, nic nie opuszczaj. Tylko prawdę pisz. Po wojnie będziemy czytać twoją książkę.

Lubiłem też czytać wiersze Jesienina, Gumiliewa, Kliujewa. Lecz tym razem przypomniały mi się wiersze Ilji Sadofiewa:

„Nie patrzę na życie spod parapetu,  
Nie czaję się po ciemku, jak złodziej.  
Przy bramie kwili harmonia,  
Powiesić się w sam raz z tęsknoty.  
I sam krążyłem jak nocny jastrząb  
I uderzałem z gwizdem starców...”.

W tym momencie raptownie otworzyły się drzwi. Machając pistoletem, do izby wszedł Balaj. Był pijany. Jego poczerwieniałe oczy patrzyły na nas z podejrzliwością i stanowczo.

— Stille gestanden! Bacznosc! – warknął na cały głos i zrobił krok ku mnie.

— Partyzant! Ja wszystko wiem! Kiedy ty do mnie trafieś...!

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, co będzie dalej. Wydawało się, że słychać było bicie naszych serc. Za oknem wiatr zastukał okiennicami i zamilkł.

Balaj przymrużył oko i wycelował we mnie ciężki belgijski pistolet.

Świadomość, że w tej chwili, w tym miejscu, w tej głuchoj wsi zasypanej śniegiem, kończy się moje życie tak beznamiętnie i tak wcześnie, napelniła moje serce

bólem, oczy zasłoniła mgła, izba się kołysała, ludzie się kołysali, migocąca lampa i Balaj z wycelowanym we mnie pistoletem.

I tu znowu całym sercem zacząłem błagać Najwyższego: Boże, ginę bezpowrotnie. Uratuj i

zmiłuj się nade mną, grzesznikiem... Balaj wystrzelił.

W moich oczach wybuchł płomień i tak w nich pozostał. Gryzący dym z prochu uderzył w gardło. Wyteżyłem siły, żeby zrozumieć, gdzie trafiła mnie kula, ale jak nie byłoby to dziwne, nie czułem nigdzie bólu. Tylko serce, jakby przyciśnięte ciężkim kamieniem, odzywało się tępym bólem, coś przeszkadzało oddychać

Pierwsza krzyknęła gospodyni i zaczęła jęczeć.

Balaj, jak przedtem, stał przede mną, a niebieski słup dymu cicho unosił się nad jego głową. Czarny otwór pistoletu ciągle spoglądał na mnie groźnie.

— Partyzant! Myślał, że nic o tobie nie wiemy? – wrzeszczał Balaj.

Lecz w tym czasie zaszło coś szczególnego.

Anton, stojący o parę kroków od Balaja, nagle rzucił się na niego, jak wilk, chwycił go za rękę.

Jeden po drugim rozległy się jeszcze dwa wystrzały. Izba była pełna dymu, na pułapie paliło się obicie.

— Widzicie go, bohater! – dogadywał Anton, wykręcając Balajowi ręce. – My ciebie tu zrobimy...

Ciągle stałem w tej samej pozycji, nie znajdując sił, żeby zmienić miejsce. Gospodyni zaczęła stękać głośniejsze i częściej. Balaja powalili na ziemię, rzemieniem związali mu ręce. W końcu znalazłem siły i podszedłem do gospodyni. Krwawiła i cicho się modliła jęcząc:

— Przyjmij mnie, grzesznicę, Panie...

Otworzyła oczy i ujrzała mnie, jak przewiązywałem jej rękę... – Chwała Tobie, Panie. Ty zachowałeś jego życie...

Kula przeszła jej przedramię, uszkodziwszy kość.

Ktoś uciekł do komendantury. A Balaj leżał związany, waląc głową o podłogę i wściekle krzycząc ochryplym, pijanym głosem:

— Przeklęte lwany! Rozwiązać, rozkazuję...!

Anton położył pistolet Balaja na stole i spokojnie powiedział:

— Co będzie, to będzie, a robota czysta...

Wkrótce chatę otoczyła żandarmeria. Do rana byliśmy w areszcie. Niemcy rozwiązali Balaja i wsadzili go na sanie. Za parę minut dwaj sanitariusze odwieźli Elenę Pietrownę.

— Cieszę się – rzekła na pożegnanie – że tak się skończyło. Bóg usłyszał moją modlitwę. Za ciebie, sokole, się modliłam. Jesteś młody. A mi wszystko jedno. Nie boję się śmierci, tam będzie lepiej... Całą noc nie spałem. Myślałem, jak cenne jest życie człowieka

i jak ludzie czynią je tanim. Spojrzawszy swoimi oczami w twarz śmierci, zobaczyłem że nie jestem gotowy umierać, że nie mogę powiedzieć tak, jak rzekła Elena Pietrowna:

— Nie boję się śmierci. Tam będzie lepiej...

Wewnętrzna intuicja podpowiadała mi, że to „tam” – nie jest mitem, lecz realnością, a śmierć – to nie jest po prostu unicestwienie. Inaczej, po cóż byłoby się jej bać?

Rano, po krótkim dochodzeniu w komendanturze, mnie, Antona Szpaka i Pa-  
szę Kudinowa odesłali do karnego obozu. Żegnając się z nami, Ilinski objął mnie  
po ojcowsku i przez łzy powiedział nad uchem:

— Synku, trzymaj się Kudinowa. Z nim nie zginiesz.

Moje serce mówiło mi coś innego: Trzymaj się Boga, z Nim nie zginiesz.

I to była prawda.

## Szlaki – drogi

„Ech, drogi...  
Kurz i mgła,  
Zimno, trwogi  
I stepowy burzan.  
Znać nie możesz  
Doli swej:  
Może skrzydła złożysz  
W środku stepu”.  
(z frontowej pieśni)

Podczas wojny niemało musiałem przejść po drogach Rosji. Chodziłem w  
szeregach radzieckiej armii, chodziłem w kolumnach jeńców wojennych, chodzi-  
łem z łopatą w rękę, w roboczym batalionie. Lecz od tej pory, gdy w moim sercu  
powstała wiara w Boga, wiara mniejsza od gorczycznego ziarnka, słaba, pamięta-  
łem że nade mną jest niewidzialne oko Boże, Jego święta opieka.

Gdy w moje torbie podróżnej znalazła się Ewangelia, czytałem ją niezmiennie  
każdego dnia, dzieliłem się myślami z bliskimi przyjaciółmi, niekiedy się spiera-  
łem, wątpiłem, szukałem.

Na drogach, na których „zimno, trwogi i stepowy burzan”, nie śpiewano wtedy  
wesołych, zawadiackich pieśni. Wszystkim wtedy było szybciej do łez niż do we-  
sołych pieśni.

Przez długi czas ciągłym moim towarzyszem był inżynier N., pięćdziesięciolet-  
ni człowiek z czarną, koźlą bródką i dużymi, mądrymi oczami, spokojny, skromny,  
prawie nie zauważalny wśród różnobarwnej braci jenieckiej. Przystając na nocleg,  
szukaliśmy cichego kąta, żeby porozmawiać o Bogu, o zbawieniu duszy, w ogóle  
o religii. Rozmawialiśmy też i o wojnie, wyznaczaliśmy terminy jej końca, ale nig-  
dy nie mówiliśmy o naszej powszedniości. Inżynier tego nie lubił.

— Zaufaj, przyjacielu, Bogu – pouczał mnie po ojcowsku. – On wie, jak ciebie  
uratować, jak wyprowadzić na wolność.

Inżynier był człowiekiem głęboko wierzącym, szczerym i uczciwym, i zawsze  
mnie dziwiło, jak mógł ze swoim światopoglądem pracować w Moskwie, w dużych  
zakładach i na rządowych budowach.

Moje materialistyczne poglądy na życie kruszyły się z każdym dniem. Bardzo  
chciałem, aby ideały socjalistycznego społeczeństwa brały swoje początki nie od  
Marksa, ale z nauki Chrystusa, z Jego przykazania miłości do Boga i bliźniego.

Zrozumiałem, że próby utworzenia kolektywu, opartego na wzajemnym zrozu-  
mieniu obowiązków i współpracy ludzi, trafiają i będą trafiać na pułapki ludzkiej

pożądliwości, egoizmu i okrucieństwa. Czy nie od serca, nie od wewnątrz należy zaczynać budowę nowego społeczeństwa? Ludzie, odrzucając Boga, pokazali swoją absolutną bezsilność w naprawianiu zepsutego charakteru człowieka, jego grzesznej natury.

Evangeliczna nauka przyciągała mnie swoją prostotą, mądrością, swoją żywotnością, praktyczną stroną. Ta nauka pokazywała mi mnie samego, moją nicność i niezdolność życia prawidłowym życiem bez pomocy Najwyższego. Czuję, że do pełni rozumnego życia czegoś we mnie brakuje, tym bardziej brakuje teraz, gdy jestem w niewoli jako jeńiec u wroga. I znowu powstawało pytanie: skąd wywodzi swój początek świat? Jakie jest moje miejsce na ziemi? Po cóż muszę żyć i cierpieć? Czy nie lepiej skończyć z sobą, jak to czynili niektórzy?

Pomocą w rozwiązywaniu tych problemów był inżynier N. Znał on moje trudności i nie opuszczał sposobności, aby pocieszyć mnie, pouczyć, podpowiedzieć.

To, co studiowałem przy studenckim stole przez parę lat, tu na polach Smoleńszczyzny i Białorusi samo życie poddało surowemu sprawdzianowi. Jeżeli materialiści proponowali przyjęcie na wiarę nauki o materii, że nie ma ona ani początku, ani końca w czasie i przestrzeni, lecz zawsze była, jest i będzie, to dla czego ja – tak myślałem – nie mogę, za przykładem inżyniera N., przyjąć do serca nauki o Bogu, że jest On wieczny, nie ma ani początku, ani końca, ale był, jest i będzie?

„Na początku była materia” – nauczali mnie w szkole. Lecz skąd się wzięła materia? – nie dano mi odpowiedzi. A jeżeli nie wiecie – myślałem – skąd się wzięła materia, jeżeli nie możecie mi tego wyjaśnić, to mam pełne prawo uznać Boga Stwórcę, mam podstawę, żeby uwierzyć w Niego.

Jeszcze uczono mnie, że wszystko powstało z już istniejącej materii wskutek oddziaływania na nią jej istniejącej energii. Lecz, co wyrwało materię z bezruchu i dało jej pierwszy bodziec, powodujący ruch? – na to nie dano mi odpowiedzi.

Światło Ewangelii obnażyło pustkę moich materialistycznych poglądów, dotyczących początku wszystkiego, co istnieje. Jeżeli wszyscy naturaliści i darwiniści przyznają, że całe życie pochodzi od życia, to w jaki sposób mógł powstać pierwszy zarodek? Przypomniały mi się gazetowe artykuły o żywej komórce. Kiedyś je wycinałem, zbierałem, lecz nic mi one nie dały. Jak wiadomo, doświadczenia ze stworzeniem żywej komórki do tej pory nie dały pozytywnych rezultatów.

W końcu rozmyślałem o tym, w jaki sposób powstają myśli? Jeżeli myśl jest wydzieliną mózgu, jak żółć jest wydzieliną wątroby, w takim przypadku myśl powinna być materią. A jednocześnie wszyscy wiemy, że myśl, jak i nasza świadomość – jest zjawiskiem wybitnie duchowym.

Tak każdego dnia, często ze śmiercią w oczach, uzyskiwałem przekonanie o istnieniu Boga, o istnieniu Stwórcy wszystkiego, co istnieje.

Jednakże tej wiary, tego uznania Boga, było za mało, bardzo mało, żeby znaleźć wytłumaczenie przeżywanych wówczas wydarzeń. Nawet inżynier N. ze swoim filozoficznym myśleniem często wruszał ramionami i chowając przede mną swoje oczy, mówił jakby do siebie:

— Nie wszystko jest nam zrozumiałe. A to jeszcze raz dowodzi, że jest ponad wszystkim jakiś Umysł, że są myśli i cele ponad naszym rozumieniem.

Najbardziej niepokoiły mnie cierpienia niewinnych ludzi. Niepokoiły cierpienia dzieci. Jakoś zimną jesienią pod koniec pochmurnego, krótkiego dnia, szedłem

do wsi Gowiaźnia Słoboda (Brianski obwód). Szedłem ukradkiem, jak zając, po partyzancku, prawie nieprzejezdną drogą. Ostry wiatr, jak bezpański pies myszkował po zaroślach, biegł mi na spotkanie, przeszkadzał w drodze. Nieoczekiwanie przy drodze zauważyłem troje dzieci, przycupniętych pod krzakiem przy kopczyku świeżej ziemi. Była to mogiła ich matki. Zabili ją Niemcy za kontakty z partyzantami. Starsza dziewczynka nie miała więcej, jak siedem lat. Twarze dzieci posiniały z zimna. Jak wystraszone młode zajączki, trzymały się jedno drugiego i w rozstargnieniu patrzyły na mnie.

Starając się zachowywać delikatnie, zapytałem najstarsze:

— Dzieciaki, co się stało? Dlaczego tu siedzicie? Idźcie do domu...

— My nie mamy domu – cicho, ledwo słyszalnie, przemówiła dziewczynka i zaczęła płakać. Jej plecki drżały, drżały ręce. Dwoje młodszych dzieci były tak osłabione, że już nie mogły płakać.

— Niemcy wysadzili naszą ziemiankę – ze strachem wyszeptła dziewczynka.

— A gdzie wasza mama? – zapytałem.

— Zastrzelili... – przemówiła średnia i wskazała mi ręką na kopczyk ziemi.

— Wstawajcie, odprowadzę was do wsi – nalegałem. – Przecież w Słobodzie teraz nie ma Niemców.

Dzieci milczały.

— Co będziecie robić?

— My umrzemy tu razem z mamą... – odpowiedziała starsza przez zły.

Widok tych dzieci na tyle poruszył moje serce, że nie mogłem się powstrzymać, aby nie podnieść głosu:

— Boże, za co te dzieci muszą cierpieć?

Starsza dziewczynka, prawdopodobnie czując odpowiedzialność za młodsze siostry, jeszcze głośniej się rozpląkała i zaczęła prosić:

— Wujku, nie zostawiaj nas. My pójdziemy z tobą...

One nie wiedziały, że wujek też nie miał gdzie przytulić głowy.

Ten przypadek w żaden sposób nie mógł się pogodzić w mojej świadomości z wiarą w żywego i sprawiedliwego Boga, jakiego objawiła mi Go Ewangelia.

Niech już cierpią grzesznicy – rozumiem – to według zasług. Ale dzieci, dzieci...?

Rok później podczas odwrotu Niemców, na peryferiach stacji kolejowej w Czsausach (na Białorusi) spotkałem kobietę. Siedziała ona na ulicy w pobliżu spalonego, jeszcze ciągle dymiącego się domu. Na rękach miała pięcioletniego chłopczyka, który zmarł od uderzenia odłamka. W rękę, obejmując dziecko, kobieta trzymała wymiętą, zakrwawioną czapkę męża. Nie zdecydowałem się, żeby do niej podejść. Wszystko jedno, w niczym nie mogłem jej pomóc. Ból kobiety był tak wielki, że siedziała ona dosłownie, jak nieprzytomna i nie mrugając oczami, dziko patrzyła na czapkę swego męża.

Ludzie podchodzili, na chwilę przystawali i znowu odchodzili. Niedaleko wybuchwały pociski dalekosieżnej, radzieckiej artylerii, na polach paliły się snopy tylko co zebranego żyta, dym zaścierał ulice. Niektórzy opowiadali:

— Jej męża Niemcy zastrzelili. Mówią, że trącił jednego grabieżcę. A teraz tylko jedna czapka żonie została. Niemcy wszystko zniszczyli...

I mimo woli powstawało to samo pytanie:

— Panie, za co...?

Przypominam biedną staruszkę, której córkę bestialsko zabili pijani żołnierze. Klęczała ona z podniesionymi rękami ku niebu i krzyczała w próżnię:

— Ludzie, ludzie, dokąd zabraliście moje szczęście? Gdzie moja Natasza...?

Kobieta zwariowała.

A później, już przed zakończeniem wojny, na ulicach Berlina, po okropnym bombardowaniu wyszedłem ze schronu przeciwlotniczego na Angalterstasse i to, co ujrzałem, wydało się mi piekłem. Paliły się zburzone domy i nikt nie próbował ich gasić. Gryzący, trujący dym uniemożliwiał oddychanie. Na słupach wisiały urwane przewody, leżały przewrócone tramwaje, ludzie uciekali. A w całym tym zamęciu, na chodniku, trzyletnia dziewczynka tarosiła mamę:

— Mutti, mutti... – płakała – stehe auf, mutti!

Spod czarnej bluzy matki sączyła się krew. Została ona śmiertelnie raniona.

Panie Boże, za co cierpią dzieci? W czym są winne? Jak mam wierzyć w Twoje miłosierdzie, w Twoją miłość do człowieka?

Pewnego razu na moich oczach serią z automatu, z bardzo bliskiej odległości, zza węgła, został śmiertelnie raniony mój przyjaciel i krajan I.Orłow. Gdy do niego podbiegłem, żeby udzielić pomocy, on swoimi rękami gorączkowo wsadzał wnętrzności do brzucha i prawie bezdźwięcznie mówił:

— No i wszystko... Odwojowałem. Za co zabili? – sam nie wiem... I moi, Rosjanie...

— Napisz córce, że tata...

Już nie dokończył. Momentalnie stracił przytomność.

I znowu przychodziło to samo pytanie:

— Panie, za co to wszystko?

Z tym pytaniem, wielkim i dużo znaczącym, długo chodziłem. Pytałem się, co o tym myślą inni. Jedni mówili: „Bóg nie ma z tym nic wspólnego, jeśli to ludzie sami czynią”. Inni mówili: „Bóg to dopuszcza, żeby ludzie okazali zło i w końcu sami zrozumieli, że bez Niego świat sam siebie zniszczy”. A niektórzy z niedowierzaniem kręcili głowami: „Gdzie tam Bóg...? Gdyby On był, to dawno spaliłby przekłętą ziemię”.

Moja Ewangelia, którą troskliwie chroniłem, jakoś zaczęła tracić moje zainteresowanie. Czytałem ją rzadziej, częściej z przypadku i bardziej z powodu prośby sąsiadów.

Później, gdy moja zniszczona, ale pamiętna Ewangelia odjechała do ojczyzny (razem z rzeczami repatriantów), nabyłem Biblię. Czytałem ją po kolei z wielkim zainteresowaniem, chociaż dużo rzeczy było w niej niezrozumiałych. Za kolczastymi drutami miałem dużo czasu. Gdy czytałem proroctwo Izajasza o Izraelu, poruszyły mnie Boże słowa:

„W co jeszcze można was bić, gdy nadal trwacie w odstępstwie?” (Iz.1:5).

I wtedy przemknęła mi myśl: czy i dziś nie może tak być, że miliony ludzi, uważając siebie za chrześcijan, odstępuje i nie ulega Bogu? Bóg, pragnąc ich przebudzić i przybliżyć do Siebie, dopuszcza trudności, cierpienia, wojny. Czy nie może tak być, że za nieposłuszeństwo ojców cierpią dzieci? Ojcowie powinni o tym pomyśleć.

Ojciec karze swoje dzieci ze względu na ich dobro, ze względu na zrozumienie, a być może, że i dla ich ratunku. Karze je dlatego, że je kocha. O, jak często nieposłuszne dzieci pozostają nieposłusznymi, nie patrząc na napomnienia i ka-

ranie ojców. Czyż tak nie jest i z nami w stosunku do Boga?

Tylko dzięki temu, że znalazłem się w ciężkich warunkach, przebudziła się i moja dusza, wołała do Boga o pomoc. A daj mi dobrobyt i dobre życie, a ja i za sto lat nie wspomnę mojego Zbawiciela. Taka jest nasza grzeszna natura. Nie przypadkiem powstało i jest wśród ludzi powiedzenie: „Gdy trwoga, to do Boga”.

Kiedys w amerykańskim czasopiśmie przeczytałem notatkę o życiu kaznodziei H. w Abisynii. Pewnego razu modlił się on tak:

„Drogi Jezusie, ześlij nam duży smutek. Gdy nasz kraj był pod okupacją, król był na wygnaniu, gdy dzieci nie miały chleba, Ty wiesz, Panie, jak dużo ludzi przychodziło do piwnicy na modlitwę. Każdej nocy byli pragnący, żeby się ochrzcić w imię Twoje. A teraz wojna minęła. Nasz król wrócił. I kościoły nasze puste, ludzie odrzucają Twoje Słowo, Twoją miłość... Panie, dla zbawienia wielu dusz, ześlij nam więcej cierpień...”.

Czy nie w tym jest odpowiedź na moje pytanie: „Za co, Panie...?”.

Pamiętam, że moje czytanie Ewangelii nie zawsze było powodowane szukaniem prawdy, chleba życia. Często czytałem Ewangelię ze strachu.

Wielką prawdę rzekł mi Pan przez apostoła Pawła: „Nie masz kto by szukał Boga”. I ja Go nie szukałem. Szukałem tego, co Bóg daje i dobrobytu, szczęścia, pomyślności. Często moją uwagę przyciągał 7 rozdział Listu do Rzymian. W jego ostatniej części widziałem obraz moich przeżyć, jak gdyby wszystko było o mnie: „Gdyż nie to czynię, co chcę, ale czego nienawidzę, to czynię. Albowiem nie czynię dobrego, które chcę, tylko złe, którego nie chcę, to czynię. Nędzny ja człowiek! Któż mnie wybawi z tego ciała śmierci?”.

Niekiedy brałem notes i z twardym postanowieniem czyniłem taki zapis: „Dziś, takiej to daty, pozostawiam wszelki znany mi grzech i będę żył czystym życiem, jak naucza Ewangelia”. Ale już za parę dni, nie mając w sobie mocy przeciwstawiania się grzechowi, z bólem w sercu wyrwałem tę kartkę. Wtedy przychodziły myśli o tym, że Ewangelia jest nieżyłkowa, jak gdyby to nie ja, lecz ona, Ewangelia, winna była moich niepowodzeń. Przychodziły też wątplenia: być może, że Bóg to tylko bierna moc, a człowiek to zwierzę, produkt wielowiekowej ewolucji? Lecz wstydziłem się za siebie, za niedorzeczne myśli. Nie, ja wierzyłem w Boga, w Jego twórczą moc, w Ewangelię, a jednocześnie pozostawałem zgubionym grzesznikiem.

Oczekiwały mnie jeszcze inne, bardziej głębsze przeżycia, pełne i absolutne rozczarowanie w stosunku do siebie, a po tym wszystkim – nowe życie w Chrystusie Jezusie.

## Cerkiew i ludzie

24 lutego 1946 roku – pamiętny dzień rosyjskich „emigrantów”. W tym dniu, niedaleko małego bawarskiego miasteczka Platling, rozegrała się niebywała w historii tragedia. W tym dniu amerykańskie dowództwo okupacyjnej armii w Niemczech, z rozkazu Waszyngtonu, przemocą wydało 550 byłych oficerów czerwonej armii radzieckiemu rządowi.

Napisano o tym już niemało książek, artykułów i wspomnień. Ci, którzy ocalili, będą pamiętać przez całe życie, jak wczesnym rankiem do baraków wtargnęli żoł-

nierze „Pierwszej Chrześcijańskiej Dywizji” z czerwonymi krzyżami na rękawach. Puszczając w ruch grube pałki, błyskawicznie podnieśli cały obóz na nogi i wygnali wszystkich na dziedziniec. Od żołnierzy czuć było wódką, wściekle krzyčili, klęli i bezlitośnie bili.

Ustawiono nas w rzędy pod silną obstawą, w pół rozebranych, z podniesionymi rękami. Odbywała się dokładna rewizja. Szukali przede wszystkim brzytw, którymi ludzie mogliby przecinać sobie żyły.

Zimny wiatr przewiewał do szpiku kości, mokry śnieg padał za kołnierz i lodowatymi kroplami ściekał po plecach.

Kim byli ci ludzie, w których liczbie się znalazłem i ja?

Ci ludzie nie byli przestępcami w stosunku do swojego narodu. Wielu z nich nie wystrzeliło ani razu przez całą wojnę. Wielu, jak i ja, zostało uwolnionych z nazistowskich obozów. Z powodu ciężkiego, nie do zniesienia, jenieckiego życia, ludzie ci zostali uznani przez rząd za zdrajców i to było ich najcięższe przestępstwo.

W tym dniu wypełniły się moje najgorsze przeczucia. W tym wydarzeniu ujrzałem sąd Boży, sąd sprawiedliwy, zasłużony. Teraz mi nic nie pozostało robić, jak znowu się zwrócić do Boga z pokutą, z modlitwą, znowu prosić Go o obronę i zmiłowanie, prosić o ratunek. Lubiłem modlitwę Eframa Sirima: „Panie, Władco mego życia...”. Lecz teraz ta modlitwa nie wyrażała moich potrzeb i modliłem się modlitwą celnika: „Boże, zmiłuj się nade mną, grzesznym” lub prosto swoimi słowami: Boże, zachowaj mnie przed repatriacją, uratuj ze względu na żonę, która zostaje sama, nieszczęsna...

Mijały straszliwe chwile, odnotowane przez poetę Kudaszewa:

„Z otwartego gardła płynąca krew  
Krzyczy bezdźwięczną strugą  
I zdjęty z szubienicy powraca znowu  
Do sznura, który wabi pętlą...”.

Pod koniec dnia przyszła odpowiedź na moją modlitwę. W ostatniej chwili, już przed otwartym wagonem, dokonał się cud.

Pięciu ludzi z przeciętymi żyłami i jeden – z podciętym gardłem, zostali w ostatnim momencie zdjęci z ciężarówki. Potrzebna im była szybka pomoc.

Przez parę godzin leżałem na szpitalnym łóżku. Serce wypełniało się wdzięcznością dla Najwyższego. Jak to się wszystko wydarzyło – ciężko jest wspominać, ale i nie można zapomnieć.

Następnego dnia przyszedł do mnie katolicki mnich. Dał mi medalik z wizerunkiem Marii Panny jako „pewną przepustkę do Królestwa Niebieskiego”. Czuli i zwracający uwagę na duchowe potrzeby mnich, spełnił moją prośbę i zaprosił prawosławnego kapłana. Wypowiadałem się dla niego, przyjąłem i komunie świętą. Lecz wszystko to tylko chwilowo przyniosło mi ulgę. Zewnętrznie, jak gdyby byłem gotowy na spotkanie śmierci, a w sercu nie miałem ani pokoju, ani przebaczenia „wszystkim i wszystkiemu”.

Po trzech tygodniach przewieziono mnie do dużego obozu, z którego cudem udało mi się uciec. Znalazłem się na wolności.

W pierwszą niedzielę poszedłem do kościoła, aby podziękować mojemu Wy-

bawicielowi. Za ostatnie grosze kupiłem parę świec i z wdzięcznością postawiłem je przed świętymi. Od tej pory gorliwie i przykładowie przychodziłem do cerkwi. Jeszcze raz obiecałem Bogu, że będę stale czytał Biblię, się modlił i unikał wszelkiego zła. Lecz, pozostając wiernym tej obietnicy, jednocześnie pozostawałem wierny i mojemu „złemu gościowi”. On panował nad moimi pragnieniami, myślami, uczuciami i dlatego szybko, bardzo szybko się znalazłem na szerokiej drodze grzesznego życia.

A to jeszcze bardziej ciągnęło mnie do cerkwi, pobudzało do poszukiwań zwycięstwa nad grzechem, zwycięstwa nad samym sobą.

Czytałem duchową literaturę i starałem się trzymać pouczeń ojców prawosławnej cerkwi i rosyjskich świętych:

"Dwa razy stawajcie przed obiadem, dwa razy po obiedzie, za każdym razem odmawiając sto modlitw Jezusowych z pokłonami... Modlitwę Jezusową powtarzajcie 5-10 razy i więcej. 33 razy, według liczby lat przebywania Pana na ziemi. Lub po prostu weź 24 modlitwy Złotoustego. Gdy język się przyzwyczai, będą one czytały się same z siebie". („O modlitwie Jezusowej Świętego Fieofona”. Wyd. w Monachium, 1947, str.6-7).

Rzeczywiście, rację ma święty: mój język się przyzwyczaił i wszystko się czytało tak właśnie, jak mówi Fieofon, „samo z siebie”. Ale cóż to dawało mojej chorej duszy, choremu sercu? Nie trudno było mi odgadnąć, że bezduszna forma wyuczonych modlitw, cudzych modlitw, nie może mnie zjednoczyć z Bogiem. Po modlitwach, które przed snem gorliwie czytałem na kolanach, jeszcze bardziej popadałem w przygnębienie.

Po dwóch i pół roku Pan objawił mi, że nie Bogu są potrzebne nasze modlitwy, a nam samym, modlitwy żywe, szczerze, serdeczne. A taka modlitwa nie jest modlitwą wyuczoną, ale pochodzącą z serca. Zobaczyłem też, że można czytać Ewangelię codziennie i wszystkie 24 modlitwy Złotoustego, i ciągle pozostawać w grzechach, to znaczy, być zgubionym człowiekiem. Bogu nie są potrzebne nasze modlitwy, ale nasze serce, my sami. A moje serce ciągle jeszcze było zamknięte dla Boga.

Kiedyś w wielką przed wielkanocną sobotę, pojechałem do cerkwi Świętego Nikołaja z ciastem i tradycyjnymi jajkami w celu poświęcenia. Cały dzień pościłem i dawało mi to moralne wzmocnienie, usposabiało świątecznie i duchowo.

Nieduże pomieszczenie cerkwi było przepelnione ludźmi. W zwykłe nabożeństwa pusta, a tym razem cerkiew niebywale była wypełniona ludźmi. Ludzie się tłoczyli w korytarzu, stali na ulicy, w ogrodzie. Ja stałem przy ścianie przed obrazem Zbawiciela i słuchałem cudownych, chóralnych śpiewów wielkanocnych. Uczucie wzruszenia wypełniało serce, ogarniało duszę, a przebudzone sumienie osądzało moją niewdzięczność w stosunku do mojego Boga, moje bezwstydne i niegodne chrześcijanina życie. Ciężki kamień tęsknoty i beznadziejności przygniatał moją pierś, chciało się płakać.

Cerkiewny chór, składający się głównie z zawodowych śpiewaków, śpiewał wzruszająco i rozczulająco, śpiewał o triumfie Życia nad śmiercią, Prawdy nad kłamstwem. Przez uchylone, bukowe drzwi, widziałem wszystkich śpiewających. Na wymalowanych twarzach kobiet widniały uśmiechy. Podczas przerw jedni rozmawiali, inni powściągliwie się śmiali. A gdy kapłan zaśpiewał: „Twoja z Twoich, Tobie przynieszone, o wszystkich i za wszystko”, tęgi dyrygent z przyzwyczajenia

machnął batutą i chór zaśpiewał:

„Tobie śpiewamy, Ciebie błogosławimy...”.

Lecz tu wydarzyło się nieszczęście. Tenorowi załamał się głos i wydał fałszywy dźwięk. Nerwowa twarz dyrygenta się zachmurzyła, wyrażając tragedię i złość. To spowodowało śmiech tych, którzy nie śpiewali, niektórzy chytrze się uśmiechali, mrugali porozumiewawczo.

Ze wszystkiego było widać, że śpiewający nie przeżywali tego, co śpiewały ich usta. Ich wzruszający śpiew wzywał ku niebu, do czystego i uświęconego życia, a oni sami, jak i ja, żyli w grzechach, w korycie ziemskich zainteresowań.

Wystraszyłem się ujrawszy w sobie fałszywego religianta, formalistę na pokaz, miałem chęć pluć w swoją własną duszę, aby nie oszukiwała ani siebie, ani innych ludzi.

Podczas procesji wokół świątyni, wszyscy zaśpiewali: „Zmartwychwstanie Twoje Chryste zbawi...”. A gdzie jest nasze zmartwychwstanie? – myślałem. Czy długo, my chrześcijanie, będziemy żyć w tej zgnitej atmosferze, gdzie wokół są niekończące się plotki, donosy, gdzie trwa ożywiony handel swoim sumieniem?

W procesji dookoła świątyni szedł ze mną doktor W. Był to młody, lecz religijny człowiek, uczestniczący w nabożeństwach od początku do końca. Wspólnie, w jednym czasie, przeżywaliliśmy straszne dni wojny.

Stanęliśmy w długą kolejkę, zbliżaliśmy się do krzyża, a później doktor W. rzekł:

— No, a teraz do mnie. Razem posilimy się po skończonym poście... Powspomnamy naszą poniewierkę...

A że tramwaje jeszcze nie zaczęły jeździć, postanowiłem jakiś czas spędzić u doktora. Mieszkał on w bogatej, niemieckiej willi. Tak samo mieszkał proboszcz parafii, ojciec H.

Weszliśmy na drugie piętro. Stół został zastawiony prawdopodobnie wczoraj wieczorem. Na stole stała butelka wódki. Tradycyjne śniadanie rozpoczęło się od święconego jajka i ciasta. Doktor napełnił szklanki.

W korytarzu ktoś miarowo chodził tam i z powrotem, jak zegar. Doktor wstał i zamknął drzwi na haczyk.

— To ojciec H. – wyjaśnił. Ma on, bracie, węch wyźła. Do kieliszka, jak mucha do miodu...

Żona doktora, przyjemna i dobroduszna kobieta, zauważyła:

— Wiecie, wczoraj pod wieczór, przed nabożeństwem, mój mąż dał ojcu H. dobrą radę: nie pić do rana. I tak, wszystko jedno nie wytrzymał. A teraz słyszy-cie, chodzi pod drzwiami, jak zegar, czeka za zaproszenie.

— No, no... żadnych zaproszeń – rzekł doktor półgłosem.

— Jak to? – ze zdziwieniem wykrzyknąłem. W moich ustach tkwił kęs szynki. – Czyż ojciec H. przed nabożeństwem pozwolił sobie na wypicie? Czyżby on nie pościł...?

— On pości, gdy śpi – zauważyła żona doktora.

Doktor zmiarkował, że należałoby o tym milczeć, ale teraz było już za późno. Stała się naprawić gafę żony:

— Ojciec H. nie przywiązuje do tego szczególnego znaczenia. Jest on człowiekiem wierzącym, lecz realistą. Ja lubię takich. Wypić przed cerkiewnym nabo-

żeństwem – przecież to nie zmienia sedna.

— Oznacza to, że te ręce, które pobożnie całowałem, zbliżając się do krzyża, niedawno trzymały kielich z diabelskim lekarstwem – rzekłem – i ostrym ruchem ręki odepchnąłem od siebie szklankę.

— Nie, nie, przyjacielu, tak to nie będzie. Wypić, to wypijesz. Ale na początek, posłuchaj: ja wychowałem się przy cerkwi, wszystko wiem. Powiem prawdę, że dla większości kapłanów służenie w cerkwi jest, jak liczenie na liczydłach buchalterowi. Zawód, rozumiesz? Nie ma czego się denerwować. Przecież każdy baran za swoją nogę jest uwiązany. Każdy za siebie odpowie przed Bogiem. Ty przecież modliłeś się nie do kapłana, ale do Boga? Co ci do tego, że kapłan przed nabożeństwem odrobinę dziobnął? A może mu to sprzyja na głos...?

— Ale przecież pijaństwo to grzech? Kto tego nie wie? – protestowałem.

— No, a gdzie jest napisane? Czyż w Kanie Galilejskiej Chrystus nie przemienił wody w wino? Pierwszej jakości...

Rzeczywiście, na to pytanie nie miałem odpowiedzi.

— A później – kontynuował doktor – podejź do tego problemu z medycznego punktu widzenia. Ja, jako lekarz, śmiem twierdzić, że alkohol jest najlepszym środkiem dezynfekcyjnym. Pomyśl tylko, co ja i ty jedliśmy w niewoli...? Oczywiście, alkohol szkodzi, gdy nadużywasz go. – Zakończył doktor, stawiając przede mną pełną szklankę.

— Według rosyjskiego zwyczaju, według prawosławnego... Wypijemy po jednym i będzie weselej.

Moje uniesienie nie minęło i gotów byłem odejść od stołu, od pokuszenia. Przecież zupełnie niedawno przyrzekałem sobie, więcej nie zbliżać się do kieliszka. Doktor zauważył mój zamiar, schwycił mnie za rękę i stając na drodze do drzwi, wyrzekł:

— Ty mnie krzywdzisz. Tak nie może być. Musisz wypić lub wyrzec się mnie jako przyjaciela.

Wypiłem.

Po pierwszej, dość pojemnej szklance, zrobiło się weselej. Wydawać mogłoby się, że stałem się innym człowiekiem. A ten, inny człowiek, zapomniał wykładu doktora o pożytku i szkodliwości alkoholu. Ten, inny człowiek, zapragnął wypić jeszcze i jeszcze. Na stole pojawiła się druga butelka.

— A gdzie miara? – pytała się żona doktora. – Po którym kieliszku można uważać, że alkohol szkodzi?

— Pijących o to nie pytają, odpowiadał mąż, płaczącym się językiem. – Niemcy piją dotąd, aż kieliszek zaczyna się dwoić przed oczami, a my, prawosławni lud, pijemy, póki przestaniemy cokolwiek widzieć...

— A wszystko jedno, moi przyjaciele, picie wódki przez kapłana – to duży grzech – upierałem się, ostatecznie zamroczony. – Inna sprawa – my, zwykli śmiertelnicy... Gdzie nam uniknąć pokuszenia. Ale ja, uwierzcie, piję ostatni raz. Wystarczy...!

— Ostatnia u popa żonka... – żartowała żona doktora. – Zobaczmy, jaki to będzie ostatni...

— Śpiewaj przyjacielu! W przykazaniach nic o tym nie pisze – w podnieceniu wykrzykiwał doktor.

Na podwórku było już jasno. Przez otwarte na oścież okna tchnęło świeżo-

ścią. Z ogrodu dolatywało radosne kwilenie ptaków, sławiące Stwórcę.

— Dawaj, mój przyjacielu – męczenniku, zaśpiewamy twoją ulubioną pieśń – powiedział doktor już płaczącym się, bełkoczącym językiem. Położył mi na ramię rękę i tępo wpatrując się w ścianę, cicho zaśpiewał swoim dźwięcznym barytonem. Pochyliłem głowę, zamknąłem oczy, aby żona doktora nie widziała też i podchwyciłem słowa:

„Żona znajdzie sobie innego,  
A matka syneczka nigdy–y–y...”.

## **Szukający znajduje**

**„Do mnie się zwróćcie... abyście byli zbawione” (Iz.45:22).**

7-go sierpnia 1948 roku, w cichy, poobiedni czas, usłyszałem delikatne stukanie do drzwi.

— Proszę wejść!

Do pokoju wszedł barczysty, pięćdziesięcioletni mężczyzna, o jasnym i bezpośrednim spojrzeniu, z przyciągającym uśmiechem na okrągłej, dokładnie wygolonej twarzy. Zdjął kapelusz, później rogowe okulary i przecierając je, zapytał:

— Proszę mi powiedzieć, interesuje pana duchowa literatura? Otwierając wolno zasznurowaną torbę, gość kontynuował:

— Jest to cenne słowo, chleb dla duszy. Czytający nie będzie żałował...

Tego wieczora siedziałem do późnej godziny i czytałem zaproponowane mi książki. Wydawało się, że gość znał moje sekretne myśli, moje pytania, i w tych książkach znalazłem odpowiedź. Znalazłem w nich przekonujące dowody na korzyść żywej, zbawiającej wiary według Ewangelii. Szczególny wpływ uczyniła na mnie broszura L.D. Moody’ego, „Upamiętanie i pojednanie”. Autor pisał o przeżyciach wierzącego człowieka, których nie znałem. Porównywałem teksty w mojej Biblii i dziwiłem się, że do tej pory nie zauważałem ich, chociaż czytałem Biblię. Do mego serca przeniknął werset: „Kto wierzy w niego, nie będzie sądzony; kto zaś nie wierzy, już jest osądzony”. A kim ja właściwie jestem? Wierzącym, czy niewierzącym?

To pytanie nie odstępowało ode mnie i pragnąłem odnaleźć na nie dokładną odpowiedź.

Żona nie była zadowolona z mojego zainteresowania duchowymi problemami. Zabierały one dużo czasu. Denerwując się, nie raz powtarzała:

— Nie ku dobremu ta sprawa...

— Ja muszę sprawdzić siebie według Słowa Bożego i się dowiedzieć, jakim jestem wierzącym? Z Ewangelii się dowiedziałem, że i „demony wierzą”, i wiedzą, że Bóg istnieje, wiedzą też, że Chrystus umarł za grzeszników i zmartwychwstał, a jaki to ma sens, jeżeli demony sprzeciwiają się Bogu? Może i ja jestem po prostu obłudnikiem. Łatwo można siebie oszukać. I nazywać siebie można, jak się chce, ale widzę, że apostołowie mówią inaczej: „Poddawajcie samych siebie próbie, czy trwacie w wierze?” – usprawiedliwiałem się przed żoną.

Za parę dni, gdy wróciłem z pracy, spotkałem w moim pokoju znajomego.

— No, jak książki? – zapytał, zaczynając pierwszy rozmowę. – Spodobały

się?

— Takie książki nie mogą się podobać lub nie. Można się z nimi zgodzić lub nie – odpowiedziałem.

— I jak, zgodziliście się?

— Prawie! Lecz, w związku z tym powstały pytania.

— Możemy nimi się zająć, jeżeli pan chce. Biblia na nie odpowie, a Bóg może zrozumieć. Przecież Bóg wszystko przewidział i nic nie przeoczył z tego, co powinniśmy wiedzieć o zbawieniu duszy.

Zanim rozpoczął mówić, otworzył Ewangelię i przeczytał: „Beze mnie nic uczynić nie możecie”. – Tak powiedział Chrystus – dodał. – Dlatego, zanim zaczniemy rozmowę, dobrze byłoby się pomodlić.

Chętnie się zgodziłem i chciałem powstać od stołu, aby stanąć przed ikoną, która sieroco wisiła w kącie pokoju, ale mój znajomy, wstając, już zaczął się modlić:

— ...Boże, przez Ducha Świętego otwórz nasz umysł na zrozumienie Pisma...

Serdeczność i prostota jego modlitwy wywarła na mnie niewypowiedziane wrażenie. Odczułem, jak modlitwa usposobiła moje serce do przyjęcia ewangelicznych prawd.

A wszystko jedno, nasza dyskusja nie była zupełnie pokojowa. Na wiele zagadnień mieliśmy różne poglądy.

Zgodzić się, że tacy ludzie, jak wielebny Serafim, pokutnik Sarowski lub Jan z Kronsztadu, bezgrzeszni święci, czyżby byli zdolni się mylić i błędzić? Nie! Tego w żaden sposób nie mogłem przyjąć – sprzeciwiałem się.

— Co jest dla pana większym autorytetem: człowiek, niech nawet święty, czy Bóg, ludzka tradycja, czy Ewangelia Chrystusa, Boże Słowo? – zapytywał znajomy.

— Oczywiście, Ewangelia!

— To proszę posłuchać jeszcze raz, co mówi Ewangelia!

Czytał teksty i całe rozdziały, odpowiadające jasno i wyraźnie na wszystkie moje pytania. Lecz ani przekonujące Słowo Boże, ani pogładowe przykłady, przytaczane przez współrozmówcę, nie mogły rozwiać zakorzenionego przekonania o czczeniu ikon, o modlitwach za zmarłych, o cerkiewnych formach i obrzędach.

— Są to pozostałości judaizmu i pogaństwa! Ludzkie wymysły! – stanowczo upierał się znajomy. – W nowotestamentowym, apostołskim Kościele, czegoś takiego nie znajdujemy. Oto Ewangelie, oto Dzieje Apostolskie! Proszę mi znaleźć chociaż jedną podstawę, a ja szybko się zgodzę z pańskimi dowodami, wyrzeknę się swoich przekonań...

Rzeczywiście, miałem o czym myśleć. Uznawałem Ewangelię jako Boże objawienie, a jednocześnie nie wierzyłem w nie. Powstało zwątpienie w wiarygodność powstania odbicia twarzy Jezusa Chrystusa. Nie znalazłem w Ewangelii historii o tym, że Jezus, gdy szedł na Golgotę, wytarł pot z twarzy, a na ręczniku odbił się Jego wizerunek.

— W samej rzeczy – myślałem – dlaczego ani jeden ewangelista nie wspomina o tym? Czyż to jest mało ważny fakt? Czyż takie wydarzenie mogło być nie zauważone przez uczniów? Czy jest rozumnie opierać wiarę na tradycji i przekazach ludzkich, lekceważąc Pismo? Czy nie o tym mówił Chrystus jerozolimskim

faryzeuszom i uczonym w Piśmie: „A dlaczego to wy przestępujecie przykazania Boże dla nauki waszej?” i jeszcze: „Przykazania Boże zaniedbujecie, a ludzkiej nauki się trzymacie”. „Chytrze uchylacie przykazania Boże, aby naukę swoją zachować”. Czy nie lepiej zaufać słowu Ewangelii i przyjąć je takim, jak jest napisane? A ileż takich tradycji żyje wśród ludzi! Czy nie stąd wszystkie nasze błędy i niewiedza? – myślałem.

Zainteresowanie Ewangelią wzrastało z każdym dniem. Teraz czytałem ją nie ze względu na strach, a ze względu na chleb życia, czytałem z jakimś szczególnym pragnieniem, jak gdyby pierwszy raz, aby wniknąć w ukryty sens prostych wypowiedzi Chrystusa. Oto On, Niebiański Nauczyciel, mówi Samarytance przy studni Jakuba: „Lecz nadchodzi godzina i teraz jest, kiedy prawdziwi czciciele będą oddawali Ojcu cześć w duchu i w prawdzie; bo i Ojciec takich szuka, którzy by mu tak cześć oddawali. Bóg jest duchem, a ci, którzy mu cześć oddają, winni mu ją oddawać w duchu i w prawdzie”.

Tak mijał tydzień. Powstawały nowe pytania, nowe wątpliwości.

Wieczorem, 13 sierpnia, mój nowy znajomy odwiedził mnie znowu. Tym razem rozmawialiśmy o roli prawosławia w rosyjskiej państwowości. To zagadnienie powstrzymywało mnie przed przyjęciem Prawdy.

— Nie można nie uznać faktu, że prawosławie sprzyjało tworzeniu się Rosji, wzmocnieniu i wzrostowi rosyjskiego państwa. Jak można teraz wyrzec się go? – zapytywałem współrozmówcę. – Są to nasze historyczne korzenie...

— To prawda! – odpowiadał spokojnie. – Fakty mówią same za siebie. Religia wiąże ludzi ze sobą, tym bardziej chrześcijańska. Odgrywała ona decydującą rolę w utwierdzeniu narodowej świadomości rosyjskiego narodu. Lecz są i inne fakty. Przez tysiąclecie to samo prawosławie odegrało nie mnie ważną rolę w rozkładzie tego państwa. A w jaki sposób? Przez odejście od Chrystusowej prawdy. Proszę przypomnieć, co ludzie mówili o kapłanach? I nie były to anegdoty, lecz gorzka prawda! Czyż swoim życiem duchowieństwo nie odrzucało nauki Chrystusa? Czy nie stąd wyrosły pędy bezbożnictwa?

— Ameryka, na przykład, obeszła się bez prawosławia – kontynuował współrozmówca – a proszę spojrzeć, jaki trwały fundament został położony! Miłująca wolność, sprawiedliwość, prawdziwie ewangeliczny...

Te i podobne wypowiedzi urażały moje patriotyczne uczucia i nastawiały mnie przeciwko znajomemu.

— Cenię chwalebne, historyczne stronicie mojej Ojczyzny, a one są związane z wiarą moich przodków – gorączkowałem się.

— Dlaczego pan mówi tylko o „chwalebnych” stronach? A gdzie podziąć „mniej chwalebne”? A one są i jest ich niemało... Nie można ich wyrwać. A później, jeżeli „chwalebna” wiara przodków nie daje mi potrzebnej mocy, aby zwyciężać grzech, jeżeli nie przynosi duszy pokoju, nie daje pewności zbawienia, wtedy – po cóż mi ona potrzebna? – zakończył znajomy, żegnając się ze mną w korytarzu.

Te słowa legły u podstawy moich rozmyślań.

Jednakże, już wcześniej uznałem, że poglądy ewangelistów, chociaż dobre i prawidłowe same w sobie, lecz dla mnie osobiście w żaden sposób nie pasują. Jestem młodym człowiekiem. A u nich, proszę: wypić – grzech, zapalić – grzech, kino i teatr – grzech. Nie dla mnie to...

Była już późna godzina, a wrażenie ostatniej rozmowy nie opuszczało mnie. Rozmyślałem, czyż ta droga, którą teraz idę, nie doprowadzi mnie do zbawienia? Sumienie mi podpowiadało, że Bóg nie może się zadowolić moim grzesznym życiem i życiem wszystkich, którzy tak samo myślą. Za bardzo kochamy i czynimy to, co jest przeciwko Bogu i co się przeciwstawia duchowi Ewangelii. W niedzielny ranek zajdziesz do cerkwi, przeżegnasz czoło, a wieczorem siedzisz przy patfonie, przy kieliszku wódki z beztroską pieśnią, jak gdyby nie było Chrystusa i Golgoty, jak gdyby tak było trzeba. Gdzie jest chrześcijański ideał? Gdzie uświęcone życie, gdzie cel, gdzie poświęcenie?

Tego wieczora nic innego nie przychodziło mi do głowy. Mój współrozmówca – myślałem – nie jest czczym gadułą, nie jest „namawiaczem”. Nie słodził swoich słów. Postawił przede mną poważne pytania i muszę odpowiedzieć na nie, obojętnie, co by się stało.

Położyłem się spać, lecz myśli ciągle się cisnęły w tym samym kierunku:

— Czyż ta mała garstka ludzi, nazywająca siebie ewangelistami, stoi na prawdziwej drodze, a przeważająca liczba ludzi się myli?

Przypomniały mi się słowa Chrystusa, które były czytane wieczorem: „Wchodźcie przez ciasną bramę; albowiem szeroka jest brama i przestronna droga, która wiedzie na zatracenie, a wielu jest takich, którzy przez nią wchodzi. A ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do żywota; i niewielu jest tych, którzy ją znajdują”.

Oznacza to, zgodnie z Pismem, że prawda zostanie przyjęta przez niewielu ludzi i prawdziwych naśladowców Chrystusa będzie niedużo. A większość, kim oni są? – Duchowi nieboszczycy? Obłudnicy? Bezbożnicy? Oznacza to, że mój wniosek, iż prawda jest określona przez większość, od podstaw zaprzecza słowom Chrystusa: „niewielu jest tych, którzy ją znajdują”.

Później przypomniała mi się modlitwa mojego współrozmówcy. On, ewangelista, dziękował Bogu za zbawienie swojej duszy od zatracenia i za życie wieczne, które otrzymał w Chrystusie i ma je już teraz.

— Tego w żaden sposób nie mogłem powiedzieć w swoich modlitwach. Jak można mówić o tym, że jestem zbawiony, gdy nie jestem tego pewny? Pewność tego, że Bóg odpuścił i przyjął mnie, byłaby dla mnie najbardziej cenną na świecie. Lecz, czy to jest możliwe? Nie, ja nie mogę przystanąć w pół drogi. Pójdę dalej. Będę szukał pełnej prawdy i nie spocznę, dopóki jej nie znajdę – stanowczo postanowiłem w sercu.

Było już dobrze po północy, gdy ponownie wstałem z łóżka, podszedłem do ikony i padłem na kolana:

„Bóg z martwych wzbudził i obdarzył Go” – czytałem szeptem modlitwy. „Wierzę w Boga Jedynego, Ojca Wszechmocnego...”.

Żona się przebudziła i z goryczą rzekła:

— No, mój drogi, starczy...! Jutro twojemu „prorokowi” nie otworzę drzwi... Po cóż ma mącić ci w głowie!

— Śpij spokojnie – odpowiedziałem. – „Prorok” jutro nie przyjdzie do nas. Ja sam pójdę do niego. On jest porządny, mądry człowiek. Pytanie, które przebudził w moim sercu jest bardzo poważne, odpowiedzieć na nie musimy i ja, i ty.

Bezsenność była długa i męcząca.

I oto sierpniowy poranek, słoneczny i piękny. Przez otwarte okno wdziera się

wiaterek, dochodzi szczebiot ptaszków. Sobota. Nie muszę iść do pracy. Lecz i to mnie nie cieszy. Postanowiłem pójść do starego i bliskiego przyjaciela, który był człowiekiem obytym, rozsądnym, uczciwym, aby o wszystkim mu opowiedzieć. Zawsze mu ufałem i liczyłem się z jego zdaniem.

Przyjaciel mój mieszkał na skraju miasta, w ciszy wiśniowych sadów, piętnaście wiorst od mojego domu, a pojechałem do niego na rowerze. Ulica wspięła się do góry i zsiadłem z roweru. Z przodu i z tyłu jechały samochody, kolebały się monachijskie tramwaje. Miasto, jak zburzone mrowisko, szumiało, huczało i było w ruchu. Zburzone i zniszczone domy, poopalane sady, wyłożone kamieniem brzegi Izary, szum wodospadu – obrazy obcego miasta jeszcze bardziej przywodziły smutne myśli o mojej przeszłości, teraźniejszości bez wyjścia i nieznannej przyszłości. Przypominałem rodzinną wieś i serce wypełniło się tęsknotą. Gdzie są dzisiaj Rosjanie, pochodzący z jednej wsi, prości, uczynni krajanie? Czy wy wiecie, że ja żyję, tak, żyję, i co za sens? Z wojny ocalałem, a dlaczego jestem taki nieszczęśliwy? A co to jest szczęście? W czym ono się zawiera?

W tej chwili ujrzałem na chodniku niedopałek z filtrem, ze śladami szminki do ust. Okropnie zachciało się mi zapalić, mąciło się w głowie. Parę dni minęło od tej pory, gdy postanowiłem (nie pierwszy już raz) rzucić palenie, ale... Jak powstrzymać siebie od pokuszenia? Raz się zaciągnąć, troszeczkę... Ulżyłoby.

Rozejrzałem się dookoła i podniosłem niedopałek. Rozpoczęła się już mi znana walka dwóch duchów. Widziałem w sobie dwóch ludzi, przeciwstawiających się jeden drugiemu. Który z nich zwycięży? Po czyjej stronie stanę?

Ten, niby nieznaczący przypadek, odkrywał mi wielką prawdę. Szukając zapalek po wszystkich kieszeniach, rozmawiałem sam z sobą:

— Szmata jesteś, a nie człowiek... Myślisz o światowych problemach, a swego własnego, małego problemu nie możesz rozwiązać. Mówisz, drobnostka? A ludzi się nie wstydziliś, podniosłeś niedopałek. Mówisz, mam silną wolę... Zapalisz i będziesz się cieszył kipem jakiegось, być może chorej, dziewczyny z ulicy...

Na szczęście, nie miałem zapalek.

— Kłamiesz – rzekłem do siebie, a przy tym tak głośno, że zrobiło mi się samemu głupio.

— Nie okłamuj sam siebie i nie mów, że jesteś człowiekiem, wierzącym w Boga Wszechmogącego – wyrzucałem sobie. – Wiara twoich przodków nie pomaga w odniesieniu zwycięstwa nad taką drobnostką, jak tytoń? A co mówić o czymś innym, bardziej poważnym? Po cóż ci potrzebna taka wiara? Żyć i ciągle grzeszyć można i bez wiary.

W tym momencie zmieniłem swoje plany. Postanowiłem pojechać na ewangeliczne nabożeństwo. Adres miałem w kieszeni. Po drodze roztarłem w palcach niedopałek tak dokładnie, jak bym wykonywał na nim wyrok. Tytoń z papierem kruszyły się i spadały na ulicę. Około czwartej godziny byłem na dziedzińcu domu modlitewnego. Z szarego, wrośniętego w ziemię domu rozlegał się uroczysty śpiew:

„Słyszę głos Twój,  
Wzywa mnie ku Tobie –  
Obmyć się krwią świętą,  
Przelaną na krzyżu”.

— Czy to nie mnie wzywa mnie ten głos? Wzywa pod krzyż Chrystusowy, wzywa do wiary, do nowego życia? Czy nie skończyć tu z moimi duchowymi rozterkami? – zapytywałem siebie.

A gdy otworzyłem drzwi i siadłem na ostatniej ławce, w sercu rozpoczęła się uprzednia walka dwóch duchów. Jeden mówił: „Uciekaj stąd. Po cóż tu jesteś? Kto cię zrozumie i pomoże?”. A drugi: „Dokąd pójdziesz? Nie masz dokąd się posiedzieć. Posiedź i posłuchaj. Co tracisz?”.

I pozostałem na nabożeństwie.

Szczególne, przejmujące wrażenie wywarły na mnie modlitwy wierzących: spokojne, serdeczne, proste, powściągliwe.

Po nabożeństwie witano mnie, jak serdecznego znajomego, chociaż nikogo nie znałem. Odczuwałem, że czegoś jest mi brak, aby śpiewać z tymi ludźmi:

„Ty jesteś mi najlepszy dział  
Nie śmiałem się spodziewać”.

O jakim najlepszym dziele oni śpiewali? O jakiej radości mówili, gdy w koło zniszczenie, niebezpieczeństwo repatriacji, okropna, krzycząca bieda?

Podszedł do mnie mój znajomy i pogodnie uśmiechając się, rzekł:

— Cieszę się, że pana widzę! Jak sprawy, przyjacielu? Zajedźmy dziś do mnie?

Zgodziłem się.

Godzinę później siedzieliśmy w jego przytulnym, małym pokoju.

— Pan obiecał być tam, gdzie dwoje lub troje zbiera się w Jego imieniu. On tak rzekł i my wierzymy, że tak jest. Będzie On dziś i z nami, gdyż tematem naszej rozmowy jest Jego Słowo, Ewangelia – rozpoczął znajomy.

Po krótkiej modlitwie zaproponował mi, abym czytał głośno trzeci rozdział ewangelii Jana, gdzie jest opisane spotkanie Chrystusa z Nikodemem.

„Co się narodziło z ciała, ciałem jest, a co się narodziło z Ducha, duchem jest. Musicie się na nowo narodzić”.

Czytałem te słowa przedtem, lecz nigdy moje myśli nie były zawładnięte nimi tak wnikliwie i głęboko, jak tego dnia.

Teraz widziałem w nich klucz do poznania Bożej prawdy o zbawieniu.

„Musicie się na nowo narodzić” – słowa Chrystusa, wypowiedziane do Nikodema, brzmiały mi w tym czasie, jak nieosiągalna tajemnica. Wiedziałem, że to, co najważniejsze – nie miało we mnie miejsca. A co to oznacza? Czyż nie dlatego po żalu za uczynione grzechy tak szybko znowu wracałem do nich?

Długo rozmawialiśmy na ten temat. Za oknem był już letni wieczór, cichy, ciepły, delikatny. Cisza sprzyjała rozmyślaniu, rozmowa nie męczyła.

— Pozostało nam teraz podziękować Bogu za Jego Słowo, z którego się uczyliśmy, otrzymaliśmy wskazówki. Zgadza się pan? – zapytał.

— Tak, mam za co dziękować – odpowiedziałem.

On pierwszy ukląkł. Za jego przykładem i ja poszedłem. Przepojona uczuciem modlitwa mojego przyjaciela, jakby unosiła mnie nad ziemią. O, jakże i ja chciałem się modlić! A cóż mogłem powiedzieć Bogu, niewidocznie obecnemu z nami? On tak dużo dla mnie uczynił, zachował życie, troszczył się o moją rodzinę, a ja, jak przedtem żyję w grzechach, jak przedtem zasmucam Go...

Jak na jawie, ujrzałem przed sobą Golgotę, a na niej krzyż i Chrystus, ukrzyżowany za mnie, za moje grzechy... Przecież za mnie i ze względu na mnie cierpiał Chrystus...

— Panie, Jezusie Chrystusie! Wybacz! – wykrzyknąłem.

Pierwszy raz w swoim życiu pozostawiłem wyuczone modlitwy. Teraz się moliło moje serce.

Przez zamknięte powieki łzy znalazły sobie drogę, w gardle coś ścisnęło. Odczuwałem, że Chrystus jest tu, razem ze mną. I słowa modlitwy, rodząc się w sercu, gorącym strumieniem wylewały się same:

— Przyszedłem do Ciebie, Panie, taki jaki jestem. Przekonałem się, że nie ma we mnie nic dobrego. Zmiłuj się nade mną, Boże, weź mnie i zbaw od grzechów moich, których nienawidzę, nie chcę więcej grzeszyć. Przebacz i odrodź, jak mówiłeś Nikodemowi. Albo zniszcz mnie na tym miejscu. I raczej nie chcę żyć...

Nie pamiętam wszystkich słów, w których zwróciłem się do Chrystusa tego wieczoru, 14 sierpnia 1948 roku, lecz jedno pamiętam dobrze: Bóg mi odpowiedział, w tym miejscu.

Z serca spadł ciężki kamień. Jakby zdjęto z moich pleców sto kilogramowy ciężar i radość prawdziwa, żywa, nie do wyrażenia, wypełniła całe moje jestestwo.

— Panie, dziękuję Ci! Do twych nóg przynoszę moje serce! Ty wiesz, jest ono teraz pełne radości...!

Po modlitwie wstałem z nowymi uczuciami, nowymi myślami, nowymi pragnieniami i celami.

Mój przyjaciel, a teraz też drogi brat w Panu, uśmiechając się, rzekł do mnie przez łzy radości:

— Aniołowie się radują w tej chwili! Pasterz się cieszy, gdy zagubiona owieczka powraca do Jego owczarni.

— Tak, bracie, długo się błąkałem, ale teraz się odnalazłem – rzekłem, przypominając sobie przypowieść o synu marnotrawnym.

## Nowy człowiek

Powojenne Monachium było podobne do zburzonego mrowiska. Zburzona była jego architektura, jego piękno, ale życie z tego powodu nie zamarło, lecz odwrótnie – stało się bardziej aktywne. Wracając rowerem do domu, widziałem to miasto

innymi oczami. Wszyscy ludzie wydawali mi się dobrzy, mili, przyjemni. I ocalałe z pożaru drzewa wydawały się rajsłkami roślinami.

Bardzo ubogi jest mój język, aby znaleźć odpowiednie słowa, które by wyraziły dokładnie to, co działo się w mojej duszy.

Chciało mi się śpiewać te pieśni, które słyszałem przedtem podczas nabożeństwa, parę godzin wstecz. Słów nie pamiętałem. Zacząłem je sam układać i podśpiewywać:

O Boże, o Boże, mogę  
Zaśpiewać Ci alleluja.

Dziś okazałeś mi miłosierdzie,  
I szczęście, jak słońce, się objawiło.

W sercu powstawały słowa nowych wierszy, których nie mogłem zapisać, gdyż jechałem rowerem. Spoglądałem na niebo pełne migocących gwiazd. Całą piersią wdychałem świeże, wieczorne powietrze i myślałem o tym, jak to zrozumieć, że Wszechmocny Bóg, który stworzył wszystkie ciała niebieskie, kierujący bezgranicznym wszechświatem, objawił mi Siebie, Swoją miłość, dał mi odpuszczenie.

Kim jestem? Robak. A Bóg nie zapomniał o mnie, grzeszniku, i teraz Jego oko obserwuje mnie, niewidoczna Jego prawica prowadzi mnie, strzeże moje życie.

To cudowne niebo, ta bogata ziemia z jej sadami, łąkami, rzekami, ogrodami, to cudowne powietrze – wszystko dla mnie, dla człowieka. A zaś człowiek dla kogo? Sam dla siebie? Kiedy wreszcie człowiek zrozumie swoje przeznaczenie?

— Odtąd będę żył tylko z Bogiem i tylko dla Boga. W tym jest sens i cel życia – tak rozmyślałem w drodze do domu.

Przy jezdni, przy jednej z głównych ulic milionowego miasta, leżały sterty cegieł i śmieci, pozostałości dużych domów. Wszystko to – owoc ludzkich rąk, gdy nimi posługuje się nie Bóg, a szatan. Zupełnie niedawno wznosiły się tu piękne domy, a dziś ruiny, z nieprzyjemnym znanym zapachem. Nie patrząc na wieczorną godzinę, ludzie, jak błędni snuli się po skąpo oświetlonych ulicach miastach. Przy teatrze cisnęła się kolejka. Przez otwarte drzwi piwiarni dolatywały gardłowe dźwięki Amerykanów. Bawili się tam żołnierze okupacyjnej armii. W pobliżu trudniły się uliczne dziewczyny. Oto i park. W nim dużo opalonych drzew bez liści, z poczerniałymi konarami. Wyglądały one marnie: na niektórych gałązkach uparczywie przebijała się ku życiu młoda zieleń. Wilgotne powietrze w parku przywodziło na myśl cmentarz. Przy głównej alei elektryczne lampy rzucały bladożółte światło, skąpo oświetlając podest z rzędami krzesel. Na podwórku, gdzie było więcej światła, ulokowała się orkiestra. Chciałem ciszy, samotności. Jak spod ziemi wyrósł łysy, o złotej twarzy dyrygent. Machnął pałeczką, a werblista uderzył w werbel. Niemcy, pragnąc dogodzić Amerykanom, przystosowali się do jazzu. Zawyły saksofony, zaryczały trąby. Później wszystko się urwało, tylko puzonista wydobywał niski, milknący dźwięk, szlochający, jak raniony zwierz.

Gotów byłem zatkać uszy, aby nie słyszeć tych okropnych, jakby przedśmiertnych wyc. Moje serce pragnęło innych melodii, innej muzyki, innych dźwięków, w których wyrażałaby się cicha, święta, niebiańska radość. Radość w Panu nie ma nic wspólnego ze światową, pogańską radością. Teraz spoglądałem na tańczący tłum ze współczuciem.

Między mną i światem powstała przepaść nie do przebycia.

W tej chwili chciałem głośno krzyknąć, krzyknąć tak, żeby słyszała cała ta gwarna ulica, całe miasto, cały świat:

— Ludzie, ludzie! Dobrzy ludzie, którzy ocaleliście w strasznej, krwawej wojnie! Cóż wy czynicie! Czy tak dawno chowaliście się w schronach przeciwnocnych, drżeliście ze strachu, gorączkowo się żegnaliście, przyzywając na pomoc Chrystusa i wszystkich świętych? A cóż czynicie dziś? Czy teraz Bóg nie jest już potrzebny? Czy potrzebna jest nowa wojna, abyście podnieśli oczy ku niebu? Bracia, ludzie! Dobrzy ludzie! My ocaleliśmy. Dlatego też oddajmy chwałę Bogu.

Rozradujmy się i weselmy sercem, duszą. Wyrażmy Mu wdzięczność za zbawienie. Chrystus żyje. Krzyż, na którym ukrzyżowali Go ludzie, jest pusty. On dziś zbawił mnie. On zbawia każdego, kto przychodzi do Niego w upamiętaniu. Przeście ciągać nogami po zakurzonych deskach. Przeście trząść się w rytm jazzu, jak w febrze. Wezwijcie imienia Jezusa w tym dogodnym czasie, tak szczerze jak to czyniliście w schronach przeciwlotniczych. Chrystus da inną radość. Da On nową pieśń. Orkiestra będzie miała nowy repertuar...

Lecz ludzie mnie nie słyszą. Werbel przyspieszał, a tuba huczała, jak przedtem, dosłownie odpowiadając mi:

— Nie, nie, nie...

I wtedy zrodziło się w moim sercu pragnienie, żeby pójść od domu do domu, od wsi do wsi, od miasta do miasta i opowiadać wszystkim o Ewangelii, o Chrystusie, o Jego Bożej miłości do biednego, nieszczęśliwego człowieka, o Jego cierpieniach na krzyżu za grzechy świata.

— Pójdę, opowiem, jak On mnie znalazł, jak mi wybaczył, jak uczynił mnie szczęśliwym – mówiłem sam do siebie.

Lecz jednocześnie nasuwała się inna myśl:

— Jak ty pójdziesz? Nie możesz. Masz żonę i dziecko. Kto da im kawałek chleba...?

W tej samej chwili na szarej, asfaltowej drodze, przed moim rowerem, ujrzałem bochenek chleba...

O, cud! W jaki prosty sposób Bóg może odpowiadać na nasze pytania!

Odstawiłem rower, wziąłem chleb i w tym miejscu, na ulicy, nie zwracając uwagi na przechodniów, uwielbiłem Pana:

— Mój dobry Pasterzu, jeżeli ten chleb został zesłany przez Ciebie jako odpowiedź na moje myśli, to oddaję siebie jeszcze raz w Twoje ręce i proszę: uczyni mnie Twoim świadkiem i włóż w moje usta Swoje Słowo... Pójdę, Panie, za Twoją sprawą, tylko Ty bądź ze mną.

Obecnie, wiele lat później, świadczę o Jego wierności, był On ze mną, był przede mną. Będzie On przede mną, jeżeli tylko ja będę z Nim.

Ze szczególnym, niewysłowionym uczuciem radości, otworzyłem drzwi mojego pokoju. Żona siedziała przy otwartym oknie, zła, zdenerwowana, niezadowolona.

— Znowu pijany? – przywitała mnie pytaniem. – Rano klęczał przed ikonami, a wieczorem się kłaniasz Bachusowi? I nie wstyd ci? „Od wielkiego do śmiesznego, jeden krok”.

— Nie, droga – rzekłem, położywszy na stole bochenek chleba. – Tym razem się pomyliłaś. Widzisz ten chleb? To nie jest zwykły chleb, lecz niebiański. Bóg go zesłał. I ja teraz nie ten... Tego Nikołaja, którego znałaś rano, nie ma. On umarł.

Duże okno naszego pokoju wychodziło na ulicę, obsadzoną wiekowymi drzewami. Za oknem było cicho i świeżo. Spoglądałem na ogród po drugiej stronie ulicy nowymi oczami. Serce napełniało się modlitwą ku mojemu Zbawicielowi. I zamiast najpierw zacząć opowiadać żonie, zaproponowałem się pomodlić. Zgiąłem kolana przed otwartym oknem i modliłem się swoimi prostymi, nie wyuczonymi słowami. Obok stała żona. Mój mały synek widocznie nie rozumiał, co się stało z tatą i za przykładem rodziców też klęknął. Była to nasza pierwsza rodzinna modlitwa od czterech lat naszego wspólnego życia małżeńskiego.

Dziękowałem Bogu za Jego dar zbawienia, za miłość, za odpuszczenie. Modliłem się też o żonę, moją wierną towarzyszkę, aby Pan objawił i jej Swoje zbawienie. To widocznie peszyło ją najbardziej. Po modlitwie wyraziła wątpliwość w dobry stan zdrowia mego umysłu i płakała.

— Dobrze, dobrze, przyjaciółko – mówiłem, radując się. – To prawda, stałem się „nienormalny” dla świata. Ale za to teraz jestem normalny dla Boga. Tak zawsze jest. Inaczej być nie mogło. Oznacza to, że jestem na dobrej drodze...

Później wypowiedziałem wojnę zbytecznym przedmiotom i nieczystym. Wyrzuciłem przez okno srebrną papierośnicę, popielniczkę i wszystkie zapasy tytoniu, cennego „artykułu” w tych powojennych czasach. Wyrzuciłem też wszystkie kieliszki. Wiedziałem, że już nigdy nie będą mi potrzebne. Wyrzuciłem karty do gry i wiele innych rzeczy, które wiązały mnie i panowały nade mną przez wiele lat.

Widać było, że to wszystko podobało się żonie, i ona, uśmiechając się przez łzy, rzekła:

— Daj Boże, aby to było na zawsze...!

Tak, to było na zawsze, na wieki wieków.

## Chrzest

Rano przebudziłem się wcześniej niż zwykle. Wydarzenia wczorajszego dnia zachowały się w mojej pamięci dokładnie i wyraźnie. Jak nigdy przedtem odczuwałem bliskość Pana i dlatego chciałem się modlić. Modlitwa sprawiała mi szczególną radość.

W niedzielnym poranku, według zwyczaju, poszedłem do prawosławnej świątyni. Nie przyciągały mnie ani kadzielnice, ani ikony, ani woskowe świece, ani donośny głos diakona, ani pozłacane szaty kapłana. Nie, ciągnęło mnie do żywych ludzi, aby dzielić się radością zbawienia. Przecież tak, wydawało się, łatwo jest uwierzyć i przyjąć żywego Chrystusa do serca, uwierzyć w Niego jako osobistego Zbawiciela. Przecież jest to dla wszystkich dostępne. A najważniejsze, chciałem porozmawiać z metropolitą Anastasim. Nabożeństwo „odstałem” swobodnie, ale obrzędowość w nabożeństwie, jak nigdy przedtem, wydała mi się daleka.

Po nabożeństwie, przy drzwiach świątyni, gdzie sprzedawano świece, odbywał się ożywiony handel papierosami. Gdy zauważyłem, że handel papierosami w świątyni jest niedobłą sprawą, wtedy starosta cerkwi wyraził sprzeciw:

— A ty, co za jeden? Baptysta, czy co?...

Audjencji u metropolity nie doczekałem się. Był on bardzo zajęty. Pocieszałem się, że przez znajomego kapłana W. uda mi się podzielić moimi przeżyciami z całą parafią.

W tym samym dniu, po obiedzie, byłem na ewangelicznym nabożeństwie. Duża sala domu modlitewnego wypełniła się ludźmi, którzy byli mi nowi. Nie peszyło mnie to, gdyż teraz w każdym widziałem swojego brata, współwyznawcę. Wzruszająco śpiewał chór, tak śpiewał, jak zawsze śpiewają nasi, Rosjanie. Wkładając w pieśń całe serce, całego siebie. Mnie szczególnie zachwycała duchowa pieśń, której słowa najlepiej wyrażały moje przeżycia:

O, Panie, Zbawicielu mój,  
Lgnę ku Tobie z całej duszy.  
Życ chcę z tobą,  
W Tobie chcę przebywać.

O, Ty Sam przebywaj we mnie,  
Po Swoich prowadź drogach.  
Bądź mi Pasterzem – Królem,  
Bądź dla serca wszystkim.

Bez Ciebie byłem w kajdanach,  
A z tobą jestem wolny.  
Bez Ciebie tonąłem w falach,  
A z Tobą jestem uratowany.

Bez Ciebie byłem spowity,  
Grzechem, jak trądem.  
A z Tobą jestem omyty,  
Oczyszczony Twoją strugą.

Ta pieśń wypełniła moje serce nie wyrażoną radością do przelewu. Przecież to moja pieśń, moje słowa. Od tej pory ta pieśń stała się moją ulubioną do dziś. I nawet teraz, gdy o północy piszę to świadectwo, dochodzi do mnie dźwięk tych słów, jakby z daleka, a moje serce radośnie im wtóruje:

Bez Ciebie w duszy króluje  
Fatalne smutku brzemię,  
A z Tobą i w dniach niedoli  
Serce radością płonie.

To wielkie szczęście – posiadać w sercu żywego, zbawiającego Boga!

Pamiętam, gdy wychodziłem wcześniej do pracy. Na pustej ulicy królowała jeszcze cisza. W wielu domach jeszcze nie paliło się światło, lecz błękitny brzask upiękślał wschód delikatnymi, promienistymi rumieńcami. W tym kraju jest moja ojczyzna, mój naród, moi rodzice – wyobrażałem sobie. – Ach, gdyby można było pojechać do nich, opowiedzieć im o Chrystusie, o Bożej drodze zbawienia! Oni uwierzyliby! Oni nie zwątpiliby, jak inni, w moją szczerość. Lecz z przyczyny takiego czasu jest to niemożliwe. I wiedziałem, że pozostaje mi jedno, modlić się. Każdego ranka, w drodze do pierwszego, rannego tramwaju, zachodziłem do parku, klękałem i zanosilem moją modlitwę do Pana o ojczyznę. Od tej pory modlitwa o ojczyznę, o moich krewnych i bliskich, stała się częścią mego życia.

W parku, na kolanach przed Bogiem, otrzymywałem duchowe i fizyczne wzmocnienie na cały ciężki dzień.

A pracę miałem katorżniczą, ciężką, ponad siły. Nosilem materiały budowlane przy murowaniu ceglanych domów. Tylko tą drogą podczas bezrobocia w Niemczech, mogłem zapracować na chleb powszedni dla mojej rodziny. Gdy byłem zmęczony, wtedy śpiewałem pieśni o miłości Chrystusowej na swój szczególny,

niepodrabialny motyw. Śpiewałem cicho, dla siebie, ale Bóg słyszał te pieśni i dawał mi nowe i ciągle nowe słowa. Pieśń z serca, chwala Bogu – jest najlepszym środkiem usuwającym zmęczenie.

A wieczorem, niezmiennie, przychodził do mnie mój dobry sąsiad, brat w wierze, Mitia Tierieszkiewicz. Wyciągał z kieszeni małą uszną harmonijkę, starannie wycierał ją szmatką i wkładał ją w swoje duże wargi tak, że harmonijki prawie nie było widać i zaczynał po mistrzowsku, z dużą umiejętnością wygrywać nowe, nigdy przeze mnie nie słyszane melodie ewangelicznych pieśni. Był to prosty, ufny jak dziecko, prawie niepiśmienny brat. Lecz przez niego posyłał mi Pan obfite błogosławieństwa.

— Ech, braciszku, gdybyś wiedział, jak ja kocham Jezusa... – mówił mi, przerywając swoje artystyczne granie. – Nikogo nie mam bliższego niż On. Gdy byłem w ojczyźnie pastuchem, nikt mnie nie uważał za człowieka, a teraz Sam Bóg Swoim synem mnie nazywa. Chodź, bracie, pomodlimy się...

— Tatuśku mój, pobłogosław mojego brata Nikolaja. Ty wiesz, jak ja go kocham...

Brat Mitia modlił się i płakał świętymi łzami. Płakałem i ja. Teraz wiedziałem, że mam braci, mam siostry, że na ziemi nie jestem samotny.

Szczerą, prostą i gorliwą modlitwą brata Miti Tierieszkiewicza (on zawsze się modlił po ukraińsku) zapalała i mnie niebiańskim ogniem. Umykało zmęczenie, a my się modliliśmy i śpiewaliśmy do północy.

Modlenie się do Chrystusa, gdy się odczuwa Jego bliskość, w ogóle nie jest nużące i nudne, jak mi się wydawało przedtem. Przeciwnie, w żywej modlitwie jest moc, radość i pocieszenie. A to było mi potrzebne, potrzebne jest i obecnie.

Dotychczasowi przyjaciele nie poznawali mnie. Ja sam siebie nie poznawałem. Już następnego dnia nie mogłem ścierpieć tytoniowego dymu. Gdy z przyzwyczajenia wchodziłem do ostatniego wagonu tramwaju dla palących, mdliło mnie od dymu bawarskich cygar i przy pierwszej sposobności przechodziłem do innego wagonu. Gdy starzy przyjaciele proponowali mi, abym zapalił (co przedtem nie było tak częste z powodu wysokich cen papierosów), odpowiadałem: – Papieros – to bomba atomowa. Nie proście, nie zapalę.

— No, no, zobaczymy, co zaśpiewasz za tydzień – mówili z niedowierzaniem przyjaciele.

Jeszcze ostrzej i bardziej odczuwalnie objawił się we mnie wstręt do alkoholu, w którego haniebnym niewolnictwie przebywałem wiele lat. Nieprzyjemny zapach spirytusu do dziś powoduje we mnie mdłości i wstręt.

Ewangelia teraz objawiła mi się w innym świetle. Dziwiłem się, że nie zauważałem tego wcześniej. W 7 i 8 rozdziale listu apostoła Pawła do Rzymian widziałem swoje własne przeżycia. Bóg wyzwala pokutujących niewolników grzechu i daje im świętą wolność. „Jeśli więc Syn was wyzwolodzi, prawdziwie wolnymi będziecie” (Jan.8:36) – wszczepił mi tę prawdę mój Niebiański Nauczyciel.

Do mojego świadectwa o uzdrowieniu i zbawieniu ludzie odnosili się podejrzliwie i ostrożnie. Przypatrywali się mojemu życiu i czynom. Niektórzy już zaczęli nazywać mnie ewangelistą, inni – baptystą. Miałem radość i pokój w Panu i tymi przeżyciami chciałem się dzielić z innymi. Niestety, wielu nie rozumiało mnie. Jedni słuchali z niezrozumieniem, inni z niedowierzaniem kręcili głową i odchodzili.

„Przepadł człowiek”, „sprzedał się baptyptom” – słyszałem od wielu.

Każdego dnia, jeden za drugim, odchodzili ode mnie przyjaciele. Doktor W., bliski mi człowiek, ocenił moją decyzję jako wariactwo, jako zdradę swojej ojczyzny, narodu, samego siebie.

Żona znajomego malarza K., dobrze znająca moje byłe życie, podczas rozmowy oświadczyła:

— Ty ukrzyżowałeś Boga, który cię ratował. Dlaczego rzucicieś palenie? Dlaczego odmawiasz wypicia z nami? Myślisz, że jesteś lepszy od nas...? Jesteś zdrajcą. A ja się urodziłam prawosławna, prawosławna też umrę...

— Czyż jesteś prawosławna? – zapytałem. – Przez dwa lata nie widziałem was w cerkwi. Jak to jest?

— No i co? Nie modłę się i do cerkwi nie chodzę. Nie umiem być obłudna. Dla mnie Chrystus jest mitem, ale wszystko jedno, ja jestem prawosławna. Mojej wiary i za milion nie sprzedam. A pieniądze są potrzebne, bardzo potrzebne. A ty zaprzedałeś się... I jeszcze tu siedzisz, nie płaczesz, a się uśmiechasz...

Duże wzmocnienie od Pana otrzymałem przez żywe, przekonujące i głębokie w treści kazanie Jana Marka. On pierwszy natchnął mnie myślą o zawarciu przymierza z Panem przez wodny chrzest. Przecież to Jego przykazanie. Pobudzało to mnie, żeby jeszcze raz z uwagą przeczytać Nowy Testament. Przekonałem się, że w planie Bożym nie został przewidziany chrzest dzieci. W Biblii nie ma ku temu podstaw. Jedynie, wątpliwe miejsce – wydarzenie w domu Korneliusza, według opisu Łukasza – zrozumiałem, gdy wypisałem z Ewangelii wszystkie słowa, dotyczące chrztu. Co może być bardziej autorytatywne od prostego przykazania Chrystusa: „Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody”. A dopiero później jest mowa o chrzcie (Mat.28:19). Było to dla mnie poważne pytanie: co jest ważniejsze – nauczyć, a później chrzcić, czy od razu chrzcić, a później nauczyć? Oczywiście. chrzest powinna poprzedzać wiara.

Apostoł Piotr potwierdza tę prawdę, gdy mówi o chrzcie jako obietnicy Boga dobrego sumienia (1P.3:21). Sama też logika podpowiadała mi, że najpierw trzeba nauczyć, a później chrzcić. Chrzest jest aktem woli, świadomą decyzją.

Nawet w ewangelicznych kościołach, w których praktykuje się chrzest tylko dorosłych, zdarza się wiele przypadków, szczególnie ostatnio, gdy zawierający przymierze z Panem przez wodny chrzest, czynią to nie w pełni świadomie, nie ze szczerego serca, pozostając nie narodzonymi ze Słowa i Ducha Świętego. Ci ludzie później odpadają, a tym samym przyczyniają się do ogromnego uszczerbku Kościoła Chrystusowego. Cóż po tym mówić o dzieciach, o nieletnich, o tych, którzy jeszcze nie weszli w pełnię świadomego, duchowego życia, którzy jeszcze nie zasmakowali grzechu, nie wiedzą, jak jest on gorzki i jadowity? O nich rzekł Chrystus: „Zostawcie dzieci w spokoju i nie zabraniajcie im przychodzić do mnie; albowiem do takich należy Królestwo Niebios” (Mat.19:14).

Myśl o chrzcie prześladowała mnie ciągle przez parę miesięcy. Ostatecznie dojrzała po pewnym wydarzeniu.

Zaproszono mnie na obiad do prawosławnej rodziny. Byli to wpływowi ludzie w kręgach prawosławnych. W wyznaczonym czasie po prostu gospodyni nie było w domu. Jej chory syn leżał na łóżku i zacząłem z nim rozmawiać. Chętnie słuchał mojego świadectwa o poszukiwaniu prawdy, dzielił się swoimi przeżyciami. W tym czasie do pokoju weszło dwóch tęgich panów, prawdopodobnie zaproszo-

nych. Przyłączyli się do rozmowy i od razu przeszli na duchowy temat. Jeden z nich, były pułkownik carskiej armii, człowiek bardzo odczytany, wykazał się znajomością Biblii, drugi był członkiem prawosławnej Rady w Niemczech i działaczem politycznym. Błada, chuda jego twarz wyrażała szlachetne cechy, a zupełnie inne wrażenie sprawiały jego oczy, tępo i źle patrzące spod grubych powiek.

Uprzejmie poprosił o pozwolenie zapalenia. Mocno się zaciągał, paląc jeden papieros za drugim, przypatrywał się mi i o czymś myślał.

Długo rozmawialiśmy. Mój współrozmówca zadawał mi pytania. Chętnie na nie odpowiadałem, to, co wiedziałem, wskazując na Pismo jako jedyny Boży autorytet i cierpliwie wysłuchiwałem mojego nerwowego oponenta.

Była to prawdziwa dyskusja w obecności dwóch słuchaczy.

— Bóg przewidział docieklivość ludzkiego umysłu i dlatego na wszystkie żywotne pytania dał On odpowiedź w Piśmie – rzekłem na zakończenie.

Mój znajomy protestował:

— Źle pan zna historię kościoła. Nie zna pan twórców liturgii. Gdyby pan to znał, przekonałby się, o ile rozszerzono i uzupełniono pojęcie „Pismo Święte”.

— Na przykład? – zapytałem.

— Mówi pan o chrzcie, że chrzest dzieci jest dużym błędem. A święty Cyprian, biskup Kartaginy, jeszcze w trzecim wieku w swoich pracach pisał o konieczności chrzczenia dzieci. A pan to odrzuca...

— Mój przyjacielu – odpowiedziałem – święty Cyprian nie jest autorem Pisma Świętego. Przecież jego listy nie weszły do kanonu Nowego Testamentu...

— Jak to? To był nakaz z góry. I my tak czynimy – upierał się współrozmówca.

— Proszę posłuchać, co mówi Słowo Boże o tych, którzy je zmieniają i uzupełniają – zauważyłem.

Tu uczyniłem nieostrożność, otworzyłem Ewangelię i głośno przeczytałem:

„Ale choćbyśmy nawet my albo anioł z nieba zwiastował wam ewangelię odmienną od tej, którą myśmy wam zwiastowali, niech będzie przeklęty!” (Gal.1:8).

Następnego wersetu z listu apostoła Pawła do Galacjan już nie mogłem przeczytać. Milczący do tej pory, o bladej twarzy gość, naraz zrobił się czerwony, jak krew. W jego oczach pojawiła się dzika złość.

— Ach, oto co...! Ty – masonie! Won stąd! – wykrzyknął zdenerwowany gość i jednym ruchem ręki otworzył mi drzwi. Z jego ust niepowstrzymanie sypały się niewybredne słowa. Nikt nie próbował go powstrzymać. Trudno było uwierzyć, że te słowa wrzeszczy jeden z duchowych, prawosławnych przywódców – członek synodu.

Miałem prawo zaprotestować, bo nie był gospodarzem mieszkania, a tylko gościem. Lecz postanowiłem opuścić dom.

Obrażony i zasmucony szedłem ulicą dużego, obcego miasta i w myśli się modliłem. Przypomniały się słowa Chrystusa: „Jeśli mnie prześladowali, i was prześladować będą”. „Nie jest uczeń nad mistrza”. „Na świecie ucisk mieć będziecie, ale ufajcie, Ja zwyciężyłem świat”.

To pocieszało mnie.

Teraz zrozumiałem, że nie po drodze mi z prawosławiem. W tym, co się wydarzyło, widziałem nic innego, jak faraonskie zatwardzenie, atak wroga mojej duszy. Nie rozczarowało to mnie, lecz odwrotnie, umocniło w wierze, iż Chrystus

jest moim Pasterzem, iż jest On ze mną, a ja z Nim. Mimo moich chęci, już nie mogłem pozostać w prawosławnej cerkwi.

Stanowczo postanowiłem prosić braci o przyjęcie do ewangelicznej społeczności i za wszelką cenę zawrzeć przymierze z Panem przez chrzest wodny według Jego przykazania.

Wkrótce się odbyło upragnione spotkanie z moim dobrym znajomym, kapłanem W. Długo rozmawialiśmy, prosto i bez przymusu, jak starzy znajomi. Czytaliśmy poszczególne miejsca Ewangelii, dyskutowaliśmy. Pod koniec rozmowy zaczęły się pojawiać rozdźwięki, gdy rzekłem:

— Ojcie W., proszę mi wybaczyć, lecz będę się zwracał do ojca, jak do starszego brata. Proszę spojrzeć, jest napisane – i przeczytałem tekst z Ewangelii: „Wy wszyscy jesteście braćmi. Nikogo też na ziemi nie nazywajcie ojcem waszym; albowiem jeden jest Ojciec wasz, ten w niebie”. Przecież to Chrystus rzekł – przytwierdziłem.

Ojciec W. się uśmiechnął, spojrział na mnie swoimi mądrymi, przenikliwymi oczami i rzekł:

— Patrzcie go, bratku, dokąd zajechał... Wiem, do czego mierzysz... Zabierasz się do nauczania mnie. Tak, ja tę Ewangelię znam na pamięć. Zęby na niej zjadłem. A przeczytaj uważniej. O kim jest tam mowa? Chrystus przecież mówi o uczonych w Piśmie i faryzeuszach. To do nich się odnosi to. Nie o nas, ale o nich było to powiedziane...

Jeszcze nie znałem tak dobrze Ewangelii, aby od razu obalić dowody kapłana. A było to takie łatwe. Należało tylko przeczytać pierwszy werset tego 23-go rozdziału ew. Mateusza: „Wtedy Jezus przemówił do ludu i do uczniów swoich”, aby się przekonać, do kogo było to powiedziane.

Gdy zaś po paru minutach rzekłem, iż z Ewangelii widać, że ani apostołowie, ani prezbiterzy pierwszego, apostołskiego Kościoła nie ubierali się w szczególne szaty, w które ubieracie się obecnie, wtedy ojciec W. zaczął zauważalnie się denerwować. Z niecierpliwością wziął Biblię z moich rąk i bez szczególnej trudności odnalazł 28 rozdział Księgi Rodzaju.

— Weź, czytaj. Dobrze czytaj – zaproponował mi.

I czytałem, jak Mojżesz wezwał Aarona i jego synów, i nakazał im, aby byli kapłanami. Mojżesz dał tu szczegółowe wskazania, jakie musiały być kapłańskie szaty.

Sprzeciwiłem się:

— Ale to się odnosi tylko do żydowskich, starotestamentowych kapłanów. Wszystko to były przecież pierwowzory nowego czasu. Te szaty mogło przyodziewać tylko pokolenie Lewiego. A dlaczego wy nie obrzezujecie się?

— My nie jesteśmy Żydami – odpowiedział ojciec W.

— A jak jest z kapłańskimi szatami? – upierałem się.

— To właśnie, co przeczytałeś, odnosi się do nas. Szyjemy szaty według tego wzoru, który nakazał Mojżesz – odpowiedział ojciec W., mieszając się i czerwieniąc.

— Odlóżmy naszą rozmowę do innego razu – dodał i po ojcowsku położył rękę na moim ramieniu.

Ojciec W. długo spoglądał, gdzieś w bok. Było widać, że usilnie myślał. Później, nie odwracając głowy, cicho i smutno rzekł:

— Jeżeli pozostawiasz nas z pobudki serca, to niech cię Pan błogosławi.

— Ależ ojcze? – rzekłem. – Przecież ojciec ponosi odpowiedzialność przed Bogiem, świadomie pozostając na fałszywej drodze.

— Tak, tak... Nasza cerkiew potrzebuje znacznej rekonstrukcji – rzekł on, nie zmieniając tonu. Musimy się reformować. I czym szybciej, tym lepiej. Ale przecież ja jestem małym człowiekiem. Cóż ja mogę zrobić? Pozbawić siebie kawałka chleba, to wszystko.

Z ojcem W. rozstaliśmy się po bratersku jako przyjaciele. Po trzech latach spotkałem go znowu. Wybierał się do Ameryki, ale z niewiadomej przyczyny zatrzymywała go komisja. Bardzo go to trapiło. Cieszyliśmy się ze spotkania. Zaproponowałem, aby się pomodlić, a ojciec W. chętnie się zgodził. Po modlitwie, po zapadłych policzkach ojca W. potoczyły się dwie duże łzy.

Rozstając się, ucałowaliśmy się.

28-go listopada 1948 roku była niedziela. Jak zwykle w tych dniach deszczowy, bawarski poranek zamienił się w słoneczny, pogodny dzień. Wydawać się mogło, że słońce razem ze mną cieszy się świętem mojej duszy.

W tym dniu dziewięć dusz zawierało przymierze przez wodny chrzest, w tej liczbie i moja żona.

Na to niezwykle święto przyszło mnóstwo ludzi. Przyszli niektórzy moi przyjaciele i znajomi.

Miałem głęboką świadomość, że to wydarzenie jest jedynym, niepowtarzalnym w moim życiu.

Wolno wchodziłem do wody. Serce wypełniało się radością, że teraz mogę otwarcie w obecności mnóstwa świadków powiedzieć moje „tak” mojemu Zbawicielowi.

— Bracie Nikołaju, czy wierzysz, że Chrystus zaniósł twój grzech na krzyż? – głośno i wyraźnie, lecz z ormiańskim akcentem, zapytał mnie brat Jan Marek.

— Wierzę! odpowiedziałem.

— Według wiary twojej, w Imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, chrzczę cię – wygłosił brat i energicznie zanurzył mnie w wodzie.

— Amen.

— Amen – powtórzyłem za bratem Markiem.

— Amen – cudownym chórem powtórzyło święte wojsko na niebiosach.

# Życie takie, jakie ono jest.

## W samotności z sobą

Czy wszyscy ludzie wiedzą, co to znaczy przebywać – w samotności z sobą? Jest to możliwość trzeźwej oceny swoich słów i czynów w samotności – nadzwyczajna cecha ludzkiej natury, w której nie ma jeszcze paraliżu sumienia.

Głos sumienia może przemawiać tylko do człowieka, a urazę zachować może w sobie i zwierzę.

Jak często człowiek korzysta z tej możliwości – przebywania w samotności ze swoim sumieniem?

Żyjemy w takich czasach, gdy większość ludzi bardzo rzadko przebywa tylko z sobą samym.

To wzbudza smutek. Czym wyjaśnić taką sytuację, że wielu ludzi, postępując przeciwko swojemu sumieniu, pozostaje spokojnymi i obojętnymi?

Bycie w samotności ze swym sumieniem – oznacza przebywanie w samotności z Bogiem. Jakże jest to ważne dla wierzącego!

Każdy z nas traci bardzo dużo, gdy nie wykształca w sobie umiejętności samoanalizy.

Nasze życie mija w pośpiechu, ale w takiej okoliczności człowiek musi znaleźć czas, aby móc przebywać w osamotnieniu ze swym sumieniem, porozmawiać z wewnętrznym człowiekiem.

Samoanaliza pomaga w samozaparciu. Wnikając w siebie, bardziej przenikamy współczuciem dla innych ludzi.

Kiedyś Apucztyń napisał takie słowa:

„Czym bardziej poznaję ludzi,  
Tym bardziej kocham zwierzęta”.

Ale przecież i autor tych słów był człowiekiem. Gdy patrzy się tylko na ludzi, na ich niedoskonałość, to prawdą jest, że nie chce się żyć na ziemi... A gdy się spojrzy z uwagą wewnątrz siebie, przysłucha się głosowi sumienia, to od razu wiadać, że nie jest się lepszym od innych.

A ta świadomość prowadzi nas do nóg Pana.

## Zatrzymaj się, przechodniu!

W religijnym świecie jest bardzo dużo sztuczności. Nie od razu objawia się ona, stając się przyzwyczajeniem, z zewnątrz piękna, wewnątrz – ohydna.

Nie lubię sztucznych kwiatów za to, że są one ładzaco podobne do prawdziwych. Osiada na nich kurz, tchnie od nich martwota, nie ma w nich nawet zapachu prawdziwego życia. One tylko przypominają, że takie życie istnieje, ale nie w nich, lecz w zupełnie innym miejscu.

Takiego samego doświadczam uczucia, gdy spotykam się z tymi duchowymi działaczami, którzy mówiąc o życiu duchowym, nie mają go w sobie.

Mimochodem przypomniało mi się opowiadanie o pewnym wędrowcu. Przechodził on przez stary cmentarz. Było tam mnóstwo nagrobków i pomników. Jeden grób zwrócił jego uwagę następującym napisem:

„Zatrzymaj się, przechodniu!

Też byłem takim. jak ty.

Lecz wkrótce ty będziesz takim, jak ja.

Dlatego, przygotuj się do śmierci

I podążaj za mną...”.

Wędrowiec parę razy czytał ten napis z uwagą, później odszedł na bok, siadł na ławce i zaczął rozmyślać.

— Przecież na pomniku jest napisana prawda!

Lecz wydało się mu, że napis czegoś nie dopowiada.

Rozmyślając jeszcze bardziej, podszedł do tego nagrobka i dopisał ołówkiem:

„Podążać za tobą nie myślę do tej pory, dopóki się nie dowiem, w którym miejscu się znajdujesz”.

Tak, nic sztucznego, jak i nic nieczystego do niebiańskich mieszkań nie wejdzie.

Miliony ludzi, śpiewających „Z Chrystusem będę w niebie...” – nigdy nie ujrzą nieba.

Czy nie to samo miał na myśli apostoł Paweł, gdy pisał nie do kogoś tam, ale do chrześcijan: „Nie błǳcie, Bóg się nie da z siebie naśmiewać; albowiem co człowiek sieje, to i żąć będzie”.

## Pokój

Pewnego razu dwaj artyści malarze zawarli umowę. że namalują obrazy na ten sam temat – pokój. Każdy z nich miał swój pomysł i każdy z nich trzymał go w sekrecie. Był to swego rodzaju konkurs. Przyszedł czas przedstawienia obu obrazów do oceny. I co ujrano?

Jeden artysta namalował górskie jezioro – spokojne, przeźroczyste, ciche. Drzewa i wierchołki gór wyraziście odbijały się w wodzie jeziora. Wokół, niczym i przez nikogo nie zmaconą cisza. Głębokim spokojem tchnie każdy kwiatek, każdy listek na przybrzeżnych drzewach.

Drugi artysta namalował wodospad. Kaskady wody rozbijały się w drobne krople, spadały w dół, w rozpadlinę skalną z ogromnej wysokości. A obok – drzewo swoimi korzeniami umiejscowiło się w pęknięciach skalnych. Trzeba było uważnie się przyjrzeć, aby na gałązkach drzewa zauważyć ptasie gniazdko, a obok gniazdeczka spokojnie siedzącego ptaszka, spokojnie patrzącego na buszującą, wodną kipieli.

Był to prawdziwy pokój. Pokój w obliczu niebezpieczeństwa. Pokój wewnętrzny, duchowy, prawdziwy pokój.

Taki pokój daje Chrystus Swoim naśladowcom. Rzekł On: „Mój pokój daję wam. Niech się nie trwoży serce wasze i niech się nie lęka”.

## Dwa centy

Był czas, gdy w USA cent miał swoją wartość, gdy za dwa centy można było kupić bochenek chleba.

Pewnego razu, wychodząc do kościoła, matka dała synkowi dwie monety jednocentowe, mówiąc:

— Weź, synku, jeden cent na tacę, a drugi – tobie na cukierki.

Matka z synem wyszli do kościoła. Chłopiec w drodze swawolił, podskakiwał i opuścił jedną monetę w trawę. Długo szukał utraconego centa, ale nie mógł odnaleźć. Wtedy matka, rzekła:

— No tak, synku, straciłeś tego centa, za którego mogłeś kupić sobie cukierki...

— O nie, mam – odpowiedział chłopczyk – straciłem tę monetę, którą dałaś na kościół.

Czyż nie jest to charakterystyczne dla chrześcijaństwa naszych czasów? Ciesząc się nie zapominamy, a co się tyczy Bożego – to często ulatuje z naszej pamięci.

## Czarna plama

Znakomity kaznodzieja Spurgeon opowiadał ciekawy przypadek, który charakteryzuje, jak w swoim czasie religia bez Chrystusa budowała swoją reputację na oszukiwaniu prostych, ciemnych ludzi, gdy zamiast głoszenia dla wszystkich zrozumiałej ewangelii, zamiast chleba życia, ludowi podawano kamień.

Generał Booth, założyciel Armii Zbawienia, szedł ulicą i zauważył, jak obok katolickiego kościoła ludzie wchodziłi do sąsiedniego budynku. Booth postanowił wejść i zobaczyć, co przyciąga ludzi. Wywieszka głosiła, że mnich jakiegoś zakonu pokazuje biblijne osobliwości.

Booth wszedł do sali. W tym czasie mnich podniósł bardzo stary, zardzewiały miecz i wykrzykiwał:

— Zwróćcie uwagę na ten interesujący przedmiot. Jest to ten sam miecz, którym Bileam uderzył swojego osła, gdy nie chciał iść on do przodu...!

Generał Booth wstał i zaprotestował:

— Zaczekaj, miły przyjacielu, zapewne coś pomieszalesz. Bileam nie miał miecza, a rzekł tylko: „Gdybym miał miecz”.

— Tak jest, sir – bez zająknięcia odpowiedział mnich. – Jest to ten sam miecz, który chciał on mieć.

Tak, jest to czarna plama. Zmywa się ją pokutą.

## Z notatnika

Życie – jakim ono jest...

Sztuka życia – kto ją posiada? Poznaje się ją wtedy, gdy życia na ziemi pozostaje, niestety, bardzo mało, gdy słabną fizyczne siły, gdy stopniowo przygasa świeżość doznań, mętnieją barwy cudownego Bożego świata i człowiek coraz

częściej spogląda oczyma wiary w horyzont wieczności.

Człowiek, który poznał sztukę życia, jest człowiekiem dużego serca. Spotykałem takich ludzi. Potrafią oni kochać innych, nawet swoich nieprzyjaciół, nie wiedząc nic o hymnie miłości apostoła Pawła, przez niego napisanego w 13-tym rozdziale pierwszego Listu do Koryntian.

A jakże smutno jest, gdy spotyka się ludzi, którzy znają na pamięć ten hymn o miłości, a w ich sercu jest przeciąg, na ustach – puste, obłudnie słodkie słowa, a na twarzy – chytry, fałszywy uśmiešek.

Taka jest prawda ziemi, takie jest życie.

X X X

Gęsta mgła pełźnie po prostych ulicach Sacramento, po ulicach dużego, kalifornijskiego miasta. Mgła okrywa domy, jak sinym kocem, otula je dziwnymi łapami, zwisa jak ogony. Mijają 3-4 godziny – i te domy lśnią w promieniach słońca swoimi oknami i objawia się nam zupełnie inny świat.

Tak samo zdarza się też w życiu, gdy człowiek, obarczony troskami i krzątaną, otulony nimi jak mgłą, nie wie, co to jest promienny uśmiech, a o miłości wie tylko z tekstów Pisma, że jest takie uczucie – kochać i przebaczać, nawet nieprzyjaciółom, a serce napełnione ma cielesnymi, egoistycznymi pragnieniami.

Lecz oto wyrzy słońce, przebije się przez mgłę, wiatr ją rozgoni, w przyrodzie rozlegną się akordy muzyki, i – człowiek się uśmiecha i pragnie podać rękę temu, kogo unikał wiele lat.

Nie kochać człowieka, to nie kochać samego siebie. Żyć, jak we śnie, odczuwając ze smutkiem, że wszystko powinno być inaczej, jeżeli jesteśmy dziećmi światłości, chrześcijanami, a do tego – ewangelicznymi.

Mój ojciec mało wiedział o Ewangelii. Nawet jej nie czytał. Lecz na ile pamiętam, największą jego radością zawsze było uczynić coś dobrego człowiekowi, ale uczynić tak, żeby o tym nikt nic nie wiedział.

Kto go tego nauczył?

Pierwszy raz widziałem ojca płaczącego na grobie matki. Było to wczesnym rankiem, gdy we wsi wszyscy jeszcze spali. Poprosił mnie, abym poszedł z nim do sąsiedniej wsi. Zaszedł na cmentarz i długo stał nad mogiłą, nie odchodził od niej, gniotąc i bez tego pomiętą czapkę. Wytarł czapką łzy, a później, spojrzawszy na mnie, rzekł:

— Pójdziemy, synku. Nie mamy i teraz już nigdy nie będziemy mieć mamusi...

Miałem wtedy 13 lat, ojciec – 55. Siostry długo namawiały go, aby się ożenił, ale on twardo rzekł:

— Żenić się... Co wy, przy swoim rozumie? Czyż można znaleźć na ziemi lepszą kobietę niż była wasza matka? A z gorszą się żenić nie chcę i nie będę...

I pozostał wdowcem do śmierci, a przy tym – do śmierci w więzieniu, prawdopodobnie podczas wojny.

Powtarzam: ojciec nigdy nie czytał Ewangelii, palił, czasem wypił i z jakiegoś powodu nie chodził do cerkwi.

Dziś, gdy często spotykam suchych, bezuczuciowych religiantów, którzy Ewangelię mają tylko na ustach, lecz nie w sercu, zadaję sobie to pytanie:

Czym i jak wyjaśnić, że w człowieku, który słucha Ewangelię w każdą niedzie-

lę, żyje okrucieństwo, pamiętliwość, nieustępliwość, skąpstwo i, co najstraszniejsze – obłuda?

Ktoś, rzekł tak: „Człowiek jest wielki w tym stopniu, w jakim jest zdolny kochać tych, którzy mu źle życzą i wybaczać im krzywdy”.

Wybaczyć słabości człowieka, wyolbrzymić jego zalety – jest o wiele lepiej niż wyolbrzymiać jego wady. Niestety, ta prosta prawda z wielką trudnością wchodzi do naszej świadomości i wielu ludzi odchodzi do wieczności nie poznając jej.

Dopiero teraz prawdziwie zrozumiałem, że chrześcijaństwo jest przede wszystkim aromatem miłości, który przenika człowieka na wylot. Gdzie tego nie ma, tam jest suchy zakon, religia, ale nie żywe chrześcijaństwo. Mówię sam sobie i powtarzam:

— Nikołaj, pilnuj czujnie swego serca!

X X X

Praca... Praca do potu – to zupełnie nie jest straszne, gdy kochasz pracę, a ona kocha ciebie, gdy praca ci odpowiada, gdy praca przynosi korzyść nie tylko dla mnie, ale też innym ludziom i cieszy ich.

Zapytałem kiedyś zgarbionego staruszka, gdy on, ledwo przebijając nogami, przycinał różane krzewy:

— Ojciec, odpocznijcie chwilkę na ławce...

— A ja właśnie teraz odpoczywam – odpowiedział staruszek, podnosząc głowę.

Rozpoznał mnie, sąsiada. Na jego twarzy widniał uśmiech. Z wielkim trudem zebrał obcięte gałązki i rzekł mi:

— Nie będę pracował – od razu umrę.

Pewnego razu ten staruszek opowiedział mi, jak przez 40 lat mieszkał na farmie w Arizonie, hodował krowy i konie. Jak lubił je poić ze swojej źródlanej studni. Tam lubił się modlić i dziękować Bogu za piękno ziemi, za swobodę, za zdrowie.

— Co się stało z tą farmą? – zapytałem go.

— Przepił... Tylko nie ja, ale syn, kiedy przepisałem ją na niego w swojej głupocie, we wcześniejszym czasie.

I gdy teraz staruszek obcinał róże, w jego duszy ciągle jeszcze śpiewało gwiazdne niebo, szeleściły trawy, ciągle jeszcze słyszał dźwięczny ryk bydła, głos owiec, i z tego był szczęśliwy.

Przyroda jest świątynią Bożą i kto rzadko przebywa w niej, ten bardzo dużo traci: dusza w nim przeobraża się w oschłego egoistę.

## Ludzie...

Mówi się, że w życiu Lwa Tołstoja nie było dnia, w którym by nie spotykał się z ludźmi. Bronił on tych pisarzy i poetów, którzy odchodzili na pustkowia, aby pisać o ludziach.

Lecz nie zapomnijmy, że i sam Tołstoj uciekł nie tylko od ludzi, ale i od Zofii Andriejewny, swojej żony. Prawdą jest, że daleko nie uciekł: tylko do najbliższej stacji Ostapowo, gdzie doznała go śmierć.

Od kogo uciekał Tołstoj? Od ludzi? Nie. On uciekał od siebie samego. Lecz ucieczka od siebie samego jest poronionym pomysłem. Człowiek nigdzie nie może uciec od siebie.

Co to jest prawdziwa poezja? Migocące gwiazdy w ciemną noc? Zapach kwiatów? Pluskanie strumyka? Kwitnące drzewa?

Prawdziwa poezja – to ludzie. Ludzie przede wszystkim.

W Bożym planie nie ma nic cenniejszego i wywyższonego niż człowiek. Tak, tak – człowiek. Zaczniemy pisać to słowo z dużej litery. Lecz on też zdradza, grabi, nienawidzi, mści się, okłamuje i co najgorsze – zasłania się imieniem Bożym. A wszystko jedno, Bóg tak umiłował człowieka, że oddał Syna Swojego jednorodzonego, aby człowiek nie zginął, ale miał życie wieczne.

Złych czynów dokonują ludzie, którzy nic nie wiedzą o miłości Bożej, albo być może tylko słyszeli o niej jednym uchem. Jeżeli człowiek nie wierzy w żywego Boga i nie żyje Jego miłością, wtedy jest żalosną, bezradną istotą, nawet gdy jest bogaty i wyobraża, że jest olbrzymem. A jednak i tak ciągle jest on Człowiekiem.

## Gdy tracimy...

Każdy dzień jest nową stronką książki.

Wczoraj, podczas odwiedzin małego kanadyjskiego miasteczka Vernon, pewien brat w wierze opowiedział mi takie wydarzenie:

— Jechaliśmy Volkswagenem po oblodzonej drodze. Samopoczucie dobre, świeże powietrze, słońeczko świeci, na górach lśni śnieżek. Na zakręcie trzeba było przyhamować. Lecz tak przyhamowałem, że wpadliśmy w poślizg. samochód parę razy przekoziółkował i stanął do góry kołami, a my po kolei zaczęliśmy wylazić przez okno. Gdy już wyleźliśmy, rzekłem: „Masz ci życie, jakim ono jest...!”. Jechaliśmy w dobrym nastroju, a w sekundzie wszyscy stanęli do góry nogami. A, co dziwniejsze: nikomu nic się nie stało. Postawiliśmy samochód na koła, silnik zapalił i pojechaliśmy dalej. Czyż to nie cud?

— Tam też oddaliśmy chwałę Bogu za wybawienie od kalectwa, a być może nawet od niechybnej śmierci.

W kanadyjskiej prowincji Saskatchewan spotkałem siostrę w wierze, Ukrainkę, która opowiedziała mi takie wydarzenie:

— Spadł u nas duży grad. Nigdy takiego nie było. Zniszczył mój ogród do samej ziemi. Wszystko, co zasiałam – przepadło, a u sąsiadki wszystko ocalało: grad przeszedł miedzą. Wtedy się rozplakałam, a później przypomniałam o tym, co mówi Pismo: „Wierzącemu wszystko służy ku dobremu”. I jeszcze jest napisane: „Za wszystko dziękujcie Bogu...”. Za wszystko, to znaczy za wszystko: za grad też. I zaczęłam dziękować Bogu za grad. Wyprawiłam dzieci do szkoły i zaczęłam dziękować Bogu za grad. A gdy dzieci wróciły ze szkoły, rzekłam im: „Dzieci, ja dziś dziękowałam Bogu za grad. Nie wątpcie, wszystko będzie dobrze...”.

— Mama, musisz iść do lekarza...

Minął jakiś czas. Pewnego razu dzwoni do mnie sąsiadka i mówi: „Słyszałam, że grad zniszczył wam cały ogród”. „Tak – mówię – wszystko zniszczył, nic nie zostało”. „Tak więc, moja droga – mówi sąsiadka – przyjdź do mnie i weź parę

skrzynek pomidorów. Bardzo dobrze obrodziły i bardzo dużo".

Przywiozłam pomidory, się cieszę, dziękuję Bogu, a druga sąsiadka dzwoni i proponuje mi ogórki: „Bierz ile chcesz. Nie mam co z nimi robić...”.

A później wzywają mnie: „Przyjeżdżaj po kapustę”.

I w ten sposób w mojej piwnicy znalazło się tyle warzyw, że ze swojego ogrodu tyle bym nie zebrała.

Tak zakończyła swoje opowiadanie siostra w wierze, a ja słuchałam jej i tak myślałam: a przecież w samej rzeczy, jak dużo tracimy z powodu tego, że nie naczyliśmy się dziękować Bogu za niepowodzenia w życiu!

Opowiadanie siostry pomogło mi lepiej zrozumieć przyczyny tych niepowodzeń, które nie raz miały miejsce w moim życiu.

## **Jak ludzie gubią siebie samych**

Widzieliście kiedykolwiek człowieka, siedzącego na gałęzi i jednocześnie piju-  
jącego tę gałąź?

W dosłownym sensie być może nikt się nie spotkał z taki zjawiskiem, ale jakże często w życiu właśnie tak bywa: człowiek pogania tego konia, który wiezie go na – cmentarz.

Czy potrzebne są przykłady? Są ich tysiące. Oto jeden, najmniejszy, ale wy-  
raźny.

Siedział na ławce, ponury, milczący, kogoś oczekiwał, spoglądał w aleję.

— Dobry był z niego człowiek – opowiadał mi znajomy Amerykanin – a teraz to z niego pozostało: ruina. Chce pan, to zapoznam pana z nim?

Parę minut później rozmawialiśmy z Frankiem. Jeszcze niedawno pracował on jako mechanik samochodowy, teraz pije, stracił pracę, żebrze. Po tym, gdy kupiłam mu dwie dobre kanapki i butelkę „coca coli”, stał się rozmowniejszy:

— Bzdurne mam życie. Miałem żonę i córkę, straciłem je i od tego wszystkiego się zaczęło.

Głos Franka, ochrypły, basowy, często się zawieszał w pół słowa. Wydawało mi się, że zaraz zapłaczę.

— To nic, śmierć wszystkich bierze, wszystkich zrównuje: i bogatych, i bied-  
nych. I moja choroba się skończy...

— A co dalej? – zapytałem.

— Co, dalej?

— Po śmierci.

— Po śmierci wszyscy jednakowo śmierzają. Byłem w Wietnamie, naogląda-  
łem się, nawąchałem.

I Frank mi opowiedział:

— Byłem kiedyś młodym człowiekiem, ożeniłem się z piękną dziewczyną. Szczęściu nie było końca, lecz jedno zaciemniło nasze życie: żona zaczęła cho-  
dzić do kościoła, a mi to było nie w smak, sprzeciwiałem się. Żona przyjęła u bap-  
tystów chrzest, zaczęła śpiewać w chórze. I tu się zaczęły nieprzyjemności. Żona  
musi podporządkować się mężowi, a ona przeciwnie: ciągnie mnie do kościoła.

— Dlaczego pan nie poszedł z nią do kościoła? – wtrąciłem pytanie.

— Nie jestem byczkiem, żeby prowadzić mnie na postronku. A co by powie-

dzieli koledzy?

— A co teraz mówią koledzy?

— No, teraz nie mam kolegów. I od tego się zaczęło u nas, a skończyło się na tym, że wprost powiedziałem żonie: „Albo Chrystus, albo mąż”. Żona wybrała Chrystusa i odszedłem od niej. Później znowu się ożeniłem, ale się trafiła taka... (w tym miejscu powiedział brzydkie słowo), że odszedłem i od drugiej żony, a później piłem, straciłem pracę.

Dwie godziny rozmawiałem z Frankiem o drodze wybawienia z niewoli grzechu, o wiecznym zbawieniu w Chrystusie, lecz do jego świadomości w żaden sposób nie dochodziła wielka i jednocześnie prosta prawda: „Chrystus przyszedł na świat, aby zbawić grzeszników”.

— A po co ich zbawiać? I tak trzeba umierać, a po śmierci wszyscy śmierdzą jednakowo... – twierdził Frank. – Niech pan lepiej da mi jednego dolara na autobus, pojedę do pierwszej żony. Może ona mnie przyjmie... Przecież jest chrześcijanką.

## Zapominalstwo

W naszym codziennym życiu zapominalstwo niekiedy kosztuje bardzo drogo. W ubiegłym roku zapomniałem wykupić na czas licencję na samochód i kosztowało to mnie 20 dolarów. Niedawno zapomniałem spuścić ręczny hamulec w samochodzie, wyruszając w drogę. Kiedyś zapomniałem sprawdzić wodę w chłodnicy samochodu. Z tej przyczyny chłodnica uległa zniszczeniu. I znowu strata.

Ale o wiele drożej kosztuje zapominalstwo w stosunku do potrzeb naszej duszy. Z powodu życiowych potrzeb można zapomnieć o najważniejszym – o potrzebach swojej duszy: czytaniu Bożego Słowa, modlitwie, słuchaniu dobrych audycji radiowych...

Dusza ludzka w jakimś sensie podobna jest do muzycznego instrumentu. Trzeba ją strzec przed kurzem i brudem, trzeba się o nią troszczyć. Muzyczny instrument musi być nastrojony, aby mógł wydawać z siebie melodie. Trudno oczekiwać od skrzypiec melodyjności, gdy nie dba się o nie: zbrzydły – rzucił w zaku-rzony kąt, zapomniał je.

Tak samo odnosi się do swojej duszy wielu ludzi, a później się dziwią, dlaczego nie mają chęci, żeby pójść w niedzielę do kościoła, poczytać duchową literaturę, posłuchać duchowych pieśni lub uczynić dobry czyn wiary.

Zamorzona dusza traci apetyt do chleba życia.

I tego najbardziej powinien się obawiać chrześcijanin.

## On potrafił myśleć

Chudziutki, niedużego wzrostu, elegancko uczesany młody człowiek w wieku 30 lat, stał przed biurkiem mego melancholijnego szefa i uśmiechając się, odpowiadał na jego pytania.

Za parę minut wezwał mnie szef i wskazując na młodego człowieka, rzekł:

— Nik, zapoznaj się. On będzie ci pomagał.

Przystąpiliśmy do pracy.

Szesnastofuntowy podest nie był na siły Glena, mojego partnera. Gdy go podnosił, na jego szyi pęczniały i ciemniały żyły. Myślałem, że Glen nie wytrzyma w tej pracy jednego tygodnia.

— No jak? – zapytałem go przed obiadem.

— Okay! – odpowiedział hardo. – Dla mnie to nie praca, ale spacer. Przez sześć lat pracowałem na farmach w Davis. Tam rzeczywiście była praca...

Oczy Glena były ciemne, pełne wyrazu, z wesołym ognikiem. Wydawało mi się, że w nich zatrzymała się łezka i tak ciągle w nich świeciła.

Do obiadu siedliśmy przy jednym stole. Glen zamknął oczy i pochylił głowę. Modlił się.

— Pan jest chrześcijaninem? – zapytałem.

— Oczywiście! Jestem chrześcijaninem.

Jeszcze raz podaliśmy sobie ręce.

Następnego dnia Glen opowiadał o sobie:

— Jestem synem farmera. Matka była wierzącą, ojciec był alkoholikiem. Ileż ona, biedna, zniosła od niego bicia. I cierpiała, nie odeszła od nas. Do wojska trzymałem się matki, ale w wojsku wszystko zapomniałem i zacząłem pić. Matka umarła w dniu mojej demobilizacji. Wróciłem do Davis i zacząłem pracować na farmach. Do domu wracałem brudny, zmęczony. Poszedłem w ślady ojca. Trzy razy sadzali mnie do więzienia za rozróbę.

Glen ciężko westchnął i długo milczał, składając w rękach papierową serwetkę. Przełknąwszy łyk kawy, opowiadał dalej:

— Dwa lata temu, zimą, gdy padały deszcze, siedziałem bez pracy i bez pieniędzy. Tak się stało, że na drodze podniosłem mokrą kartkę i przeczytałem tytuł: „Zatrzymaj się i pomyśl...!”. Nie było co robić, męczyła nuda, schowałem kartkę do kieszeni i przeczytałem ją w domu. Karteczka opowiadała o synu marnotrawnym. Zacząłem i ja myśleć, przypomniałem matkę, zapłakałem...

Tego samego dnia byłem w Sacramento na chrześcijańskim nabożeństwie. I w tym samym dniu przygarnął mnie Chrystus. Wyciągnął prosto z błota. Oczyszczył mnie. Teraz oto i do człowieka jestem podobny...

Nasza przyjaźń krzepła. Zabierałem ze sobą Glena do San Francisco na rosyjskie nabożeństwa. Parę miesięcy później Glen przyszedł do fabryki niezwykle radosny.

— Nik – zwrócił się do mnie – będziesz wieczorem wolny?

— Jeżeli trzeba, będę. W czym rzecz?

— Zaprośli mnie do Davis na nabożeństwa przebudzeniowe. Tam przecież nie tylko wszyscy ludzie mnie znają, ale każdy pies zna. Nikt do mnie nigdy nie mówił „hallo”, a teraz ogłoszenie w gazecie na pół strony: „Glen Carpenter będzie głosił na temat: 'Stare i nowe...'”.

Jego kazanie było wstrząsające. Właściwie, to nie było kazanie: było to świadectwo. Nie rzucał w publiczność tekstami z Ewangelii. On sam był żywą ewangelią. Na wielu twarzach świeciły się łzy wzruszenia. Później ludzie podchodzili do podwyższenia, upamiętywali się

w swoim bezbożnictwie.

Minęło pół roku. Glen przyszedł do fabryki w białej koszuli. – Bracie – rzekł – przyszedłem pożegnać się z tobą.

Wieczorem wyjeżdżam do Teksasu. Niedawno prosiłem Boga: „Poślij mnie,

abym głosił ewangelię. Żony nie mam, nauczyłem się żyć za 20 dolarów tygodniowo". I wczoraj Bóg odpowiedział. Zaproszono mnie do pracy misyjnej.

## Wiaczesław Dolin

Z drugiej wojny Światowej pozostało dużo nieprzyjemnych wspomnień. Leczą też przyjemne. Dziś przypomniałem Wiaczesława Dolina, aktora Orłowskiego teatru dramatycznego. Spotkałem się z nim pod koniec 1942 roku w obozie jeńnickim. Obóz znajdował się w byłych kołchozowych stajniach, na skraju wsi Ignatowo, dwa kilometry od szosy Moskwa-Rosławł.

Była zimna, późna jesień. Za pagórkami dymił parowóz. Jeździł on między rozjazdem Kniaziewo i stacją Bachmutowo. Znajdowały się tam niemieckie magazyny artyleryjskie, w których pracowaliśmy.

Wieczorem, po powrocie z pracy, dostawaliśmy po misce lury, siadaliśmy na pryczach i przystępowaliśmy do jedzenia, jak do nabożeństwa. Ciszę naruszał tylko brzęk pustych misek. Jak tylko obiad się skończył, sierżant Maksimow donośnie podawał komendę:

— Wychodzić na apel!

Jeżeli odliczanie się zgadzało, wtedy szybko nas zwalniano do baraków-szop. Tam, podzieliwszy się na grupy, ludzie spędzali wieczorne godziny na rozmowach. Najbardziej liczna grupa była ta, w której opowiadał Wiaczesław Dolin. Zawsze przebijałem się bliżej aktora i słuchałem go wstrzymując oddech.

Wielka jest moc artystycznego słowa! Przenikało ono do naszych serc, zawładnęło nami, zapominaliśmy o swoim losie i nie raz prosiliśmy, aby recytował nam jeszcze i jeszcze. A on recytował z natchnieniem i płomiennie. Zdumiewała mnie jego pamięć. Recytował nam monologi każdego wieczora, z pamięci, nie powtarzając się.

Pewnego razu rzekł on:

— Dziś zaznajomię was z wielkim, rosyjskim poetą, o którym prawdopodobnie nic nie słyszeliście. Został on rozstrzelany. Nazywał się Nikołaj Gumiliew.

Chrząknął i zaczął:

„Ten kraj, który mógł być rajem,  
Stał się legowiskiem ognia,  
Czwarty dzień nacieramy,  
Nie jedliśmy cztery dni.

Lecz nie trzeba nam jedzenia za dużo  
W tej dziwnej i jasnej godzinie,  
Dlatego, że Pańskie słowo  
Bardziej niż chleb karmi nas".

Byłem zdziwiony, że o takim wielkim, utalentowanym poecie nic nam nie mówili na uczelni.

Zapytałem o to Dolina.

— A-a, braciszku, wiesz, dlaczego oni schowali go przed młodym pokoleniem? On nie wierzył, że odrzucając Boga, można zbudować królestwo

sprawiedliwości. Później przepisywałem wiersze Gumiliewa pod dyktando Dolina, zabierałem je do pracy, uczyłem się na pamięć i mówiłem je sobie, ciągnąc belki do schronów. I do tej pory pamiętam ulubiony przeze mnie wiersz, w którym poeta zwraca się w modlitwie do Boga:

„Świątynia Twoja, Panie, w niebie,  
Lecz ziemia też Twoim mieszkaniem.  
Rozkwitają lipy w lasach  
I w lipach ptaki śpiewają...  
Jeżeli, Panie, to tak jest,  
Jeżeli dobrze śpiewam,  
Daj mi, Panie, daj mi znak,  
Że zrozumiałem Twoją wolę”.

Po jakimś czasie Wiaczesława Dolina Niemcy wezwali do Rosławla. Od tej pory nic o nim nie słyszałem.

W ostatni wieczór śpiewaliśmy pieśń woźnicy, a w miejscu, w którym wyciągał tenorem słowa: „przekaz pozdrowienia rodzonej matce”, u wielu zaczynały kręcić się lzy.

Rano wygnano nas do oczyszczania szosy ze śnieżnych zasp. Wirujący śnieżny pył wbijał się nam w oczy, wdzierał się pod stare szmaty, którymi okręcaliśmy głowy, mroził ręce, a w moim sercu przez cały ten dzień dźwięczały Gumiliewskie słowa, które zapisałem pod dyktando Dolina:

„Ja – ponury i uparty budowniczy  
Świątyni, powstałej we mgle,  
Ja zatroszczyłem się o chwałę Ojca,  
Jak na niebiosach, i na ziemi,  
Serce będzie płomieniem palone  
Aż do dnia, gdy powstaną jasne  
Ściany Nowego Jeruzalem  
Na polach mego rodzinnego kraju.  
Krzyknę ja... lecz czyż to pomoże,  
Żeby dusza moja nie umarła?  
Tylko węże zrzucają skórę,  
My zmieniamy dusze, nie ciała”.

## **Miłość czynna**

Było to dawno, ale jest pamiętne i dziś.

Pogodny, jesienny dzień 1943 roku. Na cichej Diesnie igrają odbłaski słońca. Wzniesając kurz, po drodze ciągną się wojskowe tabory. To Niemcy wycofują się na zachód. Parę radzieckich samolotów długo krąży na d mostem przy wsi Micholiewka i nie rzucając żadnej bomby, odleciały na wschód. Stamtąd dochodził huk artyleryjskiej kanonady. Toczone tam bój o Spas-Diemsensk.

Niemcy spokojnieli: Rosjanie ukrócili ich pychę. Wieczorem podszedł do mnie feldfebel i do ucha rzekł:

— Szybko nie ma wojna. Krig kaput...

Niepostrzeżenie włożył mi do kieszeni tabliczkę czekolady.

Przedtem nie można było tego nawet wyobrazić.

Tego wieczoru poznałem rosyjską dziewczynę. Ona bardzo mi się podobała. Ileż trudu mnie kosztowało, żeby przekonać ją do wzięcia ode mnie tabliczki czekolady.

Od tej pory za każdym razem, gdy udawało się mi dostać coś słodkiego, szukałem możliwości spotkania z tą dziewczyną, aby jej to dać. Przynosiłem jej słodycze nie dlatego, że potrzebowała, ale dlatego, że potrzebna mi była jej miłość.

Wkrótce się rozstaliśmy, ale po roku ponownie spotkaliśmy się w Polsce.

Została moją żoną. I oto już 30 lat idziemy razem.

Co przez to chcę powiedzieć?

To, że prawdziwa miłość zawsze chce się objawić w czynie.

Tak samo jest z tym, kto kocha Chrystusa, kto kocha Ewangelię. Ten obowiązkowo będzie poszukiwał możliwości, żeby okazać tę miłość w czynie.

Żywa, zbawiająca wiara, przejawia się w czynnej miłości.

## **Piękne słowo**

Pewnego razu mędrzec zapytał:

— Jakie jest najpiękniejsze słowo?

— Zdrowie! – odpowiedział chory.

— Młodość! – przemówił starzec.

— Chleb! – odezwał się głodny.

— Zwycięstwo! – głośno obwieścił żołnierz.

— Wolność! – wykrzyknął uwięziony.

— Nie, wszystkie te słowa są dobre, ale najpiękniejsze słowo – to prawda! – zakończył mędrzec.

Lecz w tym czasie z boku rozległ się dźwięczny głos. Był to chłopczyk-sierota. Rzekł on:

— Najpiękniejszym słowem na świecie jest MAMA! Nie ma piękniejszego słowa od tego!

I wszyscy, włącznie z mędrcelem, zgodzili się z chłopcem.

## **Życ – to tworzyć**

Dla każdej sprawy potrzebny jest czas i energia. Najtrudniejszą rzeczą jest znalezienie łatwej sprawy. Najważniejsze jest, żeby to, co czynię, służyło ku pożytkowi człowieka. Każdy, kto pracuje, powinien myśleć o tym, gdyż my wszyscy jesteśmy członkami jednej rodziny, której nazwa brzmi – ludzkość.

Kto pracuje bez zrozumienia prawdziwego celu życia, ten się kręci – wiruje na ziemi, jak drzazga na Broadwayu, póki jej wiatr nie porwie i rzuci pod parkan lub za cmentarne ogrodzenie.

Trzeba powiedzieć prawdę: niepiękne jest to życie, gdy człowiek myśli tylko o brzuchu, o dobrych meblach, zapominając o własnej duszy:

Dusza, jak ptak, szuka chleba,  
A ten chleb daje nam Bóg.  
Jedna droga jest do nieba,  
A do zguby – tysiące dróg .

Przyzwyczajaliśmy się do ciepła, przytulności, sytości, ale prawdziwa radość życia nie jest tylko w tym. Wszystko, co nas otacza, wszystko, co przeżywamy – są to tylko warunki do wzrostu dziwnego ziarna, które się nazywa – dusza.

Ktoś z goryczą rzekł: „Po cóż mnie Bóg stworzył? Nie widzę sensu w tym, że istnieję”. Odpowiedziano mu: „Być może rzeczywiście nie widzisz w tym sensu, ale to, że masz tego świadomość, mówi o tym, że z tobą sprawa nie jest jeszcze zakończona”.

Tak, my wszyscy przechodzimy proces obróbki. Szczęśliwy jest ten, kto powierza siebie w ręce Niebiańskiego Mistrza.

Dla mnie życie jest tworzeniem i tym sposobem, służbą mojemu bliźniemu. A służba bliźniemu – to służba Bogu.

Rodziłem się w trudzie i dlatego nie mogę siedzieć nic nie robiąc. Rodziłem się w ogniu i dlatego nie mogę siedzieć w dymie i smrodzie. Jest mi potrzebne czyste powietrze, żeby płonąć.

Jeżeli człowiek buduje drogę ze świadomością, że po tej drodze będą poruszać się ludzie – wtedy jego praca w dwójnasób lżejsza i bardziej interesująca.

Nie ma nic tragiczniejszego niż bezcelowa praca.

Paru ludzi czyniło to samo dzieło. Ktoś zapytał jednego z nich:

— Co ty robisz?

— Zarabiam swoje 35 dolarów, padła odpowiedź.

Zapytał drugiego:

— Co ty robisz?

— Ociosuję kamienie.

Zapytał trzeciego:

— a co ty robisz?

— Buduję dom dla pożytku człowieka i na chwałę Bożą.

Gdy piszę te słowa, myślę o moich „Notatkach emigranta”. Czy będą one pożyteczne moim czytelnikom? Pisano do mnie: „Pańskie Notatki są interesujące”. Dla mnie jest to za mało. „Interesujące” – to nie wszystko. Chcę, żeby moja praca przyniosła moim współbraciom pożytek.

## Sosna

Ktoś powiedział, że jedną z czystszych i jasnych radości – jest odpoczynek po pracy. I oto, już drugi dzień odpoczywam i się cieszę pięknem stanowego parku. Nieopodal basenu z gorącą, mineralną wodą, przy zakręcie drogi, stoi ogromna sosna. Trudno określić ile ma lat. Prawdopodobnie pamięta pierwszych odkrywców tego cudownego kraju. Jak i wszystkie górskie drzewa, nie jest ona wysoka, lecz jej średnica ma ponad dwa metry. W jej cieniu stoją stoły i piec na usługi odpoczywających.

Na pniu tej sosny widnieją setki pamiątek. Każdy chciał w jakiś sposób odnowić swój

pobyt tutaj. Tym sposobem na pniu pojawiły się rany od noża, wbite gwoździe, dziury, nacięcia. Ktoś się zmyślił i odrąbywał drewno do pieca. Jedne rany już się zablizniły, się zagoiły, inne – są świeże, lecz zielone drzewo stoi, jak przedtem niewzruszenie. W jego gałęziach szumi wiatr, gnieźdzą się ptaki. W cieniu drzewa chronią się przed żarem ludzie.

Siedzę w samochodzie obok drzewa, patrzę na nie i myślę o przeznaczeniu chrześcijanina w tym świecie. Jeżeli wierzący człowiek swoimi korzeniami wbije się głęboko w fundament wiary, wtedy będzie podobny do tego drzewa. Świat spowoduje w jego sercu wiele ran, nie raz zostanie okłamany, zelżony, zasmucony, ale będzie, jak zawsze, zielony, gdyż jego korzenie związane są ze źródłem niewiadącego życia.

## **Pionier rosyjskiego ruchu ewangelicznego**

Niedawno miałem okazję słuchać najstarszego rosyjskiego kaznodziei, Fiedora Dimitrijewicza Jefimowa. Jego głos często zanikał, ale go słuchano. Ludzie wiedzieli, że mówi człowiek mądry doświadczeniem.

Jefimow ma ponad osiemdziesiąt lat, ale jaką ma świetną pamięć! Patrzyłem na jego pochyloną sylwetkę, na jego drżące ręce i myślałem: oto pionier rosyjskiego ruchu ewangelicznego! Doświadczony w wierze Apollós.

Za zwiastowanie ewangelii Fiedora Dimitrijewicza prześladowała carska władza. Z tej to przyczyny nie raz wtrącała go do więzienia i nowa władza. Dziwnie się spełniają słowa Chrystusa: „I prześladować was będą ze względu na mnie!”.

Twarz jego spokojna, myśląca, przymrużone oczy z płomykiem wewnętrznej radości. Teksty Ewangelii mówi z pamięci bezbłędnie. Mówi o swojej ciężkiej przeszłości, lecz mówi bez urazy, jak gdyby wszystko tak miało być, nie inaczej.

Fiedor Dimitrijewicz mówił o „soli ziemi”, o istocie chrześcijaństwa:

— Bywałem też blisko Astrachania, gdzie wydobywano sól. Leży ona, już wydobyta, pod gołym niebem trzy lata, zanim pójdzie do obróbki. I gorące słońce ją praży, i wiatr przewiewa, i zimą mróz wysusza. Nie wiedziałem w czym tu rzecz, dopóki mi nie opowiedzieli ludzie. „W soli – mówią oni – jest gorycz i tę gorycz trzeba oddzielić. A to czyni pogoda i czas...”.

— I pomyślałem wtedy – kontynuował dalej staruszek – oto gdzie dla nas, chrześcijan, lekcja. W nas też przecież nie ma goryczy. Gorycz – to nasze „ja”. I ta gorycz musi się ulotnić, wyparować, przejść przez próby. I tylko wtedy chrześcijanin może być prawdziwą „solą ziemi”.

Mądrze powiedziane.

## **Przykładny syn**

Gorące południe. Błękit zasnuwa wypaloną przez słońce dal. Mętna zasłona wisi nad wyciszonym miasteczkiem. Widzę je z góry jako wielki sad. Jego granice ciągną się daleko za wschodni brzeg rzeki.

Wietrzyk dmucha z północy. Każdy jego powiew nie chłodzi, lecz przynosi żar.

Ziemia oddycha ogniem, a słońce wydaje się być dziwnym, rozpalonym piecem. W powietrzu czuć suszem i roztopionym asfaltem. Termometr wskazuje 102 °F.

Czarny pies, przechyliwszy do tyłu niezgrabną głowę, leniwie leży pod drzewem przymrużywszy jedno oko. Drugim smutno spoglądał na boki. Po jego zapadniętym brzuchu widać z jakim pośpiechem oddycha, pyskiem łapiąc powietrze... Jego pan, dobroduszny, młody Amerykanin o imieniu Jim, idzie razem ze mną podskakując, jakby niósł za sobą nosze. Unosząc twarz się uśmiecha, a jego górna warga prawie dotyka długiego, haczykowatego nosa. Oczywiście są tak wąskie, że nie można rozpoznać ich koloru. Przysiadł w cieniu dużego eukaliptusa, dalej opowiadając o swoim życiu.

Słuchałem go ze zdziwieniem, że taka nie przyciągająca twarz skrywa w sobie delikatną, dobrą duszę. Jim ma żonę i dzieci, zarabia 90 dolarów na tydzień, z których 15 wysyła matce.

— Wie pan, lekarstwa drogo kosztują – mówi zmiatając gałęzią kurz ze swoich butów. – A mama moja jest chora.

— Żona nie ma pretensji? – zapytałem.

— O, nie! Moja żona jest chrześcijanką. We wszystkim idziemy razem.

W wąskich oczach Jima zabłysła iskierka głębokiego zadowolenia. I zrozumiałem, że Jim regularnie pomaga matce, jako szlachetny syn nie czyni tego z obowiązku, ale z miłości do rodzonej i wychowującej go matki.

Różni są Amerykanie. I Rosjanie nie są wszyscy jednakowi.

— Ma pan braci? – zapytałem.

— Mam brata. On dobrze zarabia, ale matce nie pomaga.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jego żona jest chora. Wszystkie pieniądze idą na lekarzy. Skarży się ona na nerwy...

Jim się uśmiechnął, jakby przypomniał sobie coś zabawnego i kontynuował:

— Gdy jej brat powiedział, że lekarze nic u niej nie znajdują, ona odpowiedziała:

— Z tego też powodu jestem nerwowa, że oni niczego nie znajdują...

Jim wstał i trącając ręką moje ramię, rzekł:

— To między innymi, a w ogóle – mam dobrego brata.

Wietrzyk znowu przyniósł woń spalenizny i od razu przypomniałem ogniska, które rozpalałem przy stadzie, przypomniałem dzieciństwo bez radości i dobrośliwości twarzy mojej matki.

Gdzieś palili suchą trawę.

## Ludzie i fakty

Najwięcej materiału do moich notatek dają mi ludzie, których spotykam w pracy. Z jednymi zdarza się zetknąć bliżej, z innymi – z większej odległości. Wczoraj, na przykład, przypadek zetknął mnie z człowiekiem, którego wszyscy znają jako nieposkromionego gadułę. Sypał on słowami, jak z rękawa, bez przerwy. Dwa przednie zęby miał czarne i zawsze, gdy się uśmiechał, zakrywał je końcem języka. Czynił to instynktownie i z przyzwyczajenia spluwał przeżutą, rudą papką z toniu.

Zapytał on mnie:

— Czytałeś, jak do naszej ambasady w Moskwie przyszło z Syberii 50 chrześcijan?

— Nie pięćdziesiąt, ale trzydziestu dwóch – zauważyłem.

— To znaczy, że czytałeś? Załóż się o 100 dolarów: wszystkich ich rozstrzelają!

Nie dał mi wypowiedzieć mojej myśli i zaczął swoje:

— U nas, w Ameryce, patrz, ilu cudzoziemców! Ile kościołów! Każdy człowiek, jak chce, idzie do kościoła, do którego chce... – A pan chodzi do kościoła? – zapytałem.

— Nie, ja do kościoła nie chodzę. Niekiedy. – odpowiedział, ściszywszy głos do szeptu, a później dodał głośniejszym:

— Nieboszczka żona zawsze chodziła do kościoła. Ja jej nie zabraniałem...

Znowu się uśmiechnął, zakrywając szczerbę końcem języka.

## Tragedia Gleba Uspienskiego

W studenckich latach z wielkim zainteresowaniem czytałem opowiadania i powieści Gleba Iwanowicza Uspienskiego. Pociągała mnie jego miłość do prostego człowieka, którego na każdym kroku krzywdziła władza możnych.

Wczoraj czytałem szkic o ostatnich latach jego życia. Uspienski pod koniec swego życia zwrócił się ku Ewangelii. To wstrząsnęło jego przyjaciółmi i zatroszczyli się o umieszczenie go w szpitalu psychiatrycznym.

Oto, co pisał Gleb Uspienski do swojej żony:

„Zapewniam cię, moja droga, gorąca miłość do Boga z każdą chwilą ogarnia mnie coraz

bardziej i bardziej. Kocham wszystkich i w tej miłości do wszystkich cierpiących i obciążonych, zmartwychwstaję”.

Co można o tym rzec?

Tylko jedno: aby więcej takich „wariatów” było na ziemi.

## Życie jest wędrówką

Dużo wiorst zostało przebytych, dużo miast i krajów zwiedzonych, i wszędzie jest to samo: wszystko obce, nie ma nic naszego, ojczystego.

Taka jest dola emigranta.

Życie jest wędrówką, lecz nie w wygodnym samochodzie, po szerokich, gładkich drogach, przy których na parkingach jest wszystko ku naszemu zaspokojeniu: rozrywki i zakąska.

Życie jest pokonywaniem wąskiej, ciernistej drogi, niekiedy zmieniającej się w dróżkę, podobną do tej, po której chodziliśmy w rodzinnych stronach. Bywało, że idziesz po leśnej drodze, wdychasz całą piersią żywiczny aromat sosny, słuchasz szczebiotu ptaszków, brzęczenia pszczoł, idziesz i nie zauważasz, jak jasna koleina drogi robi się coraz mniej widoczna. I oto już nie droga, ale dróżka.

Aby nie zbłądzić w lesie, w prześwitach drzew szukałem słońca. Ono nigdy nie zmienia swojego położenia. Jest ono zawsze tam, gdzie powinno być w odpowiednim czasie.

Czy nie przypomina to nam Wiecznego Słońca Prawdy? Chrystus jest niezachodzącym Światłem dla każdego wędrowca w tym życiu. Patrząc na Niego nie zbłądzisz, jeśli nawet droga nie będzie widoczna.

Na szlakach, drogach, snują się ludzie. A ludzie, jak wiadomo, są różni: i źli, i dobrzy. Trzeba z nimi iść. I jest to dobre, że w wędrowce mamy towarzyszy. „Rozumny towarzysz – połowa drogi” – mówi rosyjskie przysłowie. Jedni idą z nami wiorstę – dwie, inni skręcają w bok po pierwszym spotkaniu. Jedni mogą w ciężkiej chwili podtrzymać, inni – podstawić nogę.

Najlepszą w drodze jest przyjazna rozmowa. „Nie kłóćcie się w drodze!” – rzekł Józef, syn patriarchy Jakuba, swoim braciom. Był czas, że oni nie tylko stali Józefowi na drodze, lecz schwytali go, wrzucili do dołu, a później sprzedali do Egiptu.

Jak Józef, osiągnąwszy chwałę, zemścił się na braciach? On ich napoił i nakarmił, a nawet jeszcze więcej – dał im chleb na drogę.

Przypomniały się mi słowa Chrystusa: „Jeśli tedy łaknie nieprzyjaciel twój, nakarm go”.

Jest to prawdziwe chrześcijaństwo. Wszystko pozostałe jest fałszem.

Zdarza się, że ciasno jest ludziom na drodze. Zdarza się, że stukną w plecy, oglądniesz się i nie zdążysz powiedzieć „przepraszam”, jak usłyszysz okrzyk: „Hej, ty...!”.

Jak się zachować w takich przypadkach? Przypomnijmy radę Chrystusa: „Jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi”.

W drodze zdarzają się złe wydarzenia, gdy oskarżają człowieka o to, co się nawet we śnie mu nie śniło.

Dla całego świata musi być dziwne to, że są na ziemi ludzie, którzy nie patrząc na żadne oskarżenia, niosą światłość Chrystusową w ciemność i głuszę tego świata, nie zbaczając z drogi prawdy.

Ostatnio przeczytałem opowiadanie M. Gorkiego „W wąwozie”. Autor opowiada w nim, jak robotnicy pobili bez przyczyny cichego, skromnego staruszka – cieślę. Odszedł on od rozjuszonych ludzi na bok, obmył z twarzy krew i podszedł do ogniska. – Woda w rzece zimna – wprost lodowata – przemówił staruszek.

Gdy go zapytano: „Boleśnie pobili?” – odpowiedział:

— Nie-e... Po nosie trącił. Jest to czułe miejsce na krew. Pan z nim. Od tego mu nie przybędzie, a dla mnie cierpienie – plus przed Duchem Świętym.

Najczęściej podczas wędrowki biją tych, którzy rozgłaszają prawdę Bożą.

Gdy mówię o tym, że ludzie bawią się życiem, jak dzieci zabawkami, wydzierają, płaczą, jedną się i znowu zabierają jeden drugiemu nic niewarte świadectwo – niektórzy się peszą. Denerwują się. Dlaczego? Dlatego, że rozpoznają w tym siebie.

Dalekie i niepozorne są nasze szlaki i drogi, lecz nie możemy się zatrzymać. Kto nie idzie do przodu, ten nigdy nie osiągnie zamierzonego celu, nie pozna ani prawdziwej radości, ani prawdziwego szczęścia.

Radość i szczęście życia zawierają się w pokonywaniu przeszkód, których w naszej wędrowce, chwała Bogu, jest niemało. Bóg nie usuwa ich z naszej drogi,

lecz tym, którzy chcą je pokonać, daje moc, daje wskazówki.

Wydaje się, że do przejścia pozostało mniej niż już się przeszło.

O naszych wędrówkach i drogach napisano dużo wierszy i poematów.

Niech i mój skromny wiersz dopełni ten temat.

Ech, wędrówki, szlaki, drogi,  
Na drogach gęsty kurz,  
Uchodziły się, błędząc, nogi,  
Czterdzieści tysięcy lub więcej mil.  
Nie jeden byłem włóczęga  
Po ziemi, co karmiła nas,  
A w upał z żołnierskiej manierki  
Piliśmy brzoźowy sok.  
A teraz, gdy cudowna pochodnia  
Zajaśniała na mojej drodze,  
O Jezusie śpiewam, i nie ciężko  
I radośnie za Nim iść.

## Więcej niż przyjaciel

Nie pamiętam już, gdzie czytałem opowiadanie o pewnym szlachetnym człowieku. Spotykano go często na cmentarzu w pewnym amerykańskim mieście. Troskliwie krzątał się nad czyjąś mogiłą, sadził kwiaty, obkopywał, podlewał...

Mieszkańcy miasteczka zainteresowali się nieznajomym i zapytali go:

— Zapewne, jest to grób pańskiego syna?

— Nie – odpowiedział nieznajomy.

— To zapewne, pana brata?

— Nie, nie brata...

— Zapewne pochowany jest tu pana dobry przyjaciel?

— Nie, więcej, jak przyjaciel... Opowiem wam – zaczął spokojnie nieznajomy – kto tu jest pogrzebany. Było to dawno. Gdy zaczęła się wojna, powołali mnie do wojska. Z powodu biedy nie mogłem nikogo wynająć na moje miejsce i już zbierałem się iść na front. W tym czasie przyszedł do mnie młody człowiek i rzekł: „Ma pan dużą rodzinę, małe dzieci, żona z nimi nie da rady. Ja jestem samotny. Nie mam o kogo się troszczyć. Ja pójdę za pana...”.

I poszedł on za mnie. W jednym boju został ciężko ranny, leżał w szpitalu i umarł od ran. I tu go pochowano. Jest to jego grób. Od tego dnia pragnąłem odwiedzić to miejsce. Nazbierałem pieniędzy i przyjechałem tu. Wystawię tu napis: „On umarł za mnie...”.

Gdy przypominałem to opowiadanie, od razu przypomniały się mi słowa z 2Kor.5:15. Na- pisał je apostoł Paweł: „A umarł (Chrystus) za wszystkich, aby ci, którzy żyją, już nie dla siebie samych żyli, lecz dla tego, który za nich umarł i został wzbudzony”.

Czy to nie jest głupotą? – mogą pomyśleć niektórzy.

To i tylko to jest prawdziwym chrześcijaństwem.

## Król nieba

Dużo się pisze i mówi o słońcu jako o radości ziemi, jako źródle życia. Jakich porównań nie czynią pisarze opisując słońce! Pewien radziecki pisarz zmadrzył się i napisał tak:

„Słońce błyszczycy, jak fizjonomia zaopatrzeniowca”. Lub inny: „Słońce błyszczycy, jak wyczyszczona, miedziana miednica”. A mi dzisiaj chce się nazwać słońce królem nieba. Ono rozsiada się na niebie spokojnie i majestatycznie, jak koronowany król na tronie.

Jest czerwiec, słońce zalewa wszystkie zakątki. Dzisiejszy dzień jest cichy, niebo spokojne, jakby się przysłuchiwało odgłosom ziemi, horyzont niknie w delikatnej mgłę. I jakże w takim dniu, spoglądając na szczodre słońce, się radując z nim, nie wspomnieć Tego, kto je stworzył?!

Podczas przerwy obiadowej wyszedłem z fabrycznego budynku na podwórkę, siadłem na ławce pod drzewem, które ledwo zaczęło się zielenić. Obok w milczeniu siedziało, pałac, paru robotników. Oni też rozkoszowali się słońcem.

Mój nastrój psuło radio. W powietrzu rozpływały się rozdzierające duszę dźwięki jazzu. Niosły się od drogi, gdzie znajdował się duży sklep spożywczy.

Wydało się mi, że przez 15 lat już dużo zrozumiałem w Ameryce z tego, co było dla mnie niezrozumiałe. Lecz do tej pory jednego nie mogę zrozumieć: jak można nazywać te dzikie dźwięki muzyką? Kto je nagrywa na płyty? Kto je puszcza w radio?

Mówią, że muzyka ma niebiańskie pochodzenie. Nie, za nic się nie zgodzę, że te dźwięki, przypominające wycie oszalałych kotów, mają coś wspólnego z pięknem nieba, na którym dzisiaj zasiada słońce, jak koronowany król na tronie.

## Ku dobremu

Proszę pomyśleć o tym, jaka mądrość jest skryta w słowach proroka Jeremiasza: „Wiem, Panie, że droga człowieka nie od niego zależy i że nikt, gdy idzie sam, nie kieruje swoim krokiem” (10:23).

W życiu często bywa tak: robisz plany, myślisz o przyszłości, postanawiasz, a później wszystko pęka, jak bańka mydlana.

Ma rację przystowie: „Nie żyjesz, jak się chce, a jak Bóg nakaże”.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej, ja, jak też inni, którzy nie chcieli wracać do ojczyzny, chciałem szybko gdzieś wyjechać z Europy. Zapisalem się na wyjazd do Brazylii, przeszedłem wszystkie komisje, konsul podpisał dokumenty, lecz trzy dni przed odjazdem transportu stało się nieszczęście: w nocy zachorowałem. Niedaleko od mojego mieszkania mieszkał w bogatej willi znany w Monachium chirurg Bachman.

Ból żołądka wyprowadzał mnie z równowagi, a żona nie miała wyboru, jak iść po lekarza.

Doktor Bachman przyszedł za parę minut. Jaka szlachetność i bezinteresowność!

— Wyrostek robaczkowy – rzekł doktor po oględzinach. – A tak i potrzebna

jest operacja.

— Operacja? Ale ja muszę jechać do Brazylii. Załatwiony transport...

— Pańska sprawa – zauważył doktor. – Ja mówię to, co jest: jeśli atak się potworzy na statku – ryzykuje pan życiem.

Musiałem przyjąć radę doktora. Za pół godziny byłem już w szpitalu. O 8 godzinie rano byłem już po operacji. Marzenie o przeprowadzce do Brazylii nie urzeczywistniło się. Za rok znalazłem się w USA.

Bóg w Swoim planie przewidział wyprawienie mnie do Kalifornii, pracę w fabryce, której fundamenty dopiero wtedy zalewano.

Tak bywa w życiu! Wydawać by się mogło – choroba jest nieszczęściem, lecz się okazuje, że i to współdziała ku dobremu, jeżeli wszystko przyjmujemy, jak z ręki Bożej.

## Co jest lepsze?

Jeszcze do niedawna nie wiedziałem, że wśród starej rosyjskiej emigracji jest dużo ateistów. To bardzo mnie zdziwiło. Ja miałem inaczej: wśród nowej, powojennej emigracji, powinno być więcej ateistów. Przecież my wszyscy rośliśmy i wychowaliśmy się w okolicznościach niewiary, odrzucenia, a nawet walki przeciwko Bogu.

Niedawno spotkałem człowieka, który 42 lata przeżył w Ameryce i przez ten czas nauczył się jednego – odrzucać Boga. Teraz już on nie chodzi, a można rzec, że pełza. I czym cięższe i nieznośniejsze staje się jego życie, tym zacieklej walczy przeciwko Bogu.

— Choroba mnie zgięła... Artretyzm... – mówił zachrypłym głosem. – Pomódl się za mnie, może nasza Bozia wyprostuje mnie... Che- che...

Staruszek się śmiał złośliwie, przymrużywszy jedno oko. Drugim spoglądał na mnie i oczekiwał, co odpowiem.

Długo wysłuchiwałem dowodów staruszka o tym, dlaczego on nie wierzy w Boga. Wszystkie sprowadzały się do jednego: „Bóg nie obronił swojego pomażanca Mikołaja Drugiego. I to znaczy, że Boga w ogóle nie ma”.

Szkoda mi było staruszka. Częste bóle wyprowadzały go z równowagi, słuchał mnie nie- chętnie. Przed moim wyjściem poczuł się lepiej.

Zapytał:

— Co jest lepsze: nie wierzyć w Boga i żyć uczciwie, czy mówić: „Ja wierzę w Boga”, a żyć tak, jak gdyby Boga w ogóle nie było? Przecież tak żyją wszyscy nasi „kościelni”!

— Według mnie, chociaż pierwsze wygląda lepiej od drugiego, to w rzeczywistości jedno i drugie jest złe – odpowiedziałem.

Odchrząknął, pokręcił głową i nic więcej nie powiedział.

Życie z czystym sumieniem i uczciwie, w pełnym znaczeniu tego słowa, bez wiary w Boga jest niemożliwe. Wielu próbowało tak żyć, ale nie udało się. Człowiek tylko oszukuje sam siebie myśląc, że i bez Boga może być dobrym człowiekiem.

## Twarz jest zwierciadłem duszy

Sąsiad wyszedł na ganek i gładząc brzuch po obiedzie, dobrotliwie się uśmiechał do słońca. Styczniowe słońce nie jest za bardzo gorące, lecz uśmiechnięte i ludzie zawsze cieszą się nim.

— Dzień dobry! – rzekłem do sąsiada i pomachałem mu ręką.

Sąsiad nic nie odpowiedział, chociaż wydawało mi się, że spoglądał w moją stronę.

„Z jakiegoś powodu gniewa się na mnie” – przemknęło mi po głowie.

Gołe drzewa, jak szkielety, stały wzdłuż szerokiej ulicy, gdzie niegdzie zieleniła się trawa.

A gdy minutę później wyjeżdżałem samochodem, sąsiad już się bawił na ganeku ze swoją wnuczką. Zauważywszy mnie, pierwszy krzyknął:

— Dzień dobry sąsiedzie! Jak panu się podoba pogoda?

— Cudowna! Czuć wiosną...

Sąsiad podszedł do mnie, podał rękę. Na jego piegowatej, pełnej twarzy widniał uśmiech. Był on niezwykle przyjemny, zaprosił mnie, abym zaszedł do niego i interesująco opowiadał o swoim wyjeździe do Kanady. Jego serce się cieszyło.

Gdy w końcu odjechałem, przyszła mi myśl:

Nie można czynić wniosków z domysłów. Jeżeli mój znajomy nie odpowiedział mi na pozdrowienie, myśl tak: nie zauważył mnie. Tak będzie lepiej, nawet jeśli to nieprawda.

— Mówi się, że dużo ludzi uśmiecha się obłudnie. Chwała Bogu i za to! Bez tego życie byłoby jeszcze bardziej ponure.

Wczoraj mój szef był nie w humorze, rozmawiał ze mną oschle, jakbym nie oddał mu długu. Do obiadu pracowałem i myślałem, co to może znaczyć? Gdzie zrobiłem błąd? A podczas obiadu wszystko się wyjaśniło. Kolega z pracy oświadczył:

— Wiesz, od naszego szefa odeszła żona...

— Dlaczego?

— Nie dawał jej pieniędzy na manikiur...

I wtedy zrozumiałem, dlaczego szef miał posępną twarz.

Ktoś mądrze powiedział: „Twarz jest zwierciadłem duszy”.

## Sen i rzeczywistość

Warczą, szumią silniki za ścianami fabryki, migocą światła lampek. Jest ich tysiące. Drżą żelbetonowe słupy, brzęk i pisk metalu wypełnia każdy zakątek ogromnego budynku. Ludzie, w lekkim, mokrym od potu, białym ubraniu, miotają się, stukają, mieszają w kotłach gotujące się zupy. I tak przez pięć dni w tygodniu, dwieście pięćdziesiąt dni w roku. Ta- kich lat miałem 22.

Wczoraj miałem sen. Znowu jestem w fabryce. Z łatwością i szybko wchodzę na wysoką drabinę, wymieniam przepaloną żarówkę, a w tym czasie czyjaś ręka dziarsko kołysze drabiną i wytrąca ją spod moich nóg. Z przerażeniem spadam, ale uświadamiam sobie, że lecę nie w dół, ale do góry i jakbym zawisł w powietrzu.

Przebudziwszy się, długo przysłuchiwałem się, jak gorączkowo biło w piersi moje serce i już do rana nie mogłem zasnąć.

Coś podobnego zdarza się i w życiu. Chcesz coś uczynić, a czyjaś ręka uparczywie stawia przeszkody i zwala z nóg. Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że ta ręka może się okazać ręką przyjaciela.

Zamiast tego, żeby się cieszyć, gdy głoszona jest prawda Chrystusowa, niektórzy ludzie wychodzą z siebie, starając się oczernić święte, dobra poczynania, a co gorsze – grożą.

Okropnością jest sprzedawanie duszy za pieniądze, służenie temu, kto płaci; występnie stać z boku, gdy panoszy się pożar, lecz jeszcze gorzej jest iść na rękę tym, którzy odbierają kęs chleba swojemu głodnemu bratu.

Czy zrozumieją to ci, o których i dla których to piszę?

## **Miłość jest wszystkim**

Była około piąta godzina po południu. Długie sznury samochodów płynęły ulicami wolno, jak na cmentarzu. W powietrzu wisiał dym spalin. Ludzie wracali z pracy zmęczeni i zdenerwowani. W tych godzinach miasto podobne jest do mrowiska, w które ktoś wrzucił kamień.

W autobusie, przepelnionym pasażerami, stała starsza kobieta. Oglądając się, szukała oczami miejsca, lecz wszystkie były zajęte. Obok stali i rozmawiali studenci. Dwaj młodzieńcy siedzieli przy samym wejściu. Jeden z nich wstał i ustąpił miejsca kobiecie. Gdy wyszli oni z autobusu, jego kolega zaczął.

— Ja teraz nie ustępuję miejsca kobietom. A wiesz dlaczego? Kobiety teraz ubierają się, jak mężczyźni; strzygą się, jak mężczyźni; palą, jak mężczyźni; piją, jak mężczyźni, nawet więcej: klną, jak mężczyźni... Niech i w autobusie stoją, jak mężczyźni!

Chytra wymówka! Ale ile w niej gorzkiej prawdy!

Mam znajomego. Gdy go ktoś o coś zapyta, odpowiada tak ostro, jakby trącał nożem żebro. Kiedy zapytałem go:

— Dlaczego tak grubiańsko odpowiadasz ludziom?

— A co, muszę do każdego się uśmiechać? Ja znam ludzi: oni wszyscy są oszustami i egoistami. Lubią jedno wydarzenie w życiu: gdy umierają...

Niebezpieczna teoria... Prawdą jest, że egoizm – jak abażur, ukrywa przed zewnętrznym światem to, co jest najlepsze w człowieku – promień miłości. Bez tych promieni na ziemi jest, jak w piwnicy: mokro, chłodno i ciemno. „Niech mnie nie kochają, ale ja będę kochał” – tak powinien powiedzieć każdy.

Ibsen, norweski pisarz i dramaturg, miał zajadliwego i złego krytyka. Nie dawał on mu spokoju. Pewnego razu spotkał on pisarza na ulicy i wypinając pierś, szedł ku niemu ze słowami:

— Psom nie ustępuję drogi!

— A ja ustępuję – rzekł pisarz i spokojnie odszedł na bok.

Przykład godny naśladowania.

Ludzka miłość jest, jak rtęć w barometrze – to wzrasta, to znowu opada, w zależności od pogody. Lecz jest inne źródło miłości – Chrystus. Nasze nieszczęście

polega na tym, że mało Go znamy. Nasze życie byłoby bardziej radosne i szczęśliwsze, gdybyśmy bardziej kochali i chętniej ustępowali innym.

## Zacheusz

Wczoraj i dziś moja młodsza córka Natasza opowiada mi historię, którą usłyszała w szkółce niedzielnej:

— Chrystus powiedział: „Zacheuszu, zejdz na dół!”.

— Gdzie był Zacheusz? – pytam się.

— Na drzewie, wysoko-wysoko... Zacheusz był malutki-malutki, o taki malutki – pokazuje ręką. – Zacheusz chciał widzieć Jezusa...

— Dlaczego chciał on widzieć Jezusa?

— Jezus jest dobry. On wszystkich kocha. I ja chcę widzieć Jezusa – odpowiada córka i marzycielsko spogląda w bok.

Zrozumiałam, że to małe ewangeliczne opowiadanie poruszyło serce córeczki, zachwyciło ją, ona nie zapomina o nim, coś myśli, coś wyobraża.

Trudno jest jej zrozumieć, że nie musimy dziś włączyć na drzewo, aby ujrzeć Jezusa Chrystusa, lecz po prostu trzeba otworzyć oczy serca, a ujrzemy Go w całym Jego Bożym pięknie. I więcej: usłyszymy Jego dobrotliwy głos: „Dziś upodobało się mi wieczerzać u ciebie...”.

## Trochę filozofii

W Ameryce wszystkiego jest dużo, lecz nie ma jednego – jasnego zrozumienia, jak śmiertelnie niebezpieczna jest władza dolara. Dolar może wynieść człowieka na wyżyny i ten sam dolar może szybko zgubić człowieka.

W miejsce walki o istnienie, człowiek zajął się walką, która ma go wzbogacać. Ta chytra, ukryta walka, zatwardza ludzi, odciąga ich od duchowych wartości.

Materializm pochłania człowieka pożądliwie i nienasycenie. Niekiedy zapytuję siebie: co jest bardziej niebezpieczne – suchy, bezduszny materializm z formalnym uznaniem istnienia Boga, czy fałszywa idea zbudowania rajy na ziemi bez wiary w Boga, bez wiecznych wartości?

Odpowiadam: „Chrzan od rzepy nie lepszy”. Pierwsze i drugie prowadzi człowieka w prze- paść, z której wyleźć bez pomocy „z góry” nie można.

Niedawno przeczytałem wiersz. Nie wiem, kto jest jego autorem. Napisany został z talentem i od razu zapadł w pamięci jako ostrzeżenie, jako czerwone światło, mówiące o niebezpieczeństwie. Oto ten wiersz:

Stałem się zupełnie nieczłowiekiem!  
Grząską drogę rozświeca mi tylko czek.  
Twarz – uśmiech,  
Zdobyty rejtach  
Losem wytyczony:  
Domy, działki i domy,  
I rak na wątrobie.

Wszystko w dniu ostatnim wygrzebię  
Starymi rękami.  
Poduszkę wąską w trumnie  
Wypcham dolarami.

Prezydent USA wydał wojnę biedzie. Wielka, szlachetna wojna! Wojna bez bomb i pocisków. Daj biednemu pracę, a będzie on w Ameryce syty i ubrany, będzie zabezpieczony, Jeżeli tylko nie będzie zaglądał do kieliszka! Jedno wiem dobrze: W Ameryce każdy może dobra żyć, jeśli kocha pracę i z troską odnosi się do zapracowanego dolara.

## **Potrzebna jest świeca**

Wczoraj, podczas silnego wiatru, w domu nagle zgasło światło. Okazało się, że nie ma go

ani na ulicy, ani w sąsiednich domach. Ziemia pograżyła się w ciemności i nawet na niebie nie było widać ani jednej gwiazdki.

— Potrzebna jest świeca! – rzekła żona. Lecz nie było u nas nie tylko świece, ale nawet zapalek.

— Tato, gdzie jest nasz „flashwhite”? – zapytał syn.

— Latarka – poprawiłem syna.

Latarki też nie było.

W milczeniu przytuliły się do mnie wystraszone dzieci. Rozpląkał się najmłodszy synek, ale gdy tylko jego ręka spotkała się z moją – uspokoił się.

Pojechałem do sklepu. Handlowano w nim przy świecach. Przy kasie stała kolejka. Każdy trzymał w ręku opakowanie świec.

— Nie ma więcej świec! – oświadczył sklepowy.

Amerikanin, stojący w kolejce, odstąpił mi dwie świece i odmówił zapłaty.

Gdy zapaliłem w domu świecę, wszyscy z ulgą westchnęli, dzieci przemówiły. Zapaliłem jeszcze jedną świecę – światło zrobiło się jaśniejsze. Postawiłem świecę wyżej, na półce z książkami. W pokoju zrobiło się zupełnie inaczej.

— Tato, musimy mieć zawsze świece w domu – rzekł syn.

Po dwóch godzinach znowu było światło elektryczne.

W ten wieczór, przed snem, czytaliśmy podobieństwo o dziesięciu pannach, które mówił Chrystus. U głupich panien lampy okazały się bez oliwy.

Trzeba częściej sprawdzać swoją lampę, aby nie być zaskoczonym zniecenka.

## **Czyn wiary**

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i od razu rozpoznałem miękki, przeciągły głos Marii Wasiliewny Siłodi. Dzwoniła ze stanu Connecticut:

— No, jak tam u was? Jakie wiadomości?

— Jak wszędzie: są dobre, są i złe – odpowiedziałem.

Trzaszczyła się ona o samotnych, przez wszystkich zapomnianych staruszków:

— Jak oni u was żyją? Kto im pomaga...?

Później myślałem: cudownych rzeczy dokonuje Bóg przez wybranych sług Swoich. Wybrał On kobietę, „kruche naczynie”, do takiej sprawy, którą może wykonywać nie każdy mężczyzna. Ona organizowała i mobilizowała budowę domu dla starców, kosztującego 135 tys. dolarów.

— Jak to może się urzeczywistnić? – zapytywali wątpiący.

— Przez wiarę, bracie, przez wiarę – odpowiadała Maria Wasiliewna.

— No tak, ale prócz wiary potrzebne są przecież pieniądze, a ich nie ma – mówili inni.

— Prawda, pieniądze są potrzebne, ale Bóg też to wie – odpowiadała.

I oto dziś Maria Wasiliewna jest w moim domu. Spoglądam na fotografię dużego i pięknego budynku dla starszków i myślę:

— Jeszcze jest żywa wiara chrześcijańska, żywi chrześcijanie.

Maria Wasiliewna odpowiada:

— Wybudować dom – to dopiero połowa sprawy, a jak go prowadzić? Ile trzeba łaski, mądrości, taktycznych podchodów, aby służyć ludziom w podeszłym wieku, często kapryśnym, jak dzieci, każdego zadowolić, każdego pocieszyć...

Tym zadaniem ponad siły para się kobieta, która się wyrzekła siebie samej, własnego życia, ogniska rodzinnego, aby służyć Chrystusowi i bliźnim.

Zbliża się północ. Za oknem, za którym groźnie ciemnieją zarośla dzikiego bzu, mgła czepia się dachów. Dzieci dawno już usnęły, a Maria Wasiliewna opowiada o cudownych dziełach Bożych, o minionych latach:

— Przyjechałam z Europy. Ojciec przywitał mnie z radością, a później, gładząc moją głowę, nagle rozplakał się...

— Co z tobą, ojciec? – zapytałam.

— Moja ty, droga córko, twoja głowa siwa...! Spójrz w lustro... Jutro, córko moja, jutro...

— No cóż – kontynuowała Maria Wasiliewna, uśmiechając się – to nic. Starości się nie boję. Pamiętam, jak moja mama mówiła: „Gdybym wiedziała, że dziś podczas snu przyjdzie Pan i zabierze mnie, wtedy wcześniej poszłabym spać”. Tak właśnie myślę...

I w samej rzeczy: jak dobrze byłoby zasnąć i się przebudzić w niebieskim kraju, w którym nie ma starości, nie ma chorób, nie ma wojen, w którym wszyscy są braćmi, przyjaciółmi, wszyscy są dziećmi Bożymi.

Wierzę, że ten czas przyjdzie i być może bardzo szybko.

## **Kto jest szczęśliwy?**

Chorzy często mówią, że są najbardziej nieszczęśliwymi na ziemi. Czy tak właśnie jest? Pewną chorą starszką zapytano:

— Czym to wytłumaczyć, że pani jest zawsze pogodna i spojrzenie pani jest radosne?

Chora odpowiedziała:

— Mam doskonały fotel i gdy się zmęczę, wtedy siadam w nim i spokojnie odpoczywam.

— A gdzie ten fotel? – zapytano ją.

Chora wzięła Ewangelię i wskazała na werset: „A wiemy, że Bóg współdziała we wszystkim ku dobremu z tymi, którzy Boga miłują, to jest z tymi, którzy według postanowienia jego są powołani” (Rz. 8:28).

Można być zdrowym i czuć się nieszczęśliwym. Można być chorym – i szczęśliwym. Wszystko zależy od stanu naszego ducha.

Przypomniałem sobie bohatera Gorkiego – Matwieja Kożemiakina, właściciela wytwórni lin. Wszystkiego miał pod dostatkiem, lecz jakże był nieszczęśliwy, jak męczyła się jego dusza z powodu świadomości bezcelowości życia!

— Nudnie żyje się na ziemi. Ech, nudno... – powtarzał wielokrotnie. A jego przyjaciel Sawwa, wtórował mu w unisonie:

„Wszystko wokół nudzi, na wskroś! Cokolwiek byś nie robił: końmi galopował, polowania, karty, walki kogutów – nie pomaga! Za pieniędzmi gonią, a wszystko nie cieszy serca, nie zachwyca, nie!”.

Charakterystyka naszych czasów jest inna. Ludzie inaczej spędzają czas, ale i obecnie jest nudno na ziemi, jak w szpitalu. Życie bez wiecznych, nieprzemijających celów, nie przynosi ludziom radości. Chwile ziemskiej radości mijają szybko, a i kosztują one bardzo drogo. Jakże mylą się ci, którzy myślą, że znajdą szczęście w bogactwie i w tym celu czepiają się bogactwa, jak kleszcz za grzywę.

Można tu przypomnieć opowiadanie E. Morehama „Kalosze szczęścia”. Jest w nim mowa o wiecznym temacie, jakim jest szczęście. Ktoś twierdził, że gdy ktoś znajdzie szczęśliwego człowieka i założy jego kalosze, ten będzie też szczęśliwym. I oto rozpoczynają się poszukiwania szczęśliwca. Szukają go wśród sławnych, bogatych, utalentowanych ludzi, szukają – i nie znajdują. W końcu zaczęto szukać szczęśliwca wśród prostych, nieznaczących, zwykłych ludzi i wśród nich był szczęśliwy człowiek, ale nie miał on kaloszy!

Zrozumiałem, że my możemy być szczęśliwymi w tej mierze, w jakiej jesteśmy czyści przed Bogiem. Tajemnica szczęśliwego życia tkwi w oddaleniu tych przyczyn, które czynią człowieka nieszczęśliwym.

Bóg posyła nam z góry deszcz niebiańskiej łaski, aby uczynić nas szczęśliwymi, lecz na naszą zakurzoną drogę spadają tylko krople. Dlaczego? Dlatego, gdyż ludzie chodzą jakby pod parasolem, bojąc się niebiańskiego deszczu, obchodzą go, chowając się pod dachem. I dlatego pozostają suchymi.

Ulice w Ameryce zapełnione są samochodami różnych marek. Wokół pałą się neony reklam, świadkowie obfitości. Życie w Ameryce jest lekkie, ale nieść je jest ciężko. I też nudno się żyje, jak w miasteczku Okurowie pod koniec ubiegłego stulecia. Sprawdzają się słowa A. Blocka:

„Dwudziesty wiek jeszcze bardziej bezpański,  
Jeszcze straszniejsza życia mgła,  
Jeszcze okropniejszy i większy  
Cień lucyferowego skrzydła”.

„Cień lucyferowego skrzydła” przykrywa całą ziemię, i czyni to, że całe nasze życie znajduje się w mroku.

Czy jest wyjście z tego mrocznego kręgu?

Oczywiście, jest. Znajduje się ono tam, gdzie pali się światło żywej Ewangelii, tam, gdzie żyje Miłość.

## O tym, czego się nie zapomina

Jest wioska, wciśnięta w las przez zimowe wiatry i zawieje. W niej jest dwadzieścia chałup, powiązanych przęsłami i klamrami. Nad każdą chatą, nad raniem, unosi się z komina niebieskawy dym.

Na podwórku mróz, ludzie palą w piecach nie żałując drewna. A drewno prawie obok: dębowe, brzoźowe, sosnowe. Do lasu, jak ręką sięgnąć.

Droga udeptana i ujeżdżona saniami. Gdzie niegdzie ciemnieją kulki zamarzonego końskiego obornika, na zaroślach zatrzymały się kępki siana.

Każdego dnia tą drogą przejeżdżają ludzie do miasta z sąsiednich wiosek. Wcześniej rano, obwinąwszy się baszłykiem, idę do szkoły za rzekę.

Sześć wiorst ciągnie się droga przez zaśnieżone pola, a nie udaje się z nikim podjechać. Ludzie jadą do miasta w odwrotnym kierunku i muszę im ustępować drogi, usuwając się do rowu, a wieczorem, gdy idę ze szkoły, to samo się powtarza: spotykam ludzi, powracających z miasta i znowu ustępuję im miejsca.

Jeżeli okno naszej chaty nie jest oblodzone, wtedy widzę w nim twarz matki. To ona spogląda na drogą, oczekując mnie ze szkoły.

— A ja już stęskniłam się za tobą, synku... Myślę, co się z tobą stało – nie ma cię i nie ma. Dni są krótkie, ciemno... Zmęczyłeś się?

Matka rozcierała moje policzki, uszy, a ja z niezadowoleniem cedziłem słowa:

— Głupstwo! Zupełnie nie jest zimno.

Wieczorem, po zjedzeniu jakiejś „mieszanki”, siadałem w pobliżu lampy, zabierając się za lekcje. Niekiedy odczuwałem, że za plecami stoi matka i patrzy, jak kreślę cyrklem i kątomierzem skomplikowane figury geometryczne.

Gdy odwracałem głowę, matka mówiła:

— Trudna to sprawa, nauka, ale potrzebna. Bez męki nie ma i nauki. Wyjdiesz na ludzi, a mnie i radość będzie...

Moja matka była zupełnie niewykształcona, ale lubiła słuchać, gdy głośno czytałem opowiadania. Uważała je za rzeczywistość, nawet fantastyczne opowiadania Gogola z „Wieczorów w chutorze w pobliżu Dikanki”. Gdy czytałem o zakłęciach ouija, matka z lękiem spoglądała w kąt, w którym w pozłacanych ramach mieniły się twarze świętych.

Na środku izby stał u nas żelazny piec. Rozgrzewał się on do czerwoności, a wtedy, leniwie ziewając, niechętnie odchodził od niego duży, stary kot, którego z jakiegoś powodu nazywano „Mormonem”.

Podobały mi się szczególnie opowiadania Mamina-Sybiraka i M. Gorkiego. Pożyczałem je do czytania od sąsiada Łotysza, który przewodniczył na naszym terenie kolektywizacji i umarł na suchoty.

Chętnie dawał mi książki nauczyciel języka rosyjskiego i literatury, Diemianowski. Dowiedziawszy się, że pisuję wiersze, mówił do mnie:

— Jest to głupie zajęcie. I tak z ciebie nie będzie Puszkina, a jeżeli poważnie zajmiesz się prozą, to może coś z tego wyjdzie.

Niekiedy w nocy miałem koszmarnie sny, krzyczałem i przestraszałem matkę. Wtedy z wyrzutem kiwała głową, połała mnie wodą i mówiła nad uchem:

— I po co takie książki drukują?

## Najlepszy przyjaciel

5 grudnia 1935 roku zmarła moja matka z wyczerpania.

Miała 53 lata.

Matka – spośród wszystkich żyjących na ziemi, jest najlepszym przyjacielem. Przyjacielem jest ten, kto przebacza, a najwięcej przebacza matka swojemu dziecku.

Pamiętam upalne lipcowe dni, gdy matka przynosiła mi obiad, jak pasłem krowy kołchozowe: ciepłą kartoflankę przyprawioną cebulą i kromkę smaczkowicie pachnącego chleba. Wtedy nie mieliśmy krowy. Lecz matka niekiedy dostawała od sąsiadki mleko i przynosiła mi w butelce, zamkniętej białą szmatką. Z zainteresowaniem patrzyła, jak z apetytem zjadałem obiad, opowiadała wioskowe wiadomości, pocieszała:

— Pocierp, synku, do września, a później, widzisz, dostaniemy coś na premię...

— Mamo, czy coś dziś jadłaś? – pytałem się matki.

— Jadłam, synku, jadłam... Nie myśl o mnie. Jestem już stara, a starzy nie mogą dużo jeść. Starzy ludzie nie rosną, do ziemi się gną... – mówiła matka, wycierając oczy fartuchem.

Dziś przypomniałem wydarzenie. Kiedyś, latem, przechodził łysy, chudy starszek, mocno kulejąc. Opierał się na sękatej lasce. Zauważyłem, że za każdym razem, gdy starszek stawiał nogę, na jego cierpiącej, bezbarwnej twarzy odciskał się ból, ciemne oczy stawały się smutne, opadały gęste brwi.

Ktoś dał mu jałmużnę. On się przeżegnał i rzekł suchym głosem:

— Niech zachowa was Chrystus.

— Dokąd idziecie, dziadku? – zapytano starszka.

— Na Szelomy, na Szelomy...

Wiedziałem, że do tej wsi jest 8 kilometrów i nie mogłem sobie wyobrazić, ile czasu potrzebuje starszek, żeby dojść do tej wsi?

Przybiegłem do domu, rzuciłem się do nóg matki:

— Mamo, szybko zaprzęgaj gniadego!

— Po co? – zdziwiła się matka.

— Trzeba podwieźć kulawego starszka! On jest chory, do Szelomów idzie...

— Daj mi synku spokój. Widzisz, ile pracy w ogrodzie!

Rozplakałem się, a matka ustąpiła.

— No, wyprowadź konia, będziemy zaprzęgać...

Dogoniliśmy starszka za wsią. Nie mógł uwierzyć, że przyjechaliśmy w tym celu, żeby go podwieźć. Gdy starszek się dowiedział, że ja uprosiłem matkę, aby jechać do Szelomy, wtedy rzekł:

— Dzieci zawsze mają dobre serce. Dlatego też i powiedział Chrystus, że do dzieci należy Królestwo Niebieskie. Tam, w Bożej rodzinie, będzie więcej dzieci niż nas, dorosłych.

Rozstając się, starszek położył na mojej głowie suchą, zimną dłoń i powiedział:

— No, cóż, Nikolka, pomodłę się do Pana o ciebie. Będzie to moja zapłata za twoją miłość do starszka. Być może i sam będziesz starcem, a Bóg policzy

tobie to.

W powrotnej drodze w nasze oczy padały promienie zachodzącego słońca. Zachwyciałem się pięknem brzoźowych zagajników i rzadkimi obłokami, rozrzuconymi po niebie, jak koronki. Gniady chętnie biegł do domu, migały rzadkie drzewa. A gdy wjechaliśmy w gęsty las, pełen zapachów mchów, matka nagle zaśpiewała:

Oj ty gołąbko białoskrzydła,  
Dlaczego się frasujesz?  
Czy mało ci swobody dano,  
Czy gołąbek twój boleśnie raniony?

Głos matki drżał, jak struna, oczy spoglądały w dal. Moja głowa spoczęła na jej kolanach i ukradkiem zaglądałem w jej twarz, pół otwarte usta, z których wydobywał strumień srebrnego dźwięku.

Od tej pory minęło – pomyśleć tylko – czterdzieści pięć lat! Zamknę oczy, a w moich uszach zaczyna rozbrzmiewać ta matczyna pieśń.

## Oratorium Haendla

Ileż to razy znajdowałem duchowe wzmocnienie, słuchając niedoścignionego dzieła muzycznego Haendla „Mesjasz”, nagranych na płycie.

Wstrząsające w swojej duchowej sile dzieło, zostało stworzone przez kompozytora w ciężkiej sytuacji. Gdy jego zdrowie ostatecznie podupadło, gdy prawa strona jego ciała została sparaliżowana, gdy nie było środków do życia, wtedy kompozytor znalazł czas, aby oddać się rozmyśleniom o sensie życia. Całe jego jestestwo wypełniło się jednym pragnieniem – uwielbić Boga. I uwielbił. W osamotnieniu i odłączeniu od świata, stworzył on nieumierające dzieło sztuki.

Już przez dwa stulecia to dzieło jest wykonywane przed Wielkanocą i na Boże Narodzenie. Przez dwa stulecia wierzący znajdują w nim balsam dla duszy.

Cierpienia, które spotkały Haendla, obróciły się w wielkie błogosławieństwo dla ludzi wszystkich pokoleń.

Tak jest z każdym człowiekiem, lecz nie każdy szuka, podobnie jak Haendel, pocieszenia w Bogu.

To, co wielkie, rodzi się w mękach. Lecz, jakże po tym można obrażać się na Stwórcę, gdy dosięgają nas te lub inne przeżycia.

John Bunyan znalazł się w więzieniu za swoje przekonania. Bez tego nigdy nie napisałby swojego klasycznego dzieła „Wędrówka pielgrzyma”. Wysoko ocenił to dzieło A. Puszkina.

Każdy człowiek stara się uczynić swoją drogę życia równą, lecz to nikomu nie udaje się: dużo gór i dolin znajduje się na drodze każdego. I wszystkie je trzeba pokonać.

Szczęśliwy jest ten, kto w tej wędrówce widzi przed sobą Stwórcę.

## Trwały fundament

Dzisiaj spotkałem znajomego, który zawsze przy spotkaniu rozpoczyna rozmowę słowami: „Jak żyjemy, możemy? Bogactwo pomnażamy?”. Był on szczególnie rozmowny. Opowiadał o pierwszych swoich latach życia w Ameryce i słuchałem go z uwagą. Pamięć ma zdumiewającą. Pamięta nazwiska wszystkich „wieśniaków”, sprzedających, którzy oszukali go przy kupnie domów czterdzieści lat temu.

— O, teraz mógłbym brać się za sprawę! Doświadczenie jest, a siły nie ma...

Przysunął się do mnie bliżej i z dużym zapalem pouczał, co trzeba wiedzieć, kupując dom:

— Najważniejsze, bracie-swacie, patrz na fundament. Sprawdź go dobrze. Jeżeli fundament jest zły, beznadziejny, ma pęknięcia – nie kupuj, nawet, gdy tania sprzedają. A jeżeli fundament jest mocny, wtedy się targuj. Inne wady można usunąć, ale nie fundament. Tak więc, bracie-swacie, cała rzecz w fundamencie.

I tak myślałem: jak mądrze powiedziane! Przecież ta zasada powinna być instrukcją w całej życiowej praktyce. To miał na względzie Chrystus, gdy opowiadał uczniom podobieństwo o domu stawianym na piasku i o innym, zbudowanym na skale.

Skałą jest nieprzemijająca i niezachwiana Ewangelia.

Piaskiem – filozofia tego świata.

Kto buduje swój dom, swoje życie na wiecznej skale, ten nie obawia się życiowych burz. Jego dom wytrzyma, nie zawali się w niepogodę.

Domy zbudowane na piasku walą się na naszych oczach i ciężko robi się na sercu, gdy widzi się ich zniszczenie.

## Wrona daje lekcję

Po nocnym deszczu nad miastem zawisła gęsta mgła. Wisiała ona, jak gęsta szaro-niebieska zasłona, zaczepiona za dachy domów i dopiero ze wschodem słońca zaczęła znikać.

Rano jechałem do pracy. Za miastem zauważyłem, jak samotna wrona, trwożnie kracząc, przelatowała z jednego słupa telefonicznego na drugi. Wydało mi się, że wrona zabłądziła we mgłę i teraz miota się w poszukiwaniu swojego gniazda. Nieoczekiwanie spadła na ziemię, jak kamień, lecz nagle znowu wzlatywała, trzymając w dziobie coś do jedzenia.

Dziwne skojarzenia ma człowiek! Przypomniałem baśń Kryłowa „Wrona i lisi-ca” i zacząłem dla siebie deklamować:

„Na jodłę wrona przyleciała,  
Do śniadania już się zabierała,  
Lecz się zamyśliła, a ser w dziobie trzymała”.

Wiele razy czytałem tę baśń, a dopiero teraz zauważyłem, jak wielki jest w swoim mistrzostwie rosyjski bajkopisarz.

Wrona nie jest głupim ptakiem. Wrona jest chytra, lecz w porównaniu z lisicą okazało się, że jest głupsza. „Wronie Bóg zesłał gdzieś kawałeczek sera”, lecz zaraz rozległ się fałszywy głos lisicy: „Gołębiczka, jak dobra...! No, cóż za szyjka, cóż za oczka! Jakież piórka! Jakież nosek...!”.

Oto, gdzie szczyt obłudy!

Lisica dobrze wiedziała, że wrona jest jednym z najbardziej brzydkich ptaków. Lecz połakomiła się na kawałeczek sera. I oto rozpoczyna się chwalenie!

Świat i teraz jest pełen typów, których ukazywał ponad sto lat temu dziadek Iwan Andriejewicz w postaciach ptaków i zwierząt.

I ja wyciągnąłem z tego lekcję: nie odpowiadać na komplementy, gdyż w tym może być pułapka diabła. W stosunku do krytyki też trzeba być bardzo ostrożnym. Sprawiedliwą krytyką można się wzbogacić, a od pochwał i komplementów – się wypaczyć.

## **Świat, nie bez dobrych ludzi**

Mamy mało przyjaciół i dużo. Wszystko zależy od tego, kogo uważamy za przyjaciela.

„Przyjaciół poznaje się w biedzie” – głosi przysłowie. I jakże jest to prawdziwe!

Latem w 1945 roku, w poszukiwaniu azylu politycznego, znalazłem się w amerykańskim obozie jenieckim na terenie Niemiec. Z początku karmiono nas źle, bardzo źle. W tym czasie niektórzy moi przyjaciele byli na wolności, spekulowali i pili. Żona była załamana. Pracy nie było. Wszyscy o mnie zapomnieli.

Lecz, jakimś sposobem odezwał się mój znajomy George B., oficer własowskiej armii, z którym nie byłem przedtem w bliższych stosunkach. Był on na wolności, pracował u Niemca na roli. Dowiedziawszy się, że jestem w obozie za drutami, parę razy przynosił mi paczki: bochenek chleba, kawałek słoniny, paczkę papierosów.

Rok później, gdy byłem już na wolności, przyjechał on do mnie z francuskiej strefy. Gdy wspominałem o tym, jak drogie były dla mnie jego paczki, szybko rzekł:

— Zostawmy tę rozmowę. I, proszę, nie dziękuj. Spełniłem ludzką powinność bez szczególnego wyczynu.

— Tak, przyjaźń jest ludzką powinnością, lecz czy wszyscy są jej powolni?

Niedawno słyszałem takie opowiadanie:

Było dwóch przyjaciół. Jeden wzbogacił się, drugiemu nie powiodło się. Pozostał biednym. Kiedyś się spotkali i bogaty zaczął zapewniać biednego o swojej miłości do niego, o współczuciu z powodu jego sytuacji:

— Tak, widzę, ciężko ci, mój bracie, bez konia... Gdybym miał dwa konie – dał bym ci jednego...

— Dziękuję, bracie – odpowiedział biedny. – Jestem poruszony twoją miłością do mnie...

— I gdybym miał dwie krowy, jedną bym tobie oddał. Przecież bez mleka dzieciom źle...

Biedny nagle zapytał:

— Słuchaj, a gdybyś miał dwoje prosiąt, dałbyś mnie jednego prosiaczka...?

Przyjaciel nastroszył się, pomyślał i odpowiedział:  
— Jesteś bardzo chytry: wiesz, że moja maciora się oprosiła. Nie, prosięta są mi potrzebne...

Taka jest ilustracja przyjaźni między ludźmi tego świata.

W świetle tego przykładu staje się zrozumiały głos starożytnego filozofa:

— Przyjaciele, jak mało jest na świecie przyjaciół!

## **Gotuj sanie latem**

Tylko rozpoczął się styczeń, a pracujący ludzie już zaczynają mówić o urlopach. Mówią z rozmarzeniem, jak kawalerowie o przyszłym weselu. Znajomy radził:

— Jeżeli chcesz pomyślnie kupić przechodzony samochód, to kupuj teraz. Zaczną się urlopy, wtedy samochody będą droższe.

— Ale do urlopu przecież nie tak szybko. Może nie będziemy żyć...? – odpowiedziałem.

— Nie szybko? Nie zdążysz się obejrzeć, jak będzie maj, a czerwiec za nim.

Inny znajomy radził:

— Nie rozbijaj swojego urlopu na dwie części. Bierz swoje trzy tygodnie od razu. Inaczej nie odpoczniesz, a tylko się zmęczysz...

Trzeci, urodzony podróżnik, gdy się dowiedział o moim zamiarze bycia w tym roku w Nowym Jorku, pouczał mnie:

— Ja, bracie, sześć razy objechałem Amerykę. Znam kraj, jak swój ogród. Wiem gdzie, jak i co. W dzień przez Arizonę czy Teksas nie pojedziesz. Spalisz się. Samochód nie wytrzyma. Temperatura 115... W dzień prześpij gdzieś pod wiaduktem, wszystko jedno gdzie, ochłódź się, a jeźdź nocą. W ten sposób i głowie, i dla samochodu lżej będzie. Pewnie, że jechać w dzień jest bardziej ciekawie. Przyroda i temu podobne. Ale po to trzeba zainstalować w samochodzie klimatyzację. A to będzie nie mniej, jak cztery setki. Nie dla nas taki luksus...

Słuchałem praktycznych rad mojego przyjaciela i myślałem:

— Jak byłoby mądre, gdyby ludzie z taką troską przygotowywali się do wieczności! A ona nie jest za górami. Przyjdzie tak szybko, jak i urlop. Być może, że nawet szybciej.

Dzisiaj spojrziałem w lustro, a siwe włosy srebrzą się na prawej skroni. Widać, że rzecz ma się ku zimie.

Mądry jest ten, kto przygotowuje sanie latem.

## **Wszystkich nie zadowolisz**

Pewnego razu w jednym ze zborów zaproponowano mi, abym powiedział słowo. Po wszystkim, podeszła do mnie starsza kobieta, długo potrząsała moją ręką i cicho, jakby w sekrecie, mówiła:

— Wiecie, wszystko w waszej mowie było dobrze, ale jedno źle: często machacie ręką, jak

gdyby chcecie uderzyć. Dla takiego kazania, jakie powiedzieliście, gestów nie trzeba.

— Dziękuję, siostró, za radę – powiedziałem na pożegnanie. Wieczorem znowu mówiłem do

tego samego audytorium i aby nie powtarzać swojego przyzwyczajenia, starałem się trzymać prawą ręką za klapę garnituru przy piersi.

Na drugi dzień otrzymałem telefon. Przyjemny głos parę razy powtórzył: „Dziękuję, dziękuję za słowo, potrzebowałam go...”. A na koniec rozmowy ten sam głos, zniżony do szeptu, dodał:

— Tylko jedno mi wczoraj nie podobało się: trzymał pan rękę za pazuchę, jak gdyby coś tam pan chował. To niepożądane. W kazaniu potrzebne są gesty, one potęgują mowę...

Trudno jest wszystkich zadowolić. A wszystkiego na raz nie można.

I przypomniałem słowa apostoła Pawła: „Bo gdybym nadal ludziom chciał się przypodobać, nie byłbym sługą Chrystusowym” (Ga.1:10).

Coś podobnego się zdarza, gdy przyjmuje się lub nie przyjmuje poezji.

Różni są ludzie – różne smaki i pojęcia.

## **Pieniądze i ludzie**

W ubiegłym tygodniu przeleżałem w łóżku: męczyła mnie grypa. Później zaczęły się powikłania i zapalenie oskrzeli.

Przez długie, bezsenne noce, myślałem o przemijaniu naszego życia. Zdarza się tak: żył człowiek i nie ma go, i w tym momencie dojrzała we mnie decyzja, aby nie odkładać wydania nowej książki.

Rano rzekłem do żony:

— Gdy mnie Pan odwoła, zamiast wieńców i mowy, poproś braci i sióstr o zbiórkę na wydanie moich notatek – „Życie takie, jakie ono jest”.

Żona przerwała:

— Czy nie można tego zrobić za życia?

— Można, lecz nie będzie takiego rezultatu – odpowiedziałem jej. – Ludzie bardziej interesują się umarłymi.

Choroba pomogła mi poznać prawdę: najcenniejsze dla człowieka jest zdrowie, a największym złem – zagładanie do cudzej kieszeni. Trzeba tak budować życie, aby zależeć tylko od Boga, a nie od ludzi.

Napisać książkę jest łatwiej, jak ją wydać. Biedni ludzie gotowi są pomóc, lecz nie mają pieniędzy. Bogaci mogą pomóc, lecz najczęściej podobni są do tego kupca, który przed śmiercią poprosił o talerz miodu i razem z miodem zjadł wszystkie swoje pieniądze, żeby nie dostały się nikomu.

W opowiadaniu A.P. Czechowa „Agrest”, jest opisane wydarzenie z życia pewnego bogatego człowieka, któremu lokomotywa obcięła nogę.

„Niesiemy go do salonu, krew się leje – okropna sprawa, a on ciągle prosi, żeby nogę odszukali i ciągle niepokoi się: w bucie, z obciętą nogą 20 rubli, żeby nie przepadły”.

A są też inni ludzie.

Pewnego razu kolporter zaproponował wieśniaczce, aby kupiła Biblię.

— O, cieszę się, że w końcu będę miała księgę, przez którą Bóg rozmawia z moją duszą.

Kobieta wzięła z półki garncezek i wysypała na stół jego zawartość: kopiejki i piątki. Widocznie długo zbierała te pieniądze.

Dotknięty ubóstwem wieśniaczki, kolporter rzekł:

— Proszę wziąć tę księgę bezpłatnie.

— Nie, nie, ja zapłacę! – upierała się chłopka. – Proszę wziąć te pieniądze!

— Daje mi pani z serca? – zapytał kolporter.

— Nie, nie z serca..., daję je z garneczka.

I po chwili milczenia, kobieta cicho dodała:

— W moim sercu nigdy nie miałam pieniędzy.

Dzisiaj przypomniałem to wydarzenie w związku z listem, który otrzymałem z Niemiec. Napisała biedna, chora, samotna kobieta:

„Proszę Was, przyslijcie mi Biblię z tłustym drukiem, a także tę książkę, w której Michał Podworniak opisuje o biednej matce, która straciła syna w niewoli. A ja Wam wysyłam w kopercie cały mój majątek – jeden amerykański dolar. Przysłali mi go dobrzy ludzie jeszcze w 1946 roku. I niech on teraz idzie tam, skąd przyszedł...”.

Ten dolar popłynął znowu do Niemiec razem z książkami, ale ten fakt, że na ziemi są ludzie, dla których drogie jest słowo Prawdy, pobudza mnie, aby nieść to słowo nie oczekując materialnego wynagrodzenia.

## Kościelne niepowodzenie

Kiedyś byłem w Los Angeles. Spotkałem tam dużo znajomych i nieznanym Rosjan. Z oburzeniem opowiadali oni o kościelnej bójce w świątyni.

Wielu się pyta: dlaczego tak się zdarza?

Mój dobry znajomy, człowiek wnikliwy, znający życie, odpowiedział tak:

— Kmiotki chcą władzy... W tym całe nieszczęście.

Mnie najbardziej denerwują kościelne kłótnie, gdy chrześcijanie zdają się na chytrą, różnorodną pułapkę, obmowę, nawet zdradę, ze względu na jedno – za względu na pierwsze miejsce.

Pewnego człowieka zapytano: Kim chciałbyś być? Drugim w Rzymie, czy pierwszym we wsi? Odpowiedź była szczerą: „Lepiej mi być pierwszym w wiosce niż drugim w stolicy”.

Gorzka prawda ziemi jest taka: „Nawóz zawsze na wierzch wypływa”.

W sercu prawdziwego chrześcijanina nie może być despotyzmu, pragnienia przewodzenia, walki ze swoim współbratem do „ostatniego naboju”. Gotów jest on stracić swoje, aby tylko nie klócić się o władzę.

Przypomniało mi się opowiadanie o dwóch pustelnikach. Długo żyli razem daleko od świata, nigdy nie spierali się, wszystko mieli wspólne, wzajemnie się kochali.

— Nudne nasze życie – rzekł jeden i głęboko westchnął.

— Prawda – zgodził się drugi. – Nudno. Ludzie w świecie się klóć, jest im

weselej. Weźmy i my się pokłócimy, co?

— A jak?

— No tak: masz za pasem mój kubek, a nie swój. Oddaj mi go.

— Nieprawda – zauważył drugi. – Ja go znalazłem, a nie ty. On jest mój.

— Nie, on jest mój. Pierwszy zobaczyłem go na drodze...

— No, niech będzie twój – zgodził się drugi i oddał mu kubek.

Tym sposobem pustelnicy nie pokłócili się. Dlaczego? Znali oni cenę tego, co ziemskie i przemijające. Duchowy świat był dla nich droższy niż osobiste interesy.

Tak też nauczał i Chrystus, gdy mówił: „A temu, który chce zabrać ci szatę, zostaw mu i płaszcz”.

## Tam, gdzie żyje cisza

Niektórzy podróżnicy lubią opisywać swoje podróże do innych krajów. Takiej możliwości, póki co, nie mam. Dziś opowiem o wyjeździe w nasze góry kalifornijskie, gdzie w lutym oczy osłepia białość śniegu, gdzie żyje zima, tworząca spokój cisza.

Dziś nad miastem uśmiecha się słońce. Lekki, ledwo odczuwalny wietrzyk niesie z pól oddech wiosny. Nie można powiedzieć, że właśnie w tym dniu ożywa przyroda. W Kalifornii przyroda nigdy nie zamiera. Warto było wyskoczyć samochodem za miasto, za którym od razu zamigotały kwadraty zielonych łąk, szare plamy winnic, a za nimi – pagórki, kosmate wzgórza i dębowe zagajniki. Lubię drogi, przy których rzadko spotyka się zamieszkałe miejsca, na których nie gwiżdżą samochody, rozcinając gęste, słone powietrze, miejsca, w których oczy mogą odpoczywać, oglądać piękno ziemi, a dusza – odczuwać dotknięcie błogostawionego szczęścia.

Dzieci, rozmieściwszy się na tylnym siedzeniu w samochodzie, zamilkły. Im też zbrzydło miasto, nudni ludzie i budynki. Żrenice ich oczu rozszerzają się, gdy obok drogi widzą stada owiec i krów. Duże stado cętkowanych cieląt stoi za ogrodzeniem, oczekując wyjazdu do rzeźni. Przypomniałem sobie opowiadanie o dwóch studentkach. Pierwszy raz jechały z miasta do dacy. Zauważywszy pasące się na łące cielęta, jedna z nich wykrzyknęła:

— Patrz, patrz, cielęcina się pasie...!

Nad strumykiem, pochyliwszy głowę, stał chudy koń i spoglądał w wodę, jak w lustro. Pod grubym drzewem, jak pod czapką Eskimosa, drzemała krowa. Wyobraziłem sobie, że krowa „mocno myśli o białonogim cielątku”, jak u S. Jesieniana:

„Nie dali matce syna,  
Pierwsza radość nie daje korzyści.  
I na kołku pod olszyną  
Skórę trzepał wiatr”.

Bliżej przyrody – bliżej życia i jego zrozumienia.

Patrzę na moje szczęśliwe dzieci i sam się czuję szczęśliwym. Słucham ich

prostych, lecz przemyślanych pytań i myśle: przypatrując i wsłuchując się sercem w przyrodę, rozmyślając o jej cudach, powinniśmy częściej zwracać swoje spojrzenie na Stwórcę, zachwycać się mądrością i doskonałością Jego praw.

— Tato, dlaczego śnieg na górze nie topi się, a w dole się topi? – zapytuje starsza córka.

— Niżej jest cieplej – próbuje odpowiedzieć żona...

— Dlaczego? Przecież szczyt góry jest bliżej słońca. Tam musi być cieplej – wnioskuje ciekawa dziewczynka.

Wąska, wijąca się w głębokim wąwozie droga, ukołysała młodszego syna. Zasnął. A jak bardzo chciał ujrzeć śnieg! Jak się cieszył, widząc z daleka białe szczyty gór! Próbujemy go obudzić, lecz to nie udaje się. Pewnie, że sen jest najmiłszy ze wszystkiego na świecie.

Licznik wskazał tylko 70 mil od Sacramento, a na drodze spotyka się szare plamy śniegu. Za moimi plecami rozległy się głosy dzieci:

— Śnieg, śnieg!...

Leżał biały, miejscami jak sól, jak cukier. Czym wyżej się wznosiliśmy, tym mniej było przetopów. Na drodze czerniały dwie koleiny. Samochód, jak staruszek, obciążony ciężarem ponad siły, z dużym trudem pokonywał podjazdy obsypane śniegiem. Koła zaczęły boksować. Trzeba było na wstecznym biegu wycofać się w dolinę. Tam stało już parę samochodów. Dzieci rzucały śnieżkami. Trwożliwy krzyk dzieci obudził syna. Wstał i długo wpatrywał się przez okno w białe, jak rozlane mleko, pole i w końcu rzekł:

— Patrz, tato. śnieg...!

W swoim krótkim życiu widział śnieg pierwszy raz.

Wyprowadziłem go na drogę. Szedł sztywno, jak po lodzie, rączkami brał śnieg, podnosił go do ust, ostrożnie próbował językiem – czy to nie cukier?

Ośmielony, za przykładem innych, brał kawałki śniegu i rzucał we mnie, wyzywając do boju. Musiałem się chować, unikać „natarcia”, padać. Zadziornie się śmiał, sam padał w śnieg i wstawał, lecz wkrótce śmiech zamienił się w łzy. Chłopczyk się rozplakał, wyciągając do mnie czerwone, jak gęsie nóżki, rączki. – Tato, zagrzej moje paluszki...

Przed nami stał nowy szewrolet. Jego właściciel, z wygoloną, czerwoną twarzą, Amerykanin, z wąskimi, jakby opuchniętymi oczami, z apetytem jadł kawałek kurczaka i rzucając kości na bok, ponuro spoglądał na zabawę dzieci. Jego żona, szczupła, podmalowana jak lalka, piła kawę z termosu. Amerykanin skończył obiad, wytarł serwetką ręce i zadymił grubym cygarem. Podeszedł do mnie. Nadmając nozdrza szerokiego nosa i pykając śmierdzące cygaro, po przyjacielsku zaczął:

— Jakie powietrze. A? Świeże, czyste...

— Tak – odpowiedziałem – lekko tu się oddycha. Nie to, co w mieście. I tu pomyślałem: jaka to różnica dla palącego – świeże powietrze, czy nie?

Przez zielone igły ogromnej sosny spoglądało na białą polankę poczerwieniałe, zachodzące słońce. Pod bogatym igliwem drzew śnieg był bardziej suchy i sycki.

Cisza... Gdzieś w mieście kipi i denerwuje się świat, snują się ulicami ludzie, jakby zbłądzili i szukali wyjścia, a tu w tej dolinie słychać, jak spada z sosny sucha gałązka, jak skrzypi pod nogami osiadający śnieg, słychać, jak stuka kropla z

dachu starego, zagubionego przy drodze, opuszczonego domu. Dom przechylił się na bok, jakby rozbity pociskiem. Okna zabite deskami, drzwi też. Na ganku leży śnieg. Wewnątrz domu być może mieszkają polne myszy. Nieopodal pochyliła się szopa, jakby miała zaraz upaść ze starości. Kto go budował? Kim byli jego mieszkańcy? Kiedyś było tu życie, a teraz stoją te budowle cicho, oczekując fatalnego losu – zupełnego i ostatecznego zburzenia.

Żona długo spoglądała na ten stary, zaniedbany dom, później ostrożnie westchnęła i rzekła, jakby do siebie:

— Czyż tak nie bywa też z nami, ludźmi...?

Słońce cicho i niezauważalnie schowało się za dach domu. Zimno. Dzieci, nabawiwszy się do woli, mokre, dosłownie oblane wodą, siedziały w samochodzie i jadły chleb z wędzoną rybą.

Wracając do domu przez leśne gąszcze, wspominaliśmy nasze rosyjskie lasy z ich bogactwem w letnim czasie: jagodami, grzybami, orzechami. Obok drogi, gdzie nigdzie, przytulnie przycupnęły domki farmerów. W zaroślach zabawnie przelatowały, usadawiając się na nocleg, ptaki, podobne do jeżyków. Jeszcze raz zatrzymaliśmy się, aby pooddychać świeżym powietrzem, nasycić się ciszą. Powiał zimny wietrzyk. Na górskich szczytach widniały słoneczne promienie.

Po godzinie wjeżdżaliśmy do miasta.

Ogromne budynki Sacramento, rozrzucone na równinie, ponuro spoglądały na unoszące się, jakby w powietrzu samochody. Żadna próżność miejskiego życia znowu groźnie podnosiła na mnie swoją rękę, wciągała, jak pompa powietrzna, w ciężkie, pracowite życie.

Jutro znowu fabryka, szum warsztatów, syczenie pary, ryk silników, a wieczorem – ponownie gazetowe szpalty i stukot maszyny do pisania.

Życie płynie, jak strumień, wszystkiego w Ameryce jest w obfitości, lecz jednego jest mało – ciszy. Trzeba jej szukać daleko za miastem. Jaka szkoda, że rzadko wyjeżdżam z miasta. Oderwawszy się od codzienności, człowiek zbliża się do innego świata, w którym cisza jest upragnionym gościem. Wydaje się mi, że w takich chwilach niebo zbliża się do ziemi.

## Złodziej się modli...

Istnieje zadziwiająco trafne opowiadanie o życiu moskiewskiego metropolity Płatona. Budował on sobie pustelnię. Pewnego razu w brygadzie ciesielskiej przytrafiła się kradzież: cieśli skradziono siekiere. Cieśle w żaden sposób nie mogli znaleźć wśród siebie złodzieja. Przyszli oni do kapłana z prośbą, aby pomógł im odnaleźć przestępcę.

— Pomóż nam, ojcze święty. My go z brygady wyrzucimy.

— Przecież nie jestem czarodziejem, wróżyć nie umiem. Mogę tylko modlitwą.

— Jak chcesz, tylko pomóż – prosili.

Metropolita zebrał wszystkich cieśli, ustawił ich plecami jeden do drugiego i zaczął czytać modlitwę, a wszyscy musieli ją powtarzać.

Słowa modlitwy docierały do serc cieśli.

Kapłan nagle przerwał modlitwę i zapytał:

— No, jak, wszyscy się modlicie?

— Wszyscy, wszyscy, jak jeden – odpowiadali chórem.

— A złodziej też się modli?

— Modłę się – cicho i z pokorą przemówił jeden z nich.

Tym sposobem znaleźli złodzieja.

Coś podobnego zdarza się z moimi gazetowymi artykułami. Gdy piszę o człowieku, nie wskazując na miejsce ani czas, to dlaczego, należałoby zapytać, niektórzy ludzie biorą to do siebie? Prawdopodobnie z tej przyczyny, z której złodziej odpowiedział: „Modłę się!”.

## **Prawda zbawia**

Ten przypadek wydarzył się w Rosji bardzo dawno temu, gdy na głuchych drogach grasowali rabusie.

Trzej chłopcy szli z pielgrzymką do klasztoru. Każdy miał parę monet jako ofiarę w świętych miejscach.

Z lasu na drogę wyszedł rozbójnik. Podeszedł do chłopców i grożąc nożem, zapytał pierwszego:

— Masz pieniądze?

— Nie mam, wujeczku... Jej, jej, nie mam!

Chłopiec według zwyczaju się przeżegnał.

— A to, co to jest? – warknął rabuś, wywracając kieszeń, z której wypadło na brudną dłoń parę miedziaków. Przestraszony chłopiec spuścił oczy.

Zbój tak samo postąpił i z drugim.

— A ty masz pieniądze? – zapytał trzeciego.

— Mam, wujku...

— Ile?

— Dwa ruble i jeszcze trzy kopiejki... Oto one, wujku...

Szczerze przyznanie się dotknęło serca rozbójnika. Stał niezdecydowany i długo wpatrywał się w czyste, spokojne oczy chłopca. Lśniły się w nich łzy.

— Jesteś uczciwy chłopiec! – rzekł w końcu rabuś. – Weź swoje pieniądze. Idź do klasztoru i pomódl się o moją grzeszną duszę.

Serce rozbójnika zmiękło i zwrócił miedziaki innym chłopcom. Idąc dalszą drogą, uczciwy chłopiec mówił przyjaciółom:

— Matka uczyła mnie, żeby zawsze mówić prawdę. Tylko prawdę, albo nic. Prawda i uratowała nas.

Mówi się, że prawda w oczy kole. Nie jest to nieszczęście. Ale prawda zawsze wybawia. A to jest najważniejsze.

## **On uzdrawia**

Opowiedziała mi o swoim życiu i patrzyła na mnie takimi radosnymi oczami, jakby wygrała milion.

— Gdy regent zapytał mnie: „Anno, czy chcesz śpiewać w naszym chórze?” – pomyślałem, że żartuje. Nasz regent w ogóle miał poczucie humoru, ale jego humor nie zawsze był udany. Zauważywszy na mojej twarzy zdziwienie, powtórzył pytanie.

Skuta artretyzmem, czyż mogłabym wejść na podwyższenie z moimi kulami. Wszyscy obecni zwróciliby na mnie swoje oczy. Prócz tego, mój głos jest słaby, prawie niezauważalny, nie mógłby zasilić chóru. Lecz jednocześnie pomyślałam o sobie: „Wstydzisz się ludzi. Nie chcesz chwalić swojego Boga. Przecież się śpiewa dla Jego chwały!”.

I odpowiadałam regentowi:

— Chciałabym śpiewać w chórze, jeśli pan myśli, że poradzę.

Regent się uśmiechnął i spokojnie zauważył:

— Oczywiście, da pani radę! Jestem o tym przekonany!

W następną niedzielę z wielkim trudem przechodziłam przed chórem, ledwo ciągnęłam swoje nogi z pomocą kul. Odległość kilkudziesięciu metrów wydała mi się kilometrem. I oczywiście wszyscy spoglądali na mnie z nieukrywaną ciekawością.

Chór zaśpiewał: „O, wielki Duchu, przyjdź...!”. Gdy włączyłam się w śpiew chóru, wtedy Duch Święty zaczął napełniać całe moje jestestwo nieopisaną radością. Zapomniała o swoich dolegliwościach i śpiewałam, przypominając słowa apostoła Pawła: „Kiedy jestem słaby, wtedy jestem mocny”.

Z każdą chwilą odczuwałam przyływ fizycznych sił. Gdy umilkł ostatni akord organów, zrozumiałam, że kule już nie są mi więcej potrzebne.

Pozostały one tam do dzisiejszego dnia.

## Alosza-baptysta

Wczoraj czytałem z gazetowych odcinków powieść Sołżenicyna „Jeden dzień Iwana Denisowicza”. I to już trzeci raz. Czytałem z zainteresowaniem i pragnieniem, jak biografię rodzonego brata. Powieścią zainteresował się też syn. Trochę wcześniej przeczytał ją w angielskim przekładzie, w czasopiśmie „Post”. Teraz czyta w języku rosyjskim, często zatrzymuje się, zwracając się do mnie z pytaniami:

— Tato, kim byli kułacy?

— Zamożni chłopci nazywali się kułakami – odpowiadam.

— A co to jest „zamożny”? – zapytuje.

— Zamożnymi nazywali się chłopci, którzy mieli, na przykład, dwa konie, parę krów i jeszcze coś tam.

— Wygląda na to, że w Ameryce wszyscy farmerzy są zamożni, wszyscy są kułakami?

Syn kontynuował czytanie, lecz wkrótce przerywa.

— Tato, co to znaczy „zakosić dwie miski kaszy”? Więźniowie przecież nie kosili...

— Jest to przenośnia – odpowiadam. – „Zakosić” – to znaczy niezauważenie wziąć coś, co do ciebie nie należy – próbuję wyjaśnić to słowo synowi.

— Mówiąć prościej, „zakosić” – to ukraść – wnioskuje syn i pogrąża się w czytaniu.

Syn mało rozumie tę powieść. Nie wierzy jej. Czy to do pomyslenia – wyłożyć ścianę żużlowym pustakiem przy 36 stopniowym mrozie? To nie jest możli-

we! Ludzie przecież nie są zwierzętami? Lecz w tym i rzecz, że stosunek ludzi do swoich współbraci bywa gorszy niż zwierzęcy.

W powieści „Jeden dzień Iwana Denisowicza” Solżenicyn na równi ze swoim bohaterem Szuchowem, ukazuje innych ludzi, ukazuje umiejętnie, wyraźnie, właściwie dużemu talentowi. Szczególnie wstrząsnęła mną postać Aloszy-baptysty. Autor odnosi się do niego z dużym szacunkiem. I nie można nie szanować takiego człowieka, który potrafi w trzydziestostopniowym mrozie, z pustym brzuchem, cieszyć się: „Razem z Szuchowem (Iwanem Denisowiczem) Alosza-baptysta patrzy na słońce i się cieszy, uśmiech pojawił się na wargach. Policzki się zapadły, siedzi na spawarce, nic nie udaje – czemu się cieszy? W każdą niedzielę ciągle z innymi baptystami szepce. Obóz sphywa po nich, jak po gęsi woda!”.

Jak to prawdziwie i trafnie powiedziane! Kiedyś apostoł Paweł pisał z rzymskiego więzienia: „Albowiem jestem tego pewien, że ani śmierć, ani życie,... ani wysokość, ani głębokość, ani żadne inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Bożej, które jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym”. Tym bardziej obozy Kołomy.

Solżenicyn pisze, z czego cieszy się Alosza. Alosza miał to, czego nie mieli inni. Alosza ma wyższą wartość – wiarę, ma nadzieję na życie wieczne i to jest wszystko, co było mu potrzebne, aby się uśmiechać.

Ustami swojego bohatera, Szuchowa, Solżenicyn dalej mówi: „Alosza jest spokojny, nie komenderuje nim tylko ten, kto nie chce. O cokolwiek go poprosisz, on nie odmawia. Aby wszyscy na świecie tacy byli...” – konkluduje Szuchow.

Ten charakterystyczny szkic zmusza mnie do myślenia, sprawdzenia siebie samego: czy zachowałbym wierność swoim przekonaniom, wierność swojemu Bogu, gdybym się znalazł w warunkach Aloszy jako katorżnik w obozie koncentracyjnym za kołem podbiegunowym?

Każdemu radzę przeczytać tę powieść. Uczy ona cenić każdy okrusz chleba, każde mgnienie wolnego życia, uczy cenić rodzinę, zdrowie i inne dobra, do których przyzwyczailiśmy się, jak do czegoś zwykłego. Ta powieść uczy nas cenić duchowe wartości. Alosza, gdy znalazł się w wielotysięcznym obozie, przepisuje Ewangelię ręcznie, z pamięci, i dzieli się tym wielkim skarbem z innymi więźniami:

„Baptysta recytował Ewangelię niezupełnie dla siebie, a jakby w powietrze: „A niech nikt z was nie cierpi jako zabójca albo złodziej, albo złoczyńca, albo jako człowiek, który się wtrąca do cudzych spraw. Wszakże jeśli cierpi jako chrześcijanin, niech tego nie uważa z hańbą, niech raczej tym imieniem wielbi Boga. Zuch z Aloszy – pisze dalej Solżenicyn – tę swoją książeczkę wsuwał zręcznie w szczeliny ściany – podczas wszystkich rewizji jeszcze jej nie znalezione”.

Trudno jest wyobrazić tę sytuację temu, kto nie doświadczył duchowego głodu, kto żyje cielesnym życiem według zasady: „Gdyby znalazła się karma, byłaby i ściółka”.

Dziś żyjemy w obfitości nie myśląc o jutrzejszym dniu. Kiedyś Iwan Denisowicz też żył nieźle. Stojąc w kolejce za łyżką obozowej owsianki, wspomina: „Ileż za młodu owsa koniom zużyłem i nigdy nie myślałem, że będę usychał z tęsknoty za garścią tego owsa”.

Lecz przecież coś takiego może się przydarzyć każdemu. Ludowa mądrość mówi: „Więzienia i torby nie zarzekaj się”.

## Deszczowe dni

Deszcz zaczął skrapiać suchą ziemię od wczesnego ranka. W południe zaczął wiać zachodni wiatr, niebo przejaśniło się, lecz nie na długo. Wolno zza gór, lecz niepowstrzymanie nadciągały ciemne chmury. Wieczorem nagle lunął deszcz. Jeżeli powiem, że deszcz lał, jak z cebra, to nie będzie w tym przesady.

Po paru minutach krople zabębniły o podłogę mojego pokoju. W paru miejscach przeciekał dach. Zaniepokoiło to mnie, a dla najmłodszego synka było to zabawą. Biegał po pokojach, nadstawiał swoje rączki pod krople i próbował pić deszczową wodę.

Po paru minutach szum na podwórku ustał. Deszcz przycichł, jakby ktoś przycisnął niebiański wyłącznik.

Tak samo niekiedy zdarza się i w naszym życiu. Żyje człowiek cicho i spokojnie, nie wiedząc o tym, że nad nim jest „dziurawy dach”.

Niedawno spotkałem człowieka, o którym już od dawna nic nie było słyhać. On, jak my wszyscy, postarzał się, posiwiał. Jego oczy spoglądały ze zmęczeniem i zakłopotaniem.

— Co z panem? Gdzie do tej pory pan był? – zapytałem go.

Spokojnie spojrział w moje oczy i westchnąwszy, rzekł:

— Wlaziłem w bogactwo, zapomniałem braci...

Okazało się, że na jego głowę spadł ulewny deszcz, wstrząsnął nim, przebudził z duchowej śpiączki, otworzył mu oczy.

Podczas letniego urlopu wyjechał on do Kanady, żeby odwiedzić swoich starych przyjaciół i tam w samochodowym wypadku stracił żonę, a sam przez pół roku leżał w szpitalu. Ubezpieczenie okazało się nieważne, wszystkie wydatki trzeba było zapłacić samemu.

Dalej opowiadał mi swój smutek:

— Cztery lata pracowałem dniem i nocą, nie widząc słońca, a teraz wyszali ze mnie lekarze ostatnią kroplę krwi. Pogniewałem się na Boga i wszystko zamieniło się w proch...

Zdjąwszy okulary, znajomy długo przecierał szkła i o czymś myślał. Domyśliłem się: myślał o tym, jak pożytecznie jest człowiekowi, gdy od czasu do czasu sprawdzi swój „dach” przed nastaniem deszczowych dni.

## Marzec

B. Pasternak napisał wiersz „Marzec”. Jak i wszystkie wiersze wielkiego poety, ten wiersz jest tak świetny, że czytając go, prawie fizycznie odczuwam buchające życie w oborze, słyszę szmery bezsennych strumyków, odczuwam promienie marcowego słońca na moim policzku. Pasternak przypomniał mi to, co zostało prawie zapomniane.

„Chudnie śnieg i chory jest na anemię  
W gałązkach bezradnie granatowych żył.  
Lecz bucha życie w oborze  
I zdrowiem obfitują zęby wideł.

Przed otwartą stajnią  
Gołębie dziobią w śniegu owies.  
I szerokim wiosennym powiewem  
Pachnie dałą marcowy nawóz".

Z jaką łatwością i prostotą Pasternak przekształca w prawdziwą poezję wiejskie bytowanie. To urzekające przekształcenie powszednich zjawisk życia w poezję – nie jest niczym innym, jak darem Bożym. I Pasternak to wiedział.

Tylko ten potrafi rozumieć i cenić ten dar, kto sam kocha życie i rozumie je w duchowej płaszczyźnie.

Często obrywam od faryzeuszującej części wierzących za moje zainteresowanie poezją. Czyż można połączyć Ewangelię z poezją? – zapytują oni. Dziwne pytanie! Rzecz nie polega na łączeniu, ale na tym, że prawdziwa poezja nie wyklucza, lecz utwierdza Ewangelię, a jeśli chcecie – żyje nią.

Prawdziwa poezja jest aromatycznym, czystym miodem.

## Strumień

W stojącej części strumienia odbija się kawałeczek pięknego, błękitnego nieba. Strumień był na mojej drodze i zmniejszyłem prędkość samochodu, aby go przejechać. Na boki rozbryznięła się woda, znikło odbicie nieba, ale za parę chwil ił osiadł na dnie, znowu za- lśniła lustrzana powierzchnia strumienia, woda płynęła czysta i przeźroczysta, a błękitne niebo z garstkami białych chmurek znowu spadło do wody.

Powiedziałem do siebie: patrz na to zwykłe zjawisko przyrody, patrz uważnie i myśl, patrz i się ucz. Twoim powołaniem jest, aby odzwierciedlać niebo, jak odzwierciedla je dziś strumień. Wrzucają do niego kamień, na boki rozpryskuje się woda, rozchodzą się kręgi, lecz za parę chwil woda znowu lśni i płynie w tym samym kierunku.

Gdy, przycupnąwszy przy strumieniu, rozmyślałem o tym, przyszły do mnie słowa, które zapisałem w trzech zwrotkach:

Nie, droga nie jest gładka,  
Dużo dołów i fałszywych twarzy.  
Zapisałem o tym cały zeszyt  
Do ostatniej jego stronicy.

Doświadczyłem ja ognia kartaczy,  
Lecz serce nie zna zemsty.  
I niosą, nie zginając się, ramiona,  
Tego życia dębowy krzyż.

Nieść krzyż nie jest mi teraz ciężko,  
Gdy obok Niebiański Przyjaciel.  
A luty w błękitnej bluzie  
Łapie moje pieśni głośne.

## Kogo bardziej...?

Wstrząsające rzeczy zdarzają się niekiedy w praktyce chrześcijan. Wiedziałem, że wśród kościelnych chórzystów, którzy śpiewem wzywają ludzi di wiary w Boga, można spotkać ludzi niewierzących. Lecz, oto niedawno rozmawiałem z rezydentem pewnego kościoła. Okazał się zupełnie niewierzącym.

To odkrycie tak mną wstrząsnęło, że ja, nie patrząc na jego podeszły wiek, zapytałem go wprost:

— Dlaczego pan wysławia Chrystusa, w którego nie wierzy?

Długo milczał, a później cicho, jak uczeń, powiedział:

— Mówiąc prawdę, kocham sztukę.

A jego chór śpiewa:

„My – światło światu,

Zbawienie niesiemy...”.

„Jeśli tedy światło, które jest w tobie, jest ciemnością, sama ciemność jaka będzie?” – pypytywał kiedyś Chrystus. To samo pytanie brzmi i dzisiaj.

Z ognia pierwotnego kościoła chrześcijańskiego pozostał tylko popiół. Tym popiołem oddychają nominalni chrześcijanie. Wiatr roznosi ten popiół po całej ziemi. Prawdą jest, że w tym popiele można zauważyć poszczególne iskierki, lecz jakże są one mizerne! I najczęściej gasną one w locie, przypominając tylko o tym wielkim ogniu, który w swoim czasie spalał pogański świat.

Poganie palili chrześcijan, lecz w samej rzeczy w tym ogniu spalali się oni sami. A teraz, według słów jednego z moich przyjaciół, wśród chrześcijan jest więcej pogan niż w Afryce. Gdy to powiedział, zapytałem go:

— Jak to rozumieć?

— Bardzo prosto – odpowiedział spokojnie. – Jeżeli człowiek kocha Boga bardziej językiem niż czynem, oznacza to, że jest poganinem.

Teraz proszę osądzić samemu, kogo jest na ziemi więcej: pogan czy chrześcijan?

## Niebiański ogrodnik

W Sacramento przekwitają migdałowce. Biała, lekko niebieskawa porosza bezszelestnie osiada na trawę, czyniąc ją podobną do koronkowego okrycia. Minie jeszcze tydzień i sady zaczną ubierać się w zieleń.

W tych dniach gospodarze pracują w ogrodach przy kwiatkach, ciesząc się każdym pączkiem. Użyźniają glebę, spulchniają ją, obkopują róże.

Coś podobnego czyni Stwórca z nami, ludźmi. Pod ręką Niebiańskiego Ogródnika dzika róża staje się różą, piaszczysta ziemia klombem. Lecz i dobre drzewo owocowe może zmienić się w dziczkę, jeżeli nie będzie prawidłowego dbania, pielęgnacji. Może nawet uschnąć.

Tak się zdarza z duszą człowieka. Dużo „dziczek” można spotkać na naszej drodze życiowej, a dziczki, jak wiadomo, są kwaśne.

Zbyt tanio człowiek sprzedał swoją duszę, jeżeli całe swoje życie wypełnia jednym – aby dobrze się urządzić w tym ziemskim życiu. Najgorsze jest to, że patrząc w lustro, mówimy:

— Tak, są jeszcze na świecie dobrzy ludzie...

Szczęśliwy jest ten, kto potrafi ujrzeć swoje wady, kto dąży do ich naprawy.

Niech dzisiaj rozkwitają kamelie, ciesząc nasze serca, a my spojrzawszy na nie i głęboko westchnąwszy, rzeknijmy słowami S. Jesienina:

„A czyż ludzie nie kwiaty?  
O, droga moja, odczuj to,  
To nie są puste słowa.  
Jak lodyga tułów się kotłuje,  
A czyż ta głowa  
Nie jest ci różą złotą?”.

Prościej i bardziej zrozumiale powiedział o tym 19 wieków temu apostoł Piotr, były Szymon syn Jonasza: „Gdyż wszelkie ciało jest jak trawa, a wszelka chwała jego jak kwiat trawy, uschła trawa, i kwiat opadł, ale słowo Pana trwa na wieki” (1P.1:24-25).

## Ręce matki

Poeta J.Starszinow napisał wiersz, poświęcony kobiecym rękom. Bardzo mi on się podoba i przypomniałem go w związku z „Dniem matki”. Gdy poeta mówi o kobiecie, ma on przede wszystkim na myśli matkę. Przecież pierwszym powołaniem kobiety jest – być matką, być przewodniczką życia z pokolenia na pokolenie.

Oto, co pisze Starszinow:

„Kobiece ręce – dobre ręce,  
W dniu powszednim i w święto nie znają nudy:  
Gotują barszcze, pielęgnują dzieci,  
Spotykają nie umówionych gości.  
Gdy trzeba – potrafią, wszędzie zdążą:  
Rany zaleczą, cierpliwe w rozłące,  
Miłe, dobre, kobiece ręce...”.

Przypominam ręce swojej matki: suche, z odciskami, a jednocześnie delikatne i tkliwe. Ileż pracy musiały wykonać w ciągu dnia i w międzyczasie znaleźć chwilę, aby pogłaskać rozczochraną głowę syna.

Nie pamiętam i nie mogę wyobrazić sobie mojej matki siedzącej z założonymi rękami. Dla jej rąk zawsze znajdowała się praca.

Nie można zapomnieć jeszcze innych rąk – rąk Chrystusa, błogosławionych, uzdrawiających, karmiących, a później... ociekających krwią z ran, rąk przebitych naszymi grzechami.

Jest tu o czym pomyśleć.

## W ulewnym deszczu

Deszcz, deszcz, deszcz...

Deszcz pada cały tydzień.

Grube jak groch krople, z ogromną mocą uderzają w przednią szybę samochodu, ściekając po niej strumieniami. Wycieraczki ledwo nadążają z wycieraniem szyby. Szum spadającego deszczu zlewa się z warkotem silnika i wydaje się, że dudni cała ziemia, otulona nieprzeniknionym mrokiem.

Okropnie jest na ziemi w taką porę. Rozszalały żywioł wydaje się być niepowstrzymany, lecz świadomość mówi co innego: jest Ten, kto kieruje żywiołem.

Północ. Sacramento pozostało daleko w tyle. Deszcz nie przestaje ani na chwilę. Wydaje się, że nie jadę, lecz płynę po szosie. Z boków migają ciemne sylwetki słupów telefonicznych.

Śpieszę się, aby nie spóźnić się na literackie spotkanie w Los Angeles. Szare ołowiane niebo zaczęło się przejaśniać, stopniowo odsłaniając zarysy potężnych gór. I chociaż deszcz prawie nie zmniejsza się, to serce weseli się światłem, padającym na ziemię przez rzędnące obłoki.

Światło. Poranek. Dzień. Cudowne dary Boże!. Przypomniały się słowa Chrystusa: „Musimy wykonywać dzieła... póki dzień jest; nadchodzi noc, gdy nikt nie będzie mógł działać”.

Na szczytach gór bieleją plamy śniegu. Podobne są do łabędzi, które usiadły tam na odpoczynek po długim przelocie. W doliny, po zbójceku, wdziera się wiatr, gnie do ziemi zieleń, wrzuca snopy deszczu na wystające skały. Burzy się ruda-woda woda i jest podobna do słupów wodnego pyłu.

I oto jestem w Los Angeles. Deszcz przestał padać na parę minut, ale zaraz znowu zaczął poić ziemię. Na ulicach nie widać ludzi. Płyną samochody – duże i małe, płyną ostrożnie jakby skradając się.

O 6 godzinie wieczorem deszcz się wzmógł. Wsparty wiatrem, siekł natarczywie i śmiało. Straciłem nadzieję, że będą ludzie, którzy zapragną wyjść za swoich ciepłych, przytulnych domów i ryzykować życie na drogach.

Dokładnie o 7 godzinie wieczorem w przytulnym i obszernym pomieszczeniu kościoła, pod błogosławionym wezwaniem – Betania, było ponad 100 osób.

Deszcz ciągle stuka o dach, bębni o duże, artystycznie oprawione okna, lecz ten szum zagłuszają ludzkie głosy, śpiewające o miłości Bożej, o Jego mądrym kierowaniu wszech- światem, o Jego cudownym planie zbawienia człowieka.

Literackie spotkanie w taką pogodę jest swego rodzaju egzaminem naszej miłości ku żywemu, świadczącemu słowu, sprawdzianem naszego oddania apostołskiej radzie: „W miłości nie ustawając, płomienni duchem, Panu służcie” (Rz. 12:11).

Przed czytaniem wierszy opowiedziałem słuchaczom o pewnym starym kaznodziei, który lubił zawsze i za wszystko dziękować Bogu. Każdą swoją mowę rozpoczynał dziękczynną modlitwą. Pewnego razu został zaproszony do sąsiedniego kościoła, lecz w tym czasie zaczął padać duży deszcz, zimny wiatr zwał z nóg pielgrzymów. Kościół już dawno się wypełnił, a kaznodzieja się spóźnił. W końcu, przemoknięty do suchej nitki, zmęczony, niedomagający, wszedł do sali i skierował się ku mównicy.

Parafianie szeptali:

— Ciekawe, za co będzie dzisiaj dziękował Bogu?

A staruszek, wytarłszy chustką krople deszczu z twarzy, zaczął się modlić:

— Panie, dziękuję Ci, Ze taka pogoda, jak dzisiaj, nie zdarza się każdego dnia...

## Przyjaciele i nieprzyjaciele

„Nie miej stu rubli, ale miej stu przyjaciół” – mówi rosyjskie przysłowie. Lecz tu powstaje pytanie: gdzie znaleźć stu przyjaciół w naszych czasach? Sto rubli zarobić jest o wiele łatwiej niż pozyskać jednego, prawdziwego przyjaciela.

Jak pozyskiwać przyjaciół? Wielkie pytanie, ale odpowiedź na nie jest bardzo prosta: bądź sam przyjacielem i jeżeli to możliwe, dla wszystkich, a wtedy będziesz miał przyjaciół. Niech jedni opuszczą cię w pół drogi, zapomną, przejdą obok w trudnej chwili, inni – zmieniają warunki przyjaźni, ale ktoś pozostanie z tobą.

Zawsze mnie porusza biblijny obraz Jonatana, przyjaciela Dawida, gdy jeszcze nie był królem. Jakaż przyjaźń była między nimi! Ile było tej przyjaźni romantyki i subtelności. Ich przyjaźń była związana z niebezpieczeństwami. Lecz obaj pozostali jej wierni do końca.

Czy w naszych czasach można znaleźć przykład takiej przyjaźni?

W Chicago, cicho, prawie nie zauważony, mieszka poeta Siergiej Drużynin. Pisze on teraz rzadko, lecz jeden z jego wierszy spowodował polemikę w chrześcijańskich kręgach. Rozpoczął się on słowami: „Nie wierzę więcej człowiekowi...”.

Jest to zupełne odwrócenie tołstowskiej filozofii: „Wszystko w tobie, człowieku!”. M. Gorki też mówił ustami swojego bohatera Sabina: „Człowiek – to brzmi dumnie!”.

Brzmieć, oczywiście, to słowo brzmi dumnie. Lecz i w samym człowieku jest tyle dumy, że zbyt często nie widzi przed sobą drugiego człowieka, takiego samego, jak on, z takimi samymi prawami do życia. Ta duma znika, gdy człowiekiem kierują, jak zabawką.

Wiara w człowieka, nawet takiego „genialnego”, jakim byli niektórzy wodzowie, nie tylko usprawiedliwiała siebie, ale okryła się hańbą. Iluż wielkich i genialnych wciągało ludzkość w nieszczęście?!

W tym sensie S. Drużynin ma rację.

S. Drużynina znam z ostatniej wojny. Przeżył on okrucieństwo niemieckiej niewoli. Po wojnie spotkałem go ponownie. Było to w Oberferingu, na przedmieściach Monachium, pachnącego mlekiem i obornikiem.

Dziwnymi drogami Siergiej Drużynin przyszedł do wiary w Boga. Wiem, że troszczy się o tę wiarę, gdyż wiara w Boga, a nie w człowieka, nigdy nikogo nie zawiodła, nie okłamała.

I ludzka przyjaźń, oparta na takiej wierze, ma głębokie korzenie.

Te korzenie mają początek w miłości Tego, który umiłował nas aż „do śmierci i to śmierci krzyżowej”.

## Kwiecień

Kwiecień...

Łagodnie, delikatnie i przyjemnie brzmi to wspaniałe słowo. Kwietniowe słońce, kwietniowe powietrze, kwietniowe sady. Dziś o świcie wyszedłem na podwótko i długo zachwyciałem się rozpostartym, milczącym niebem. Spoglądało ono na ziemię niebieskimi oczyma gwiazd. Wzorzyste łapy drzew ledwo poruszał wiatr.

Jak dobra jest ziemia w kwietniu, gdy rzeki powracają do swoich koryt, rozkwitają sady, ptaszki wiją gniazda, pola zielenią się.

Wczesnym rankiem ulica, na której mieszkam, jest milcząca, jakby przyczaiła się w oczekiwaniu czegoś. Lecz minie pół godziny i zawarczą silniki, po ulicy będą poruszać się samochody, dzieci pójdą do szkoły.

Cisza wczesnego, kwietniowego poranka sposobi ku rozmyśleniom, przygotowuję duszę na spotkanie głośnego, uciążliwego dnia. Za parę chwil zza gór triumfalnie wypłynie słońce, uśmiechnie się do ziemi świetlistym uśmiechem, obleje złotem dachy domów. Moja ręka mimowolnie sięga po notes, żeby zanotować pierwsze słowa tego dnia:

Złoci się zorza świtu,  
Jak szkło, brzegowa gładź.  
Dobra, kwietniowa pogoda,  
Za rzeką cisza i raj.

Bóg daje nam dobrą pogodę, odpowiedni czas, lecz nie zawsze odpowiednio go wykorzystujemy. Zdarza się tak, że w dobrym, kwietniowym dniu, napłyną chmury niedobrych, nie kontrolowanych myśli, a wtedy w kwietniu oblewa nas zimowy nastrój.

Trzymać myśli pod kontrolą, umieć panować nad sobą – jest sztuką, której powinien nauczyć się każdy chrześcijanin. „Myślcie o tym, co w górze” – radził apostoł Paweł, pisząc do Kolosan. Ta rada w pełni i mnie odpowiada.

## Szczerza modlitwa

Znanym jest, jak szczerze i ufnie modlą się dzieci.

Pewien ojciec opowiadał, jak przed snem modlił się jego synek:

„Boziu, dziękuję za tatę, za mamę... Błogosław i zachowaj ich. Chroń moje siostrzyczki, chroń mnie... A także chroń i siebie, Boże, dlatego że, jeśli coś stanie się Tobie, to my wtedy bez Ciebie, Boże, co robić będziemy?”.

Chłopczyk nie mógł nawet sobie wyobrazić, jak można żyć bez Boga.

Do takiej wiary wzywa nas Chrystus.

Mimowolnie przypomina się opowiadanie wspaniałej misjonarki, Marii Wasiliewy Siłodi. Pamiętam, jak opowiadała, gdy byłem w Niemczech:

— Pewnego razu na nasze kobiece, modlitewne spotkanie przyszedł nowonawrócony brat, który był uchodzącą. „Módlcie się o moją żonę, drogie siostry – proszę. – Nie mam z nią życia. Z baraku wygania, rzuca we mnie garnkami...”.

Gdy siostry się modliły, brat nie wytrzymał i zaczął sam głośno się modlić mniej więcej tak: „Panie, dziękuję Ci, że zbawiłeś mnie, takiego grzesznika, umar-

łeś za mnie na krzyżu... Uczyń też z żony wierzącą..."

Tu brat się rozplakał i przez łzy rzekł: „Panie, jak mi ciężko jest żyć z żoną! Przecież ona mnie teraz bije... Nie, Panie, Ty nie wiesz, jak mi jest ciężko z żoną, przecież Ty nie byłeś żonaty..."

To też była dziecięca, szczerza modlitwa. Tak, Pan Jezus nie był żonaty, ale On wie, jak pomóc ludziom, którzy są doświadczani. I pomaga im.

## Wyznanie

Ilu na świecie jest ludzi – tyle jest losów, tyle ludzkich historii. I wszystkie one odróżniają się od siebie. Dużo spotykałem ludzi, ale nie wszystkie spotkania pozostają na dłużej w pamięci.

O pewnym spotkaniu, którego nie zapominam do obecnej chwili, chcę dziś opowiedzieć.

Miało to miejsce latem 1949 roku. Był czwarty rok po zakończeniu II wojny światowej. Baraki, byłe koszary, ciągle były jeszcze przepelnione uciekinierami lub, jak ich wtedy nazywano, osobami deportowanymi.

W tym czasie moje serce płonęło ogniem świadectwa o zbawiającej łasce Chrystusa. Często w wolne dni wyjeżdżałem do obozów ze Słowem Bożym. Było to moim szczęściem, moją radością, moim powołaniem.

W tej chwili próbuję, zamknąwszy oczy, przywołać w swojej pamięci bawarskie miasteczko Berchtesgaden, przycupnięte u podnóża wielkich Alp.

Przypominam drogę, wijącą się w dolinie od torów kolejowych do obozu, ogromny krzyż drewniany przy drodze ze straszny, poczerniałym ze starości, ukrzyżowanym Chrystusem.

Obok stała ławka. I tam pierwszy raz spotkałem Rosjanina, którego nazwiska już nie mogę przypomnieć.

Siedział sam na ławce. Słońce tylko schowało się za góry, lecz niebo ciągle jeszcze paliło się złotym ogniem. Zagubiony obłok wisiał nad szczytem góry, jakby niewidocznie był do niej przywiązany.

Na ławce siedział starszy człowiek i marząc spoglądał w tę stronę, gdzie na szczycie góry widniały budowle hitlerowskiego bunkra, jego tajnej rezydencji.

Spojrząwszy tylko jeden raz, nie można było nie rozpoznać Rosjanina. Tak, to był Rosjanin. Rudawe wąsy z lekko podwiniętymi końcami, rosyjski wzór cyklistówki, która z niejednego pieca chleb jadła, nie ogolona twarz i przefarbowana na czarno amerykańska kurtka – wszystko zdradzało, że jest Słowianinem i po przywitaniu się, zapytałem:

— Czy ta droga prowadzi do obozu?

— Z daleka? – zapytał, zamiast odpowiedzieć.

— Z Monachium.

— Znaczy z samego centrum?

— Jak gdyby tak – zgodziłem się, siadając obok.

Staruszek chętnie rozmawiał i jednocześnie doprowadził mnie do obozu, do baraku, w którym następnego dnia miało odbyć się ewangeliczne nabożeństwo.

Nie ominałem okazji, aby zaprosić staruszka na to nabożeństwo. Przyszedł,

chętnie wzięł z moich rąk malutki śpiewnik, wydany przez szwedzką misję. Śpiewał z nami pieśni nie patrząc w śpiewnik. Gdy śpiewał, drobne łezki cicho, jedna za drugą, płynęły z jego oczu i ginęły w rudawych wąsach.

Po nabożeństwie staruszek wywołał mnie na bok i powiedział:

— Muszę z panem porozmawiać...

Przed wieczorem doszliśmy do krzyża, do tej ławki, przy której spotkaliśmy się pierwszy raz.

I oto, co opowiedział mi staruszek.

„Ja, braciszku, oczywiście, jestem wierzącym. Zawsze wierzyłem w Boga, lecz nie zawsze byłem Mu wierny. I z tego powodu straciłem swoją rodzinę, i znalazłem się na obczyźnie. Wodził mnie diabeł po szerokich drogach, ale Boże oko jednak było nade mną. I On znowu znalazł mnie, i doprowadził do Swojej trzody”.

Staruszkowi popłynęło parę łez, ale były to łyzy wzruszenia i radości, że znowu jest z Bogiem, a Bóg z nim.

„Do 1929 roku dobrze żyliśmy. Dostałem od ojca jednego konia, a po czterech latach miałem dwuizbową chatę, dwa konie, trzy krowy, dwadzieścia owiec, z pół setki gęsi. Dwie córki rosły mi na radość. W naszej wiosce był zbór baptyistyczny, ja i żona byliśmy członkami, ale czym więcej mi Bóg błogosławił w gospodarstwie, tym bardziej stawałem się skąpy. Z tego powodu miałem częste nieprzyjemności z żoną. Mieliśmy różne charaktery: ona gościnna, a ja lubiłem chować na czarną godzinę.

Pewnego razu pojechałem na jarmark. Wracam do domu, a żona mi mówi:

— Przyjechali do nas bracia z rejonu. Rozpoczęli budowę domu modlitewnego, a pieniędzy nie starczyło. I ofiarowaliśmy, co kto może.

— No, a ty, na pewno, znowu się rozczuliła...?

— Tak, krowę ofiarowałam... Na mleko, krasulę, nie wypadalo, przecież mieliśmy ją sprzedać...

— Krasulę ofiarowała?

No i dałem wtedy żonie krasulę! Beze mnie gospodarzyć? Nic nie dam...!

I nie dałem.

A zimą – zniżywszy głos do szeptu, mówił dalej mój znajomy – powierzyli mi odpowiedzialne zadanie, później zrobili inwentaryzację majątku i przyjechali rozkułaczyć.

Wszystko zniósłem: i gdy kury łapali, i gdy poduszki cięli – złota szukali – wszystko zniósłem. I gdy córce ściągnęli z nóg walonki, a łapcie dali – wszystko zniósłem. Ale gdy wyprowadzali krasulę z szopy, której nie dałem na sprawę Bożą, wtedy nie wytrzymałem. Jak tylko krowa żałośnie zaryczała, upadłem na kolana i zacząłem się modlić:

— Panie, wybacz mi nieposłusznemu i nierozumnemu. Poskapiłem krowy na Twoją sprawę, teraz...

W tym momencie tak mnie uderzył w głowę przewodniczący, że na jakiś czas straciłem świadomość.

A później zesłali mnie do Sołowki i do domu, do swojej wsi, już więcej nie wróciłem...

Mój rozmówca płakał. Ciężko mu było to przypominać. Dałem mu możliwość wypłakania się, a później w tym samym miejscu, pod krzyżem, zaproponowałem wspólną modlitwę.

Do obozu wróciliśmy, gdy już było ciemno, a na wschodzie zapaliły się pierwsze dwie gwiazdy.

## **Przykład kościelnym liderom**

My jesteśmy chrześcijanami. To jest nasza nazwa. Jest ona wielka, bo wielki jest nasz Nauczyciel. W świetle Jego nauki można ujrzeć, że ci ludzie, którzy dążą do panowania nad swoimi współbraćmi, nie znają Chrystusa.

Około dwóch tysięcy lat temu, w Palestynie, w upalny kwietniowy dzień, można było ujrzeć grupę mężczyzn, idących w jednym kierunku. Było ich dwunastu. Szli nie śpiesząc się i o coś się spierali.

Z przodu, w jakiejś odległości od nich, szedł ich Nauczyciel w ubraniu rabina. Był to Chrystus. Za Nim postępowali Jego uczniowie i spierali się między sobą o to, który z nich jest największy.

Spór o pierwsze miejsce ukazał to, że uczniowie w tym czasie jeszcze nie znali sedna nauki Chrystusa. Ich pragnienie bycia blisko Nauczyciela było oparte na nieczystych pobudkach. Synowie Zebedeusza, Jakub i Jan, postanowili prosić matkę swoją, żeby porozmawiała z Jezusem, dopóki Piotr nie zajął pierwszego miejsca, aby to miejsce przypadło im. A Piotr myślał inaczej: „Pierwsze miejsce powinno należeć do mnie. Przecież nie ma nikogo innego, a mnie Jezus nazwał skałą...”.

Chrystus, idąc z przodu, słyszał ten spór. Czytał w myślach Swoich uczniów. Jednakże, zapytał ich: „O czym rozmawiacie?”.

Uczniowie milczeli. Było im wstyd przyznać się, że spór dotyczył pierwszeństwa.

O tym, co wydarzyło się później, szczegółowo opisał Jan: „Wstał (Chrystus) od wieczerzy, złożył szaty, a wzięwszy prześcieradło, przepasał się. Potem nalał wody do miski i począł umywać nogi uczniów i wycierać prześcieradłem, którym był przepasany”.

Chrystus umył nogi Swoich uczniów, w tej liczbie i nogi Judasza, mówiąc o tym: „Dałem wam przykład”. Tym przykładem zmienił On ich pojęcie o tym, kto z nich jest największy.

Gdyby w tym świetle widzieli siebie kościelni liderzy, nie mielibyśmy nigdy podziałów i rozdźwięków.

## **Wszystko ma swój czas**

Po dniu pracy w fabryce postanowiłem trochę odpocząć przy lekkiej książce. Wziąłem z półki „Jegora Butyczewa” M. Gorkiego. Lecz tu, w tej sztuce, nie znalazłem tego, co można byłoby lekko poczytać. W niej też przewija się ta filozofia życia, o której ludzie zwykle zaczynają myśleć dopiero przed śmiercią.

Jegor próbuje obwinać Boga o to, że On, Bóg, nie może uwolnić człowieka od śmierci. Według jego rozumienia – śmierć jest największą niesprawiedliwością, a nie prawem. Umierając, mówi on: „Wszyscy umierają? Dlaczego? No, niech wszyscy, a ja dlaczego...?”.

Widać, że M. Gorkiego zajmowały zagadnienia ludzkiej nieśmiertelności, my-

ślał o tym, lecz nie doszedł do zrozumienia życia w jego wyższym planie. Gorki nie wierzył w życie pozagrobowe i jego niewiara zawsze stała na drodze do odgadnięcia sensu życia.

Gorki z dużą artystyczną mocą pokazuje, jak chory Bułyczew potyka się ze śmiercią. Wokół niego, umierającego, miotają się w panice żli, chciwi, zrozpaczeni domownicy, miotają się, jak kruki, oczekując, aby szybciej podzielić spadek. A Jegor mówi swojemu domowemu lekarzowi-trębaczowi: „Zagłusz ich, Gawriło! Zagłusz! Trąb na koniec świata!”.

Lecz był to koniec nie świata, ale Bułyczewa, który przeżył życie bez Boga, bez Chrystusa, bez nadziei na życie wieczne. Przed obliczem śmierci Jegor uświadomił sobie, że jego życie jest zgubione, że powinien być żyć inaczej, iść inną drogą.

Lecz na pójście inną drogą było już za późno. Wszystko ma swój czas.

Jedno pozostaje mi niezrozumiałe, dlaczego dużo ludzi, wiedząc to wszystko, nie chce pojednać się z Bogiem w czas, aby nie miotać się w strachu przed śmiercią?

Jakże męcząc się zapewne i w lęku rozstawał się wielki pisarz ze swoim ziemskim życiem, jeżeli nie chciał wierzyć, że śmierć – to tylko zmiana adresu.

## Na łonie przyrody

W końcu wyrwałem się z więzów gwarneho miasta i dzisiaj odpoczywam na łonie przyrody. Przez trzy godziny kołysał nas samochód ku brzegom „Srebrnego jeziora”. Leży ono na wysokości 6 tys. stóp, w nim ławicami pływa pstrąg; paru wędkarzy zamarło w łódkach, oczekując brania.

Wokół, jak ściana, stoją skaliste góry. Wyraźnie odbijają się w lustrzanej powierzchni

jeziora: wydaje się, że zaraz zerwą się ich śniegowe czapy i ulecą w bezdenną, zimną, błękitną przestrzeń.

Jeżeli się podejdziesz bliżej brzegu, można ujrzeć w jeziorze swoje odbicie, a gdy rzucisz do jeziora kamień, głośno pluśnie woda i długo będą rozchodzić się kręgi.

Ryba nie chciała się załapać, to wzięłem notes i zapisałem pierwsze słowa nowego wiersza:

Wdycham górski chłód  
Tych dzikich, dalekich miejsc.  
Zapewne Kalifornia  
Nigdy mi się nie sprzykrzy.

Zapiski przerwał syn. Bardzo odważnie przeskakiwał z kamienia na kamień za kaczką, rozbił kolano, trzeba było opatrzyć je.

Teraz wybrałem dogodne miejsce, przysiadłem pod krępą sosną, spoglądałem na otwartą przestrzeń pięknej dali i myślę: jak wielki i cudowny jest mój Bóg!

Niektórzy mówią, że im jest bardzo trudno wierzyć w Boga, a ja w żaden sposób nie mogę tego zrozumieć. Wydaje się mi przeciwnie: jak trudno jest nie wierzyć w Stwórcę, gdy widzisz tak cudowny, rozumnie zbudowany świat. Jeżeli na jedno mgnienie dopuścić, że wszystko to, co mnie dzisiaj otacza – te góry, jezio-

ra, strumienie, te kwiaty i trawy, to powietrze i to słońce – cały wszechświat jest niczym innym, jak bezkształtną, przez nikogo nie stworzoną maszyną, wtedy życie traci cały sens. Wtedy po cóż pracować i cierpieć? Po cóż uginać się pod życiowym ciężarem?

Lecz, gdy spojrzawszy jeszcze raz wokół siebie, widzę we wszystkim rękę Stwórcy, Jego mądrość, Jego moc, wtedy Bóg jest dla mnie realną osobą i chce mi się radować, i żyć.

Nie może materia tworzyć życia! Jest to moja wiara, moje przekonanie. Każde życie ma sens, a jego Stwórca godzien jest bezgranicznej chwały i uwielbienia.

I znowu ręka mimowolnie sięga po notes i wpisuje nowe strofy:

Jak nie wierzyć w rozumność Twórcy

I w rozumność Jego wszechświata...?

Z Chrystusem – cuda bez końca,

Bez Niego – ciemność i cierpienie.

Ślepa, nierozumna osoba, nie mogła stworzyć takiego piękna. Z kamienia, jakich tu miliony, nie mógł wykształcić się kwiatek. Oto trzymam go w ręku, liczę jego niebieskie, jak niebo, płatki, widzę pręciki, a na nich pyłek i ten kwiatek wydaje mi się żywym. On tak badawczo patrzy w moje oczy, jakby chciał powiedzieć: „Po co mnie zerwałeś, odłączyłeś od korzenia, pozbawiłeś życia? Byłem delikatny, pachnący, przyjemny, każdego cieszyłem, a ty zerwałeś moją głowę i uschnę”.

Nieobojętny rozum Stwórcy stworzył i kwiatka, i człowieka. On dał nam życie. On wskazał drogę ku sensownemu, szczęśliwemu życiu. On zna nasze imiona. Oto dlaczego tylko osobista wiara w osobowego Boga może uczynić człowieka szczęśliwym, zdolnego widzieć Jego cuda.

W świecie nie ma nic bezsensownego. To, co dzisiaj może wydawać się bez sensu, jutro zyska sens.

Bezmyślnym jest tylko życie bez wiary w Boga.

Zapisuję te myśli i patrzę, jak nad szczytem góry zamarł nieduży, jasny obłoczek. Wydaje się, że jeżeli wdrapałoby się na tę górę, wtedy można byłoby sięgnąć go ręką. Lecz to tylko tak się wydaje z dużej odległości. Zbliżenie się do przedmiotu zmienia jego charakterystykę. Zrozum to, moja duszo, i nie wążp, wspinając się wąską ścieżką na wyżyny Pana.

## **Ziemia i ludzie**

Bogaty w swojej różnorodności jest świat, który nas otacza!

Jeżeli tylko rzuci się okiem na te kalifornijskie góry, przyodziane w zieloną szatę gąszczy, na rzeki, na błękitne zatoki, na to bezmierne niebo – wszystko wydaje się proste, nie ma w tym nic nadzwyczajnego, wszystko jest, jak było, wszystko to widzieliśmy już nie raz.

Lecz, gdy tylko przypatrzymy się temu bielejącemu, jak łabędź, obłoczkowi, pływającemu w bezgranicznym oceanie nieba, temu staremu, samotnemu drzewu, drzemiącemu nad urwiskiem, temu małemu jezioru, zagubionemu wśród łąk, tej malutkiej ptaszynie, chowającej się w zaroślach – wtedy zaczynasz rozumieć

całą złożoność i wielorakość tego świata, zadziwiającą proporcjonalność w przyrodzie.

We wszystkim jest widoczna mądrość Stwórcy. Ziemia śpiewa i się raduje. Chce ona służyć człowiekowi i służy mu: ubiera go i karmi.

A gdy po tym przypatrzymy się człowiekowi – wtedy chce się płakać.

Każdy człowiek ma swój świat. „Wędrując i męcząc się”, człowiek nie znalazł swojego miejsca w tym życiu, nie zrozumiał swojego prawdziwego powołania, prawdziwego przeznaczenia. Drepcze on wokół swojego „ja”, jak koń na uwięzi chodzi dookoła: praca, jedzenie, sen. Urodził się i umarł... W pięknie przyrody nie widzi ręki Stwórcy, nie wie, że jego ziemskie bytowanie jest szkołą, w której powinien przygotować się do spotkania z Dawcą Życia.

„Niebiosa opowiadają chwałę Boga, a firmament głosi dzieło rąk jego” – pisał psalmista.

Jak mało jest na ziemi ludzi, zwracających uwagę na to głoszenie!

## **Drzewa – olbrzymy**

Kalifornijczycy słusznie są dumni ze swoich parków narodowych. Miałem okazję być w parku. Szczególnie wrażenie wywarł na mnie Park Redwood.

Jeden z moich braci w wierze, mieszkający w Saratodze, zaproponował mi obejrzenie olbrzymich drzew. Samochód miał wówczas stary, lecz silny. Długo trząśł nami po wyboistych i wąskich drogach. W gęstwinie gęstego, liściastego lasu, była wilgoć i półmrok.

Do rezerwatu tych drzew-olbrzymów wjechaliśmy, jak do świątyni. Objęła nas urzekająca cisza. Spojrzysz na wierzchołek drzewa i kapelusz spada z głowy. Dusza, czując respekt przed potęgą Stwórcy, chce się modlić. Jakąś starożytnością tchnie od drzew, które cieszyły swoim pięknem jeszcze w czasach Chrystusa. Niektóre z nich mają ponad dwa tysiące lat.

Kto mieszkał w tych miejscach w tamtych czasach? czyje oczy spoglądały na te drzewa dwa tysiące lat temu? Kto je posadził? Kto o nie dbał?

Wszystko to pozostaje nieodgadnioną tajemnicą.

Trudno jest wyobrazić wysokość tych drzew temu, kto ich nigdy nie widział. Jeżeli przez dziuplę u podstawy drzewa swobodnie przejeżdżają samochody, to mimowolnie powstaje pytanie: ile pokarmu potrzebowało to drzewo przez parę tysięcy lat?

Wytrzymałość i żywotność tych drzew tłumaczy się tym, że ich drewno zawiera w sobie taninowy kwas. Chroni on drzewo przed gniciem, przed szkodnikami. Drzewa te mają też dobre zewnętrzne zabezpieczenie: grubą, wytrzymałą, ognioodporną korę.

Można też wyobrazić, jakie głębokie korzenie mają te drzewa, aby w niepogodę i burzę trzymać przez wieki takiego kolosa.

Wydaje się mi, że gdyby Chrystus przechodził obok takich drzew ze Swoimi uczniami, koniecznie powiedziałby im podobieństwo o tych olbrzymach.

My, ludzie, też w jakimś sensie podobni jesteśmy do drzew, aby przetrwać w burzy zachodzących obecnie wydarzeń, nam też potrzebne są głębokie korzenie.

I te korzenie muszą sięgać fundamentu Bożego, karmić nas, trzymać nas w każdej pogodzie.

Tymi korzeniami jest nasza wiara.

Potrzebny jest nam też i „kwas taninowy”, który chroniłby nas przed rozkładem, przed przedwczesnym gniciem, przed „szkodnikami”. Tę rolę spełnia Duch Święty. Napełniając wierzącego, czyni On go nieugiętym, mocnym i stabilnym.

Naszą obronną korą jest Słowo Boże.

Wszystko to dane jest przez Stwórcę dla każdego człowieka. Każdy może być olbrzymem, lecz nie każdy wykorzystuje te największe, cudowne dary. Z tego powodu wśród nas jest tak dużo „skarłowaciałych drzew”, a tak mało olbrzymów. Drewno z drzew karłów nie nadaje się na materiał budowlany, najczęściej idzie na opał lub na nawóz.

Dzisiaj mam chęć przeczytać jeszcze raz pierwszy psalm: „Szczęśliwy mąż... Będzie on jak drzewo zasadzone nad strumieniami wód, wydające swój owoc we właściwym czasie”.

Chce się czytać i rozmyślać nad swoim życiem.

## "Tato, gdzie jesteś...?"

Kiedyś po pracy pojechałem z synem do najbliższego parku. Szerokie liście ogromnych drzew wydawały się, jak zastygłe w głębokiej drzemce. Słońce chowało się za błękitny zarys gór, a mnie sprawiały przyjemność zapachy skoszonej trawy.

Szedłem krętymi drózkami między rzędami róż i liści. Trzyletniego syna musiałem trzy- mać za rękę, gdyż wyrwał się do jeziora. W końcu wyrwał się, pobiegł do wody, pobłyskując grzywką spłowiałych włosów. Nie poszedłem za nim, ale ukryłem się za drzewem i zacząłem obserwować. Przez parę minut interesowałem się kaczkami, rzucał im kawałki chleba, lecz gdy pokarm się skończył, kaczki odpłynęły od niego na środek jeziora.

Syn się rozejrzał, z trwogą spojrzął na boki i nie widząc mnie, rozpoczął poszukiwania.

— Tataa, ta-a-ta, gdzie jesteś?...

Cierpliwie milczałem.

Rozglądał się na boki, szukał w gąszczu. Podeszli do niego starszerek ze starszką, o coś go pytali, ale on odpowiadał jednym słowem:

— Ta-a-ta, ta-a-ta...

Syn się rozplakał. Nie wiedział, co dalej robić.

W tym momencie się odezwałem, pozostając za drzewem:

— Kola!...

Na zapłakanej twarzy syna od razu pojawił się uśmiech. Teraz wiedział, że ojciec jest gdzieś niedaleko.

Jak tylko wyszedłem zza drzewa, rzucił się mi na spotkanie, chwycił mnie rączkami i spojrzął na mnie z wyrzutem. Podałem mu rękę, a on mocno trzymał ją do końca naszego spaceru.

I tak myślałem: przecież tak samo się zdarza i w chrześcijańskim życiu. Gdy

chrześcijanie, interesując się blichtrzem ziemi, tracą obecność Chrystusa. Szczęśliwym jest ten, kto zbłądziwszy, w czas odezwie się do Niego, zawoła Go, aby wyszedł na spotkanie.

I jeżeli ojciec nie pozostawia swoich dzieci bez uwagi, to czy Pan pozostawi tego, kto jest Jego dzieckiem?

Nigdy!

Chrystus rzekł: „Owce moje słuchają głosu mego”. Tak, owce słuchają głosu Pasterza, znają Jego głos i jeżeli w zwykły sposób tracą Go z oczu, wtedy On odzywa się, wychodzi im na spotkanie.

Pewnego razu zapytano mnie: jeżeli owce nie słyszą głosu Pasterza, to co wtedy? Odpowiedź jest prosta: oznacza to, że to nie owce, lecz rogate barany.

Kiedyś, w dzieciństwie, zdarzało mi się paść owce i znam zwyczaje tych szlachetnych zwierząt. Lecz pamiętam też, jak rozrabiały barany. Naprężając karki, rzucały się jeden na drugiego i wydawało się, że z ich łbów sypały się iskry. Barany są okropnie zadziorne. Zdarza się tak, że zaczepiają się rogami i wtedy ciężko jest je rozłączyć.

W trzodzie Chrystusa na równi z cichymi, pokornymi owcami, spotyka się niekiedy też i barany. Jak one znalazły się w trzodzie? Tego nie wiem. W naszym życiu jest dużo niezrozumiałych zjawisk.

## Niebezpieczna filozofia

Dzisiaj o 8 godzinie rano w fabryce, gdzie pracuję, padł trupem kucharz na cementową posadzkę. Miał 49 lat. Nigdy nikomu nie skarżył się na złe zdrowie.

Parę tygodni przed tym wydarzeniem na dziedzińcu tej samej fabryki za kierownicą ciężarówki umarł kierowca. Miał 45 lat.

Przypomniało mi się, że wielki kompozytor rosyjski, Borodin, umarł podczas tańca. Weselił się, tańczył mazurka i padł na wznak martwy.

Przypomniałem błogosławionego męża Bożego I.W. Nieprasza. Odszedł on do wieczności na dworcowej ławce, z otwartą Biblią w rękach.

W różny sposób żyją i w różny sposób ludzie umierają.

Gdy w fabrycznej stołówce powiedziałem mojemu sąsiadowi, że to może zdarzyć się każdemu, on zauważył:

— Chciałbym umrzeć pijany...!

Domyśliłem się dlaczego. Niedawno próbowałem przekonać go, że po śmierci człowiek po- zostaje na wieki w tym stanie ducha, w którym zostaje go śmierć. Bo jak „pijanemu morze do kolan”, to wydaje się mu, że to najlepszy stan przed śmiercią. Niczego nie boi się.

Lecz jest to niebezpieczna filozofia!

## Za miastem

Wiatr szumi w liściach ogromnych eukaliptusów, szumi gniewnie i uporczywie. Nade mną rozpościera się gwiazdne, kalifornijskie niebo, ciche i spokojne. Długo wpatruję się w jasną gwiazdę na zachodzie. Migoce ona błękitnawym światłem, jakby przyzywała do siebie znużonych, skrzywdzonych, rozczarowanych na tej ziemi. Leżę w półotwartym namiocie i nie mogę zasnąć. Przez poruszając się liście prześwieca się róg księżycy. Po ścianach namiotu skaczą dziwaczne cienie chwiejących się drzew. W dali, wolno i natrętnie szczeka pies. Dziecięcym płaczem wtóruje mu sowa.

— Tato, słyszysz muzykę? – zapytuje mnie syn. Leży on ze mną na wąskim, rozkładanym łóżku, ziewa i wzdycha.

— Nie, nie słyszę muzyki.

— Jak to? A szczekanie psa i krzyk sowy? Czy to nie jest muzyka?

— Oczywiście – zgadzam się z synem i myślę: czy nie stąd biorą natchnienie mistrzowie amerykańskiego jazzu?

Świecąc latarką, syn spogląda na zegarek:

— Trzecia godzina – mówi cicho, jakby do siebie i wzdycha.

Wiatr nasilił się. Nad głową trwa zwarty szum. Skrzypią wiekowe drzewa. Niezwykła sytuacja nie daje mi usnąć. W tę noc dużo przemyślałem. Był to mój urlop. Nie obawiałem się, że rano spóźnię się do pracy i dawałem upust moim myślom oraz wspomnieniom. Przypomniały mi się słowa Chrystusa, które powiedział do uczniów: „Odpocznijcie teraz na stronie”. I przyjemnie było wiedzieć, że troszczył się On o odpoczynek Swoich uczniów, troszczy się o każdego z nas.

Ledwie zaczęło świtać cytrynowym światłem, jak syn w milczeniu wstał, szybko nakrył kocem łóżko i cicho rzekł:

— Tato, ja pojedę na ryby. Nie martw się. Do śniadania wrócę.

Prawdopodobnie syn nie spał całą noc, oczekując szczęśliwej chwili, gdy zepchnie łódkę na „Świetliste jezioro” i zaliczy pierwsze branie.

Wiatr prawie nagle ucichł, jakby się przyczaił. W oddali, jakby na skraju ziemi, jęczał nieznaną ptak. W dole, gdzie stał nieduży domek mojego przyjaciela, Amerykanina, rozległy się przygłuszone głosy. Wkrótce zawarczał silnik samochodu. Wędkarze pojechali nad jezioro. Postanowiłem pozostać w namiocie i trochę pospać. Lecz sen nie przychodził. Sprzykrzyło się mi, wyszedłem na zewnątrz, usiadłem na ławce pod budką dla szpaków. Wschód rozpalili się zorzą, jakby tam płonął las. W dole, w wąwozie, świeciła się ciemnoniebieska plama – część dużego jeziora, długiego na 24 mile. Tam warczał już nie jeden silnik i wtedy pomyślałem: nawet tu, na wysokości 2 tys. stóp, nie może człowiek się uwolnić od warkotu samochodów.

Ciesz się porankiem, na drzewach zaszczebiotały ptaki. Czyste, jakby przefiltrowane powietrze odświeżało moją głowę, leczyło bezsenną noc.

Trzeba tu powiedzieć parę słów o Amerykaninie, moim przyjacielu Brisco Krenklu. Parę dni temu zadzwonił do mnie: „Przyjeżdżaj nad jezioro, dość masz roślinności w Sacramento”.

Pierwszy list od Brisco otrzymałem w 1950 roku w Monachium. Nie znałem angielskiego i dałem Niemcowi, żeby przetłumaczył list. List przyszedł z Alamedy,

niedużego miasteczka, blisko San Francisco.

„Dear brother”, drogi bracie – przeczytał Niemiec i dwuznacznie spojrzął na mnie.

— Tańcz, rzekł do mnie prawie rozkazując. – W Ameryce odnalazł się twój brat.

— To niemożliwe – odpowiedziałem. Od brata otrzymałem list z Rosji. Jest on inwalidą wojennym i jest na rencie.

— To znaczy, że to twój drugi brat – upierał się Niemiec.

— Nie mam drugiego brata!

— Zobaczmy, co on dalej pisze – zgodził się Niemiec i od razu zaczął tłumaczyć na niemiecki: „Pozdrawiam cię i twoją rodzinę imieniem Jezusa Chrystusa”.

Od razu zrozumiałem w czym rzecz. Pisał współwynawca.

„...Podczas wojny straciłem dwóch synów. Było to dla mnie dużym doświadczeniem... I oto postanowiłem pomóc Wam przyjechać do USA. Adres otrzymałem ze Związku Kościółów. Ja sam jestem malarzem. Mam dla was pracę, mieszkanie i meble. Jeżeli potrzebna jest jakaś pomoc – piszcie”.

Ten list mnie poruszył. Pisał człowiek, którego nigdy nie znałem. W 1951 roku spotkaliśmy się z nim w jego domu. Prosta, uśmiechnięta twarz, dobrotliwe, jasne oczy z posiwiałymi brwiami, spracowane ręce, znające ciężką pracę – takiego ujrzałem go pierwszy raz.

Lecz powróćmy do przerwanej wątku.

Żona Brisco, starsza z myślącymi oczami, spokojna kobieta, wyszła do mnie na podwórko, zapytała, jak się spało i przysiadła na ławce.

— Wiesz – powiedziała – kto jest bliżej przyrody, ten jest bliżej Boga. Dużo tracą ci ludzie, których pochłania ich biznes i nie znajdują czasu, aby oderwać się od miasta i posłuchać, no, chociażby i tych ptaszków...

Na drzewie, obok budki dla szpaków, wrzaskliwie hałasował ptak.

— Przyroda jest świątynią Bożą – kontynuowała dalej pani Krenkl. Słońce wychodziło zza gór i upiększało niebo w złoto i purpurę. Było cicho i chłodno. Drzewa ledwo poruszały listkami. W dali, naprzeciwko nas, wyłoniły się dwa wypalone przez słońce szczyty. Były podobne do gigantycznego siodła, a drzewa na nich wyglądały, jak zielone plamy. W dole, na zboczu sąsiedniej góry, widniał orzechowy sad. Drzewa były posadzone w równych rzędach, z tego powodu sad podobny był do szachownicy.

Wiele razy marzyłem, aby osiąść w takim głuchym miejscu, aby oddać się całkowicie pracy literackiej, jeżeli nawet ta praca prawie nikomu z emigracji nie jest potrzebna. Istnieje taka potrzeba, żeby opowiadać ludziom o tragedii rosyjskiego uciekacza.

Niezauważalnie minęła godzina i druga. Przyszli nasi wędkarze. Złapane ryby zostawili w łódce. Zjedliśmy szybko śniadanie i wszyscy wybraliśmy się nad jezioro. Po nocnym wietrze było ono niespokojne. Pojawiły się „białe czapy”. Naszą łódź kołysało, rzucało na boki, silnik zgasł i sprawiało nam niemało trudności, aby go ponownie uruchomić. Wiatr zerwał moją czapkę i bezlitośnie rzucił ją w pieniące się fale.

Dotarliśmy do cichej, zasłoniętej zaroślami przed wiatrem zatoczki i dobiliśmy do brzegu. Brania były dobre. Syn wyciągał jedną za drugą nieduże rybki. Niejedną też zaciął i Andrian Nikitin, nasz przyjaciel, utalentowany matematyk, ale z du-

szą prawdziwego poety. Andrian spoglądał na przyrodę, jak na niewiastę. Uśmiechając się, spogląda na bogatą roślinność brzegu, zwięża za okularami oczy i podśpiewuje sobie pod nosem:

„Gdy na ten świat spoglądam, wielki Boże,  
Coś stworzył go wszechmocnym słowem Swym...”.

Jego płowe włosy o miedzianym odcieniu rozwiewał wiatr. Cały oddany jest swojej pieśni i nie zauważa, że jego wędzisko wygina złapaną ryba.

Wieczorem pojechaliśmy wąską, górską drogą w głąb lasu. Nowy chrysler pana Krenkl zawiózł nas tak wysoko, że ogromne jezioro, szerokie 9 mil, wydało się malutkie, jak zabawka. Wysokie, niedostępne dla człowieka sosny, stały dumnie, jak mocarze. Czym wyżej wspinaliśmy się, tym głuchszy, poważniejszy i mroczniejszy stawał się las. Intensywny zapach żywicy przypominał rodzinne lasy brianskie. Oddech jeziora już do nas nie docierał.

Słońce chowało się za oddaloną górę. Cienie stawały się dłuższe. W ciągu godziny byliśmy na jeziorze, na dobrej drodze. Tam z szumem i traskiem rozjeżdżała się we wszystkie strony samochodowa Ameryka. Odczekawszy odpowiedni moment, my też włączyliśmy się w ten niepowstrzymany strumień samochodów. Chwała Bogu, że na naszej ziemi są jeszcze takie miejsca, w których może odpocząć dusza i wznieść się do Niego w modlitwie.

## "Troszcz się o duszę..."

Siedział na ławce, w cieniu gęstego figowca i opierając się na długiej, sękiej łasce, drzemał. Od czasu do czasu podnosił gęste, białe jak len brwi, obojętnie spoglądał na drogę i znowu jego powieki zamykały się w słodkiej drzemce. Jego siwą głowę przykrywała czapka z daszkiem rosyjskiego fasonu, z tyłu głowy ciemniały plamy szarej, pomarszczonej skóry.

Na sąsiednich ławkach siedzieli paru staruszków. Podszedłem do tych, którzy układali pasjansa i zapytałem:

— Kto z was wie, w jakim pokoju mieszka pan W.?

— Kto to jest? – zapytał jeden drugiego. – Wajtrozen? – Białorusin? – To idź do tego młodego. To on tam siedzi na ławce – wymamrotał staruszek żujący tytoń i jednocześnie spluwający pod nogi brunatną śliną.

Tak pierwszy raz zapoznałem się z domem starców, położonym na bulwarze Franklina, za miastem, niedaleko od fabryki, w której pracuję.

Budynek z czerwonej cegły podobny był do szpitala: milcząco świeciły się w ścianach małe okna, a pod oknami zieleń się gęste krzewy dawno przekwitłych bżów.

Syn staruszka – Łotyssa – pracuje ze mną w jednej fabryce. Prosił on mnie, abym odwiedził jego ojca, „pozbawionego rozumu z powodu czytania Biblii”.

— Sprzykrzył się mi i dlatego odwoziłem go do przytułku dla starych. Dowiedz się, jak tam mu jest? – poprosił mnie pewnego razu.

Podszedłem do ławki. Staruszek podniósł głowę, spojrzął na mnie znudzony, prawie bezbarwnymi oczami.

— Dzień dobry, ojcze!

— Skąd pan mnie zna? – zapytał mnie po jakiejś chwili milczenia.

— Ja nie znam pana, ale chcę się zapoznać.

— To dobrze, można – rzekł staruszek i zrobił mi miejsce na ławce. – Dawno nie rozmawiałem po rosyjsku – wygwizdywał słowa. Przeszkadzała mu w mówieniu sztuczna szczęka.

— Cóż ty za jeden? – zapytał staruszek.

Krótko opowiedziałem mu o sobie, przekazałem pozdrowienia od syna.

Przez parę minut staruszek opowiadał o sobie, cicho, z trudem dobierając rosyjskie słowa.

— Tak, mieszkalem w Rosji, uczyłem się tam, techniczną uczelnię skończyłem, pracowałem jako konstruktor, miałem patenty na parę wynalazków, a teraz oto...

Długo milczał, usiłując powiedzieć coś ważnego, lecz nie mógł. Wyciągnął chustkę, spokojnie wytarł oczy i później dodał:

— A teraz oto nikomu nie jestem potrzebny... Nawet synowi. Siedzę tu pod tym drzewem drugi rok, czekam, kiedy Pan weźmie.

Cień, w którym siedzieliśmy, odsunął się w bok, przygrzało słońce, a staruszek, opierając się na lasce, z trudem przestawiając nogi, przeszedł na inną ławkę, nie przerywając rozmowy.

— Tak, przyjacielu, przebiegnie to życie, jak kot za myszą i nie zdążysz zauważyć, co w życiu jest najważniejsze, a gdy zobaczysz, zrozumiesz – nie masz już gdzie żyć. Miałem wszystko: i siłę, i wiedzę, i pieniądze, lecz nie umiałem z tego korzystać. Podczas rewolucji zniszczyli, później Niemcy ograbili, a teraz oto zacząłem Bogiem się bogacić, za późno. Do tego też siła potrzebna, a jej nie ma...

Siedziałem ze staruszką około godziny, opowiadałem mu o swoim życiu, o tym, jak przyszedłem do Boga, a staruszek milczał, zagryzał wargi i słuchał. Zdjął czapkę. Siwe, dosłownie spleśniałe włosy jego włosy, zlepily się z powodu duchooty upalnego dnia. Kiedy powiał lekki, przyjemny wiaterek i zaczęły cicho szeleścić bladezielone, ostre liście eukaliptusów, pod budynek nieoczekiwanie podjechał ambulans i za parę minut dwóch młodzieńców wyniosło na noszach, przykryte prześcieradłem ciało jakiejś staruszki.

Przez parę minut milczeliśmy. Samochód momentalnie odjechał, a staruszek, ścisnąwszy moją dłoń w swojej suchej, zimnej dłoni, powiedział:

— Cieszę się z powodu ciebie, mój młody bracie. Bardzo się cieszę. Tylko jedno powiem: troszcz się o duszę. To jest najważniejsze. Można wszystko stracić i później osiągnąć jeszcze więcej, ale gdy stracisz duszę w bogactwie, jak mój syn, wtedy jest nieszczęście. On teraz nawet drogi do kościoła nie zna. Módl się o niego, mój bracie, módl się...

Wkrótce zadzwonił dzwonek na kolację i staruszek rozstał się ze mną. W bramie oglądałem się: staruszek machał mi czapką rosyjskiego fasonu, a jego siwa głowa świeciła się w promieniach zachodzącego słońca.

## Z przodu – wieczność

Szybko biegnie, a nawet umyka, czas! A razem z czasem umyka nasze życie. Dokąd? W bezkresny ocean wieczności.

Jakże ważne jest, nawet w tym pośpiechu, gdy nie ma czasu przetrzeć okularów, znaleźć czas, żeby przystanąć, oglądnąć się, rozejrzeć, sprawdzić kurs: czy prawidłowy utrzymuję kierunek?

Pamiętam, że był czas, gdy nie mogłem się doczekać ukończenia 18 lat. Dni ciągnęły się wolno, żółwim krokiem. A obecnie jest zupełnie co innego. W tym roku przypomniałem o swoich urodzinach po trzech dniach, a w ubiegłym roku około miesiąc później, po urodzinach. I to jest normalne.

Nie rozumiem: po cóż niektórzy ludzie ukrywają swój wiek? Nikt nie doda nikomu ani jednego dnia, ani nie odejmie.

Wszystkie nasze lata i dni są w rękach Pana.

Psalmista modli się tak: „Naucz nas liczyć dni nasze, abyśmy posiadli mądre serce”.

Profesor J. Lebediew pisał dużo interesujących artykułów o ludziach, którzy boją się nawet rozmów na temat wieku, o zbliżaniu się schyłku życia.

Zadnej mądrości w tym nie widzę.

Ten sam profesor opowiadał, jak w paryskim teatrze kobiety nie chciały zwracać uwagi na obwieszczenie, które głosiło: „Aby nie przeszkadzać siedzącym z tyłu – proszę zdjąć kapelusze!”.

Wtedy dyrektor się zmądrzył. Napisał inne obwieszczenie: „Siedzenie w kapeluszach zaleca się tylko starszym kobietom”.

W tym dniu na sali nie było ani jednej kobiety, siedzącej w kapeluszu.

Ani jedna kobieta nie uważała siebie za staruszkę.

## Miejska jesień

Ostrożnie, prawie niezauważalnie skradała się jesień. Z początku były to suche, popielate liście, spalone przez gorące słońce sierpniowe. Miotał nimi wiatr po zielonej trawie parku, jakby szukał dla nich ukrytego miejsca. Później rankami przedłużały się chłody. Wrześniowe powietrze stało się bardziej sprężyste, cięższe, a po pierwszym, niedużym deszczyku, powietrze nasiąkło zapachami zmęczonej ziemi – a to był już zapach prawdziwej jesieni.

Szkolne place wypełniły się szkolną działwą, zamknięto baseny kąpielowe, właściciele domów częściej mówią o zapłacie miejskiego podatku, a to wszystko oznacza, że lato minęło. Przyjdzie nowe lato, lato nowego roku, lecz i po nim przyjdzie jesień z tymi samymi oznakami.

W tym kołowrocie czasu najlepsze jest to, że nikt z nas nie zna swojego jutra. „Wiem, Panie, że droga człowieka nie od niego zależy i że nikt, gdy idzie sam, nie kieruje swoim krokiem” – rzekł kiedyś prorok Jeremiasz. Tak zbudowany jest człowiek. Jego wola podporządkowana jest jednemu lub drugiemu panu. I jakże jest on szczęśliwy, gdy tym panem jest jego Stwórca.

Przypomniały mi się też inne słowa proroka Jeremiasza: „Przeminęło żniwo, skończyło się lato, a nie jesteście my wybawieni!”.

## Szczyście Józefa Katzmana

Wiele lat temu, w 1816 roku, na głównej ulicy Londynu stał piękny czteropiętrowy budynek z szyldem: „Bank of Mayer Rotshild”.

Cały ówczesny świat znał Rotshilda, finansowego magnata. Londyńscy kupcy nazywali go „złotym workiem”. Gdy Rotshild pojawiał się rano na ulicy, kupcy z daleka zdejmowali przed nim czarne, filcowe kapelusze i przymilnie się uśmiechali.

— Good morning, sir...!

Ten, komu Rotshild spotykając uściśnął rękę, chodził w poważaniu w miejscowym towarzystwie.

W tym czasie wielu przedsiębiorczych, młodych Żydów, przyjeżdżało do Londynu, aby wzbogacić się na handlu wełnianymi tkaninami. Szukali oni pokrewieństwa i wsparcia Rotshilda. Szukali i wielu znajdowało.

Niejednen wzbogacony kupiec później mówił:

— Rotshild – mój ojczulek, dobrodziej. On oczyścił mi drogę i pomógł stanąć na nogi. Niech mu Bóg da zdrowie...!

Józef, starszy syn warszawskiego kupca kolonialnego Katzmana, pewnego razu w kłótni rzucił ojcu bolesne słowa:

— Nie chcę wachać twojej nafty i dziegiu! Nie chcę handlować zapałkami...!

W tym dniu opuścił on dom.

Odszedł i nie wrócił.

Tej samej wiosny Józef Katzman pojawił się w Londynie pod drzwiami banku Rotshilda. Następnego dnia Rotshild przyjął Katzmana, słuchał go życzliwie opusciwszy posiwiałą głowę. Józef prosił o pożyczkę.

— Tym razem nie mogę panu pomóc. Bardzo dużo przychodzi teraz takich do mnie – rzekł Rotshild.

W dużych, ciemnych oczach Józefa zajaśniały isierki łez.

Bankier zauważył to i jakby mięknąc, zapytał:

— Dlaczego przyszedłeś do mnie prosić o pożyczkę? Są przecież inne banki...

— Jeszcze w Polsce słyszałem, że pan wszystkim pomaga stanąć na nogi. Jest pan dobry, szlachetny... Pana cały Londyn, cały świat zna...

— Nie mogę – powtórzył Rotshild i zagłębił się w swoje papiery.

Józef postął pod drzwiami i skierował się do wyjścia.

— Dokąd ty pójdziesz? – zapytał go Rotshild, nagle dobrzejąc.

— Nie wiem...

— Dobrze, młodzieńcze, przejdę się z tobą do mostu – rzekł magnat.

Rotshild wziął Józefa pod rękę i wyszedł na gwarną ulicę. Po długiej, gęstej mgłę, w Londynie zrobiła się dobra, słoneczna pogoda. Pod nogami gruchały gołębie. Od Tamizy wiał przyjemny, wilgotny wiatr.

Kupcy wyglądali z okien swoich budek. Każdy chciał widzieć, z kim idzie wielki Rotshild, po przyjacielsku rozmawiając.

— Na pewno przyjechał jego krewny – myśleli kupcy.

Ktoś zatrzymał powóz, proponując podwiezienie, lecz Rotshild odmówił. Przeszedł z Józefem przez most, życzył mu wszystkiego najlepszego i na pożegnanie

dodał:

— Teraz, młody przyjacielu, możesz na tej ulicy zejść do każdego kupca i brać towar na kredyt. Nikt tu tobie nie odmówi.

Józef nisko się kłaniał, zdjęwszy kapelusz. Rotshild zatrzymał dorożkę i wrócił do swojego banku.

Tego samego dnia Józef zaszedł do pierwszego kupca, do dużego biura. Na spotkanie wy- szedł mu rudawy kupiec z pulchnymi, jak u kobiety rękoma, uklonił się i zapytał:

— Co pan sobie życzy, sir?

— Potrzeba mi 5 tysięcy jardów wełnianej tkaniny. Rozumie się, na kredyt...

Rudy kupiec szeroko się uśmiechnął.

— Tylko 5 tysięcy? Więcej pan nie chce?

— Na pierwszy raz starczy, a później zobaczymy – wchodząc w rolę człowieka interesu, odpowiedział Katzman.

— Dobrze. Oto wzory. Proszę wybierać, a jutro podpisze pan papiery.

Józef energicznie uściśnął pulchną rękę kupca i wyszedł na ulicę zadowolony i szczęśliwy.

Słuchając tego prawdziwego opowiadania z ust mojego brata w wierze J.F. Prigodicza, myślałem, jak dobrze jest mieć za przyjaciela mocnego, mądrego, bogatego człowieka!

O ileż jest lepiej być przyjacielem Tego, który trzyma w rękach cały świat, cały wszechświat.

I jest to możliwe.

Chrystus rzekł Swoim naśladowcom: „Jesteście przyjaciółmi moimi, jeśli czynić będziecie, co wam przykazuję”.

## **Zanim nie jest za późno...**

Kiedyś zjechałem do znajomych, żeby zaprosić ich na święto chóru, organizowane przez nasz zbór w Sacramento.

Wzburzone twarze małżonków pałały gniewem.

— Zachodź, zachodź, zapraszał mnie mąż. – Nie krępuj się.

— Zamknij swoją jadaczkę! – wykrzyknęła żona z sypialni i trzasnęła drzwiami. – Nie usprawiedliwiał się.

Parę minut później weszła do pokoju gościnnego. Zaczęła się wymiana obelg. Nie mogłem powstrzymać ich kłótni.

Żona krzyczała do męża:

— Nie wybaczę ci niczego do samej śmierci...

Odprowadzając mnie, mąż smutno patrzył w ziemię...

— Radziłbym panu milczeć, nie usprawiedliwiać się przed żoną, gdy ona jest w gniewie – radziłem.

— W tym też i bieda, że gdy milczę, ona wtedy jeszcze bardziej się złości – odpowiedział mąż i podrapał się za uchem. Później opowiedział mi historię męża i żony, którzy żyli w niezgodzie, z powodu czego dochodziło do awantur. Lecz, gdy mąż umarł, żona zawsze się chwaliła:

— Dobrego miałam męża. Ustępliwego...

Po śmierci ludzie widzą innych w innym świetle.

Już nie pamiętam, kto opowiadał mi o dwóch siostrach, które pogniewały się o poduszki przy podziale majątku zmarłej matki. Wkrótce jedna z nich zachorowała i była bliska śmierci. Gdy przyszedł pastor, aby siostry pojednać, chora rzekła:

— Jeżeli rzeczywiście umrę, to przebaczam jej, lecz jeżeli pozostanę przy życiu – nie przebaczę...

I umarła.

Chrystus zaś powiedział tak: „Pogódź się rychło z przeciwnikiem swoim, póki jesteś z nim w drodze” (Mat.5:25).

Innymi słowy: „Pojednaj się, zanim nie jest za późno”.

## Misjonarskie pole

Ten przypadek przydarzył się głosicielowi ewangelii. Będąc w Kanadzie, opowiadał:

„Gdy zostałem aresztowany za religijną aktywność, wtedy upadłem na duchu. Pozbawiono mnie tego, czemu poświęciłem całe moje życie. A gdy po pierwszym przesłuchaniu doprowadzono mnie do celi, w której siedziało 100 osób, od razu zrozumiałem, dlaczego znalazłem się w więzieniu. Przed snem, tak się modliłem: Panie, jakże ciężko było mi zebrać ludzi, aby głosić im Twoją ewangelię. A teraz nie muszę zbierać ludzi. Oni są już zebrani. Uczyń mnie błogosławieństwem dla nich...

— I cóż myślicie – kontynuował dalej kaznodzieja – Pan wysłuchał modlitwę. Z celi odchodzili i przychodzili nowi ludzie. Przez krótki czas przez moje świadectwo uwierzyło w Chrystusa 40 dusz. Uczyłem ich śpiewać pieśni, modlić się. Strażnicy nieraz stukali w drzwi:

— Milczeć...!

W końcu kierownictwo dowiedziało się, co zaszło w celi i przeniesiono mnie do kryminalistów. A w tym czasie wierzący złożyli się na paczkę dla mnie: suchary, bielizna, cukier. Gdy wszedłem do celi, oczy kryminalistów przeszywały mnie na wylot. Zrobiłem parę kroków, położyłem swoją torbę na podłodze i zwróciwszy się do wszystkich, powiedziałem:

— Bracia, dzisiaj otrzymałem paczkę. Może wśród was są potrzebujący? Rozdzielcie...

Wysoki, ponury młodzieniec, zapewne starszy, podszedł do mnie, w milczeniu wziął moją torbę i rozdzielił paczkę równo pomiędzy wszystkich, włącznie ze mną:

— Weź, to jest twoja część – rzekł do mnie, podając pustą torbę.

W celi trafiło mi się miejsce przy kiblu, lecz starszy zaraz powiedział:

— Dla dobrych ludzi mamy dobre miejsce. A przy okazji, powiedz, za co przemieśli ciebie do nas?

— W 44 celi nauczyłem ludzi modlić się do Boga, a kierownictwu to nie spodobało się. Przenieśli mnie do was...

Starszy się uśmiechnął, mrugnął do swoich kolegów i powiedział:

— Dobrze! Teraz nas naucz modlić się do Boga...

Więzienie stało się dla mnie misyjnym polem. Przyznaję, że bardzo żałowałem, gdy po miesiącu wypuścili mnie...”.

## Zakamarki pamięci

Jeden z moich braci w wierze, Trientij Szeliuk, opowiadał kiedyś epizod ze swojego dzieciństwa. Jest on na tyle pouczający, że postanowiłem opowiedzieć go innym.

„Pamiętam, jakby to było wczoraj. Paśliśmy konie na ugorze. Było nas paru wiejskich chłopców. Przyszedł czas obiadu. Każdy otworzył swoją torbę, w której był chleb i kawałeczek słoniny. Słoninę lubiliśmy podpiekać nad ogniskiem, nabijając ją na kij.

Był z nami jeden przyjezdny chłopak. On też otworzył swoją torebkę, a w niej był pieróg z jagodowym nadzieniem. Patrzymy na niego, a nasza słonina się topi. Spróbować się chce.

Chłopak wziął pieróg w ręce i zaczął się modlić: „Panie, dziękuję Ci za ten pieróg i za mamę, która go upiekła. Błogosław nas...”.

Chłopiec ostrożnie rozłamał pieroga na parę części i podał każdemu z nas. Pieróg był niezwykle smaczny i jeszcze teraz pamiętam jego zapach. Lecz najważniejsze nie w tym. Modlitwa tego chłopca wywarła na mnie taki wpływ, że od razu przestałem bluźgać nie- przyzwoitymi słowami, zaprzyjaźniłem się z tym chłopcem, a później dowiedziałem się od niego, że jest taka księga, która nazywa się Biblia i że w tej księdze jest napisane, jak należy wierzyć w Boga i jak należy żyć.

Był to pierwszy bodziec do poszukiwania Prawdy, która objawiła się mi wiele lat później w Kanadzie”.

Tak, mamy wszyscy zakamarki pamięci, lecz nie każdy tam zagląda.

## Ręce mistrza

Wiosną 1941 roku oglądałem film „Paganini”.

Film wywarł na mnie duże wrażenie. Niektóre kadry tego interesującego filmu pamiętam do tej pory.

Gdzieś na przedmieściach Londynu, w małej budce handlarza starzyzną zebrali się ludzie na licytację. Antykwareusz przywiózł stare, zniszczone skrzypce. Zwracając się do tłumu, powiedział:

— Te skrzypce zostały zrobione rękami Stradivariego...

W tłumie podśmiewano się. Nikt nie wierzył, że te brudne skrzypce, długo leżące gdzieś w piwnicy, zostały zrobione przez wielkiego mistrza. Na nich nie było nazwiska Stradivariego.

Antykwareusz próbował wyjaśnić, że wielki mistrz nie na każdym instrumencie umieszczał swoje nazwisko. Lecz to nie pomogło. Publiczność pozostawała obojętna.

Ktoś powiedział:

— Pięć gwinei. Nie więcej!

W tym czasie wszedł człowiek z ulicy, w średnim wieku, w aksamitnej kurtce. Był czarnowłosy i szczupły. Podszedł do podestu, wziął skrzypce i zaczął uważnie oglądać. Ostrożnie wytarł chustką kurz, naciągnął struny, nastroił skrzypce i

jak tylko jego smyczek dotknął się strun, w tłumie rozległy się głosy:

— Paganini...! Paganini...!

Mroczną budę wypełniły cudowne dźwięki i wydawało się, że zrobiło się w niej jaśniej.

Grał genialny muzyk.

Ludziom zaparło dech. Niektórzy mężczyźni zdjęli czapki. Jedni płakali, inni śmiali się z radości.

Jak tylko Paganini skończył grać, z tłumu rozległy się głosy:

— 50 gwinei!

— 60 gwinei!

Paganini kupił te skrzypce za 100 gwinei i w ten sam wieczór zagrał na tych skrzypcach koncert.

Sukces był przytłaczający.

Zawsze przypominają się mi kadry tego filmu, gdy spotykam ludzi, w przeszłości niczym nie wyróżniających się, a obecnie dokonujących wielkiego dzieła, głosząc Ewangelię.

Niebiański Mistrz czyni z duszą człowieka cuda. W przeszłości brudna, nikomu niepotrzebna dusza, odradza się ku nowemu życiu, jak tylko dotknie ją Chrystus. Oczyszcza On ją, nastraja, doprowadza do porządku i zaczyna posługiwać się nią.

Ileż „skrzypiec” z porwanymi strunami przyszło do „niebiańskiej orkiestry”?!  
Ja znam takich i dlatego ciesząc się, nie mogę nie wykrzyknąć:

Dotknęły się duszy  
Ciepłe promienie,  
Znikły wnet  
Z pół nocne cienie.  
O, niech dusza moja,  
jak skrzypce, zabrzmi  
W rękach wielkiego  
Mistrza Wszechświata!

## W innym świetle

Dzisiaj chcę napisać parę słów o marności ludzkiego życia. Jeśli ktoś powie, że to jest stary temat, odpowiem: Nie ma takiego starego tematu, na który nie można byłoby powiedzieć czegoś nowego.

Prawda zawsze pozostaje prawdą, lecz możemy ją widzieć z różnych stron i w innym świetle.

W jednym świetle – potrzebna jest nam religia. Prześladowanie religii jest przestępstwem.

To jest prawda.

W innym świetle, religia bez ducha – to śmierć, jest to opium: człowiek przyzwyczajony do niej, jak do tytoniu i staje się jej niewolnikiem.

Znam wielu religiantów, suchych jak suchary i okrutnych, jak „święci inkwizytorzy”.

To też jest prawda.

Kiedys P.I. Rogozin opowiadał: „Zaprosiłem telefonicznie znajomego do zboru, a on odpowiada:

— Nie mogę, nie mogę... Sprawy nie cierpiące zwłoki. No, w żaden sposób...

— Mówię mu: „Przyjechał do nas z Argentyny człowiek, kaznodzieja...”.

— Nie, proszę mi wierzyć, dzisiaj nie mogę – wzbraniał się.

— A ten człowiek przywiózł z Argentyny dla pana od pańskiego przyjaciela jakąś rzecz...

— O, tak? W takim razie przyjadę dzisiaj do was. Kiedy się rozpoczyna? – radosnym głosem zapytał znajomy”.

Gorączkowość ziemskiego życia pochłania wielu ludzi do końca. Są oni biedni, ogrodzili swoje domy wysokimi ogrodzeniami, myśląc znaleźć tam szczęście. Zapomnieli oni, że Bóg dał nam życie dla wiecznych celów i że ich martwa religijność jest pustym, nikomu niepotrzebnym, bezużytecznym zajęciem.

Bez przemiany serca religijność nie jest warta złamanego grosza. Taka religijność zaciemnia tylko umysł i czyni człowieka kaleką: ani chrześcijanin, ani bezbożnik.

## **Człowiek – to jego dusza**

Wielu ludzi oświadcza:

— Dusza? To niemożliwe! Umarł człowiek, przysypali go w grobie ziemią i cała historia...

— Dlaczego pan nie wierzy w życie pozagrobowe? – zapytałem kiedyś pewnego znajomego.

Spojrzał na mnie i odpowiedział:

— Nie wierzę w życie po śmierci, gdyż go nikt nigdy nie widział.

Ta odpowiedź od razu przypomniała mi „List do uczonego sąsiada” A.P. Czechowa, odnośnie życia na księżycu. „Mędrzec” Czechowa pisał tak:

„Gdyby ludzie żyli na księżycu, to spadaliby na ziemię, a to się nie zdarza. Nieczystości i pomyje sypałyby się na nasze mateczniki z zamieszkałego księżycyca. A w ogóle księżyc istnieje tylko nocą, a w dzień on znika...”.

Tak, możliwe, że na księżycu nie ma życia, lecz życie po śmierci, życie ducha istnieje. Człowiek – to nie tylko ciało i krew. Człowiek – to przede wszystkim jego dusza, jego duch, które nie ulegają prawu rozkładu. W tej płaszczyźnie człowiek jest nieśmiertelny: I święci, i grzesznicy.

Kto umieścił swoją duszę w Chrystusie, ten będzie z Nim też w wieczności.

## **"Skomplikowana kombinacja"**

Suche, dosłownie przypalone powietrze bucha w okno samochodu. Z przodu, na horyzoncie, widnieje mieniąca się w różnokolorowych lampkach kupał stonowego budynku. Rozłożyło się tam Sacramento – miasto sadów i parków. Promienie reflektorów przeszukują niebo. Wskazują one, w jakiej części miasta hałasuje stanowa wystawa.

Wkrótce wystrzelą tam rakiety, rozbryzną się na boki migoczącymi ogniami i... zgasną, jak gaśnie nasze życie ziemskie.

Jedno uspokaja, nawet cieszy: gasnąc na ziemi, nasze życie rozkwita dla wieczności.

Oczywiście tych, którzy narodzeni są z Ducha.

Samochód został naprawiony i po 30 minutach znowu jechałem przez ten sam most. Na drugim jego końcu migaly czerwone sygnały policyjne. Jeden z nich zmiatał miotłą rozbite szkła. Wydarzył się tam wypadek. Poszkodowanych już odwieziono. Być może ktoś został zabity, być może ktoś został ranny...

I tak myślałem:

Czy nie mogło tak się zdarzyć, iż Bóg dopuścił, aby ktoś przerwał przewód kondensatora, żeby zatrzymać mnie i tym samym uchronić od tragedii, od nie-szczęścia?

Tak, życie jest skomplikowaną kombinacją. I nie nam, śmiertelnym, ją rozstrzygać, rozszyfrowywać.

Dzisiaj, w poniedziałek, gazety wydrukowały oficjalne oświadczenie, że na drogach Ameryki w czasie trzech dni świąt zostały zabite w wypadkach samochodowych 663 osoby. I jest to, mówią, porównawczo mało!

Od ostatecznego rozwiązania może nas dzielić tylko jeden krok.

Oto, na przykład, jechałem wczoraj do San Francisco.

Nieoczekiwanie przy podjeździe na most „Golden Gate” mój samochód zaczął szarpać, a później zupełnie zgasł.

— Jakaś próba? – trapiła się żona. – Przecież wczoraj za remont silnika zapłaciliśmy 28 dolarów.

Otworzyłem dystrybutor, a tam wśród złączy, przy samym kondensatorze, zauważyłem oberwany przewód.

Kto mógł odłączyć ten przewód w takim miejscu, w którym jest trudny dostęp? – zapytywałem siebie i nie mogłem znaleźć odpowiedzi.

I oto za moimi plecami rozległ się władczy głos:

— Sir, tu nie miejsce na remont samochodu. Proszę wsiadać do samochodu, spuścić hamulec, ustawić biegi w neutralnej pozycji. Podholuję pana do garażu swoim samochodem.

Musiałem się zgodzić.

Zawyła syrena. Duża, żółta ciężarówka ciągnęła mój samochód w przeciwnym kierunku ruchu na drodze. Dzieci się cieszyły:

— Tato, za 5 dolarów wiozą nas z syreną.

— Źle, że wiozą w przeciwną stronę – zauważyłem.

Naprawa była skończona po paru minutach. Wracając do San Francisco ujrzeliśmy w pobliżu tego miejsca, z którego odwieziono nas w przeciwną stronę, dwa samochody policyjne.

Dwadzieścia minut temu wydarzył się tu wypadek. Ambulans odwiózł rannych. Policjant zmiatał z drogi rozbite szkło.

— Tak – pomyślałem – prawdopodobnie nie na próżno ktoś zatrzymał mnie na pół godziny.

Życie jest skomplikowaną kombinacją.

Wieczorem wracałem do domu. Na przeciw ciągnęły się nieprzerwane trzy linie światła. To samochody wracały do domu, do Oakland i San Francisco. Wolny

dzień ludzie spędzili na łonie przyrody, a teraz wszyscy śpieszą do miasta. Trzy linie światła rozciągnęły się na 90 mil. Wydawało się, że samochodom nie było końca ani miary.

Żona, obserwując ten mało pocieszający obraz, w zamyśleniu powiedziała:

— Nie daj Boże, zacznie się wojna lub jakieś inne nieszczęście. Wtedy od razu podnoś ręce do nieba i mów: Boże, weź nas stąd takich, jacy jesteśmy. Z miasta i tak nie wydostaniesz się...

Życie jest skomplikowaną kombinacją. Odgadywać jej nie ma sensu: i tak nie odgadniesz. Lepiej bez mędrkowania powierzyć się Temu, który Sam o Sobie powiedział:

— Ja jestem żywot.

„Życie jest skomplikowaną kombinacją” – mówił któryś ze współczesnych mędrków. Spojrzysz wokół, obejrzyj się za siebie, spokojnie pomyślisz i głęboko westchnąwszy, powiesz słowami przysłowia:

— Tak, życie przeżyć – to nie pole przeżyć.

I w tym życiu Ktoś nam niewidocznie towarzyszy, Ktoś pomaga.

## **Strażnik**

Pewnego razu otrzymałem dwa listy od Fiedora Cigala. Na 20 stronach wyłożył bolesne problemy chrześcijaństwa, skarżył się na swoją samotność i nudę. Przytaczał cytaty z Schopenhauera i L. Tolstoja, wskazywał na przykazania Chrystusa, Kriszny, Zaratustry i wzywał mnie do odwiedzenia go „w celu rozstrzygnięcia problemu świata”.

I oto jestem w mieście Stakton, szukam nie zaznaczonego na mapie miejsca, zatrzymuję się na stacjach benzynowych.

Na peryferiach miasta, za kanałem, między wypalonymi przez słońce wzgórzami, znalazłem na skrzynce pocztowej potrzebny mi adres. W szeroko otwartej bramie siedział na suchym pniu staruszek w czarnym, starym garniturze. Biała, odstająca bródka na drobnej twarzy, uważne, mądre oczy staruszka przypominały mi pisarza Michała Priszwina.

Obok staruszka na skrzynce leżała otwarta książka Mery Baker Eddy „Nauka i religia”, a także pożółkłe numery naszej gazety, pokreślonej czerwonym ołówkiem wzdłuż i w poprzek.

Staruszek podniósł oczy i ujrawszy mnie obok siebie, rzeško, po wojskowemu zerwał się, podał mi suchą, małą dłoń.

Wymieniłem swoje nazwisko.

— Rad, rad jestem poznać pana – powtórzył staruszek. – Proszę usiąść o tu, na skrzynce... Nie mam dokąd zaprowadzić pana, tu porozmawiamy.

Wiatr przyniósł z nad kanału zapach dzikiej trawy i trzciny. Obok nas gorączkowo fruwały wróble.

— A ja myślałem, że pańska broda większa od mojej, a pan, okazuje się, moim synem może być... A broda panu potrzebna, bez brody do rajy Pan nikogo nie wpuści...

Przez trzy godziny rozmawialiśmy o zagadnieniach wiary i zbawienia.

Fiedor Warfołomiejewicz odchodził od osobistych ku powszechnym problemom. Interesowały go pytania, jak wykarmić Indie, zakończyć wietnamską wojnę, związać Mao i za każdym razem, gdy pytałem się go o niego samego, unikał odpowiedzi, żartował.

— Ot widzisz, mieszkam na śmietniku jako odludek. Niewygodnie, ale wesoło. Mieszkają ze mną jeszcze dwa takie cudaki...

— Ile otrzymuje pan emerytury? – zapytałem staruszka.

— Przypuśćmy, że 120 dolarów. A co?

— Może pan mieszkać lepiej, bliżej swoich ludzi.

— Ja uciekłem od tych swoich ludzi, a pan namawia mnie do nich – burknął staruszek.

W promieniach zachodzącego słońca na drodze błyszczało rozbite szkło. W powietrzu unosił się zapach spalenizny. I chociaż wysypisko śmieci dawno zostało przeniesione w inne miejsce, to gdzieś pod ziemią ciągle jeszcze gnily i rozkładały się odpadki.

— Ot, widzisz te wzgórza? – podekscytowana rzekł staruszek. – Pochowali tu rzeczy na

250 tysięcy. Wyrzucali, łamali, palili, a biednym ludziom nie dawali. Oto i masz chrześcijaństwo! Ja nie rozumiem tego.

Fiedor Warfołomiejewicz mieszkał w małej budce, chowając się przed ludźmi. Dniem i nocą myślał, jak zwyciężyć demony, które napelnily ten świat po brzegi.

— Ja, wiesz, jak strażnik... Był pan w wojsku? – zapytuje mnie Cigał.

— Byłem – mówię. – I strażnikiem byłem.

— Tak też, znaczy, i ja: byłem u mołokanów, żyłem wśród wiercipiętów, żyłem przy „nowo objawionym Chrystusie Krisznie”, pisałem listy do Robertsa, Billy Grahama, Trumana i Chruszczowa – wszędzie kłamstwo. Przysłuchujesz się, przysłuchujesz się, a prawdy nie ma. Ukradli prawdę...

Staruszek się uśmiechnął.

— Miałem malutkie oszczędności, ale zabrał je Kriszna. Tak, ja nie żałuję. Żał tylko jednego: Bożej prawdy nigdzie nie ma... – A pan modli się do Boga? – zapytałem.

— Ile chcesz, ale cóż z tego? Świata nie zmienisz...

— My, każdy z osobna, powinniśmy się zmienić. Na lepsze. Być bliżej Boga – wtrąciłem swoje słowa, lecz staruszek kontynuował:

— Nie, ja doszedłem do wniosku: prawdy nie ma, nie było i nie będzie. Cały świat leży w ziemi.

— Ten wniosek został zapisany w Piśmie Świętym dwa tysiące lat temu – zauważyłem.

Już ściemniło się, gdy pożegnałem się z poszukiwaczem Bożej prawdy.

— Proszę modlić się o mnie. Zaplątałem się w tych religiach, jak w lesie – mówi Cigał, machając mi swoim kapeluszem.

Odszedł z bramy do swojej chałupy, świecąc w mroku srebrną, piękną bródką.

## Obok nas

Zjednoczone Stany Ameryki i Meksyk są sąsiadami. Wstyd jest mieszkać obok i nie wiedzieć, co się dzieje u sąsiada na podwórku, czym on żyje, tym bardziej, że na ziemi jednego z sąsiadów – w Meksyku – istnieje dziecięcy przytułek, któremu niekiedy pomagają nasi wierzący.

I oto jestem w drodze do Meksyku.

Z Los Angeles wyjechaliśmy wcześniej rano. Trzymamy kurs na San Diego. Stąd do meksykańskiej ziemi jest 15 mil.

Po bokach szerokiej drogi migają zielone wzgórza. Jedno po drugim mijamy malutkie miasteczka. Z daleka wyglądają, jak zabaweczki: czyste, proste ulice, różnokolorowe domki upiękzone sadami. I raduje się serce, gdy patrzy się na coś nowego: nowe drogi, nowe mosty i przejazdy, nowe restauracje i hotele, nowe elektrownie i ogromne, stalowe słupy z naciągniętymi przewodami przesyłowymi.

Są to Stany Zjednoczone. Niepowstrzymane i ciągle odnowienie – ich charakterystyczna cecha.

Do San Diego pozostało 30 mil. Brzeg oceanu jest prawie obok. Po niebie płyną obłoki, prześcigając jeden drugiego, a gdzieś tam, nad Fresno i Sacramento, wisi błękitne bez jednej chmurki, gorące, suche niebo.

Nagle w otwarte okno wdarł się odpychający zapach zgnitych wodorostów. Zamknąłem okno samochodu, lecz to nie pomogło. Obok widniało jezioro, z którego prawdopodobnie nie było odpływu wody.

Dokładnie tak samo zdarza się i w życiu – pomyślałem. Gdy dusza gotuje się we własnym sosie, nie mając łączności ze źródłem żywej wody – tam panoszy się zapach śmierci. I przeciwnie: gdzie w działaniu jest proces odnowienia, gdzie nie jest utracona łączność ze źródłem życia – tam jest świeżość, przyjemny zapach, samo życie.

Na wzgórzach, nieopodal drogi, widnieją ogromne maszty radiowe. Na jednym ze wzgórz, blisko San Clement, stoi biały krzyż – symbol Chrystusowej miłości i odpuszczenia.

San Diego, jak i inne duże miasta Ameryki, ma dużo przedmieść. Ludzie wydzierają zatokom ziemię, przegradzając je nasypami, budują plaże, restauracje, motele, lotniska.

I my przejeżdżamy obok lotniska. Dwa odrzutowe samoloty tylko co wzbily się i lecą prawie razem z prędkością ponad dźwiękową. Manewrują nad zatoką, pozostawiając za sobą dziwaczne figury – cztery smugi białego dymu.

Przy nabrzeżu stoją wojenne okręty przymocowane długimi cumami, widoczne są dźwigi giganty i inne urządzenia.

Jeszcze pół godziny i oto ona, meksykańska ziemia: szare i nudne wzgórza, porośnięte wątląm, żółtawym gąszczem.

Miasto Tijuana (Ciocia Huana) – jest zakurzonym i brudnym miastem. Całe jest obwieszane reklamami na amerykański styl. To wszystko, co zostało wzięte z USA. A razem z główną ulicą ciągną się ubogie, wąskie zaułki, wypełnione po brzegi pudełkami, w których mieszkają biedni ludzie.

Na tych ulicach nie widać ani jednego drzewka, ani jednego krzewu, ani jed-

nego kwiatka.

Chatki, zbudowane ze starych skrzynek, podobne są szybciej do kurników. Wokół takich chatek grzebią się w ziemi małe dzieci, coś tam krzyczą, płaczą, kłócą się, biją się i za-raz się godzą.

Mój towarzysz, Leonid Stiepanowicz Płużnik, dużo razy będący w tych stro-  
nach, opowiada:

— Tragedia... Po prostu tragedia. Większość tych dzieci żyje tylko z matką, bez ojców.

— Gdzie są ich ojcowie? – się pytam.

— Ojcowie? Nie wiem, czy tych pijaków można nazwać ojcami? Znajdują oni młode kobiety, porzucają rodziny, rzucają swoje żony. Nawet w dwójkę ciężko jest wykarmić dzieci, a teraz są one na głowie matki i prawdopodobnie żyją z że-  
braniny.

Patrząc na zaulki i przypominam moją ojczyznę z trzydziestych lat. Przecież tam obory i stajnie wyglądały o wiele lepiej niż pomieszczenia tych ludzi. Skręcili-  
śmy ku oceanowi. Przed nami rozpostarła się bezmierna, błękitna powierzchnia. Na horyzoncie kołyszają się dwa nieduże stateczki, zapewne rybackie. Równomier-  
nie i głucho uderza o brzegowe skały pienista fala.

I oto tu, na tym brzegu, widzę wielki budynek. Jest to restauracja dla bogatych  
turystów. Szyby ogromnych okien uśmiechają się do morza i słońca, migocą róż-  
nokolorowe kapelusiki szikownych kobiet, a przy podjeździe stoją rzędy samo-  
chodów, najdroższych i najnowszych marek.

Biedni Meksykanie muszą dziwnie się czuć, przykro i smutno, gdy patrzą na  
tę restaurację. Przecież ich budy są prawie obok. I nie dziwi to, że propagandyści  
socjalizmu mają sukcesy w rozpowszechnianiu swoich idei nie tylko w Indii i w  
Afryce, lecz nawet w samej Ameryce.

Pogarda i nienawiść kipi w oczach tych biednych i nieszczęśliwych dzieci, gdy  
one są głodne, gdy nie mają w co się ubrać, a ich ojciec – pijany rozpustnik, przy-  
chodzi do swojej klatki po to, żeby zbić matkę, gdyż nie ma ona nic na obiad.

Jest to zabójczo okropne, że budki z alkoholem są otwarte w Tijuanie całą  
dobę. Co można powiedzieć o ludziach, którzy kierują tym dziwnym i strasznym  
miastem?

Co czyni, że Stany Zjednoczone są bogate? Prawidłowy stosunek do życia,  
szacunek do pracy, swoboda osobistej inicjatywy. To dlaczego te cechy nie są  
przyjmowane przez sąsiedni naród? W pierwszej kolejności potrzebna jest mu  
ewangelia, nie religia (tam dużo jest religii). Ewangelia, objawiająca ludziom odro-  
dzenie duszy i zbawienie.

Skręciliśmy w inną ulicę. Jeżdżą tu samochody z numerami różnych stanów  
amerykańskich. Tania jest tu benzyna, tanie wino i kobiety, tu ludzie pożądliwie  
pochłaniają wszelkie zło, piją grzeszną truciznę, spędzają czas na grach, pijań-  
stwie, rzucając pod nogi nędzarzom centy z wieloznacznym napisem: „My wierzy-  
my w Boga”.

Centralny plac tego miasta, dosłownie dziura, zanieczyszczony pijanym, wę-  
drującymi ludźmi, i nad tym też placem wznosi się kopuła katolickiej katedry. Ze-  
wsząd bił w nozdrza ostry zapach meksykańskich przypraw.

Było to w czwartek przed Wielkanocą. Ciężkie drzwi świątyni były całkowicie  
otwarte i na gwałną ulicę dochodził baryton kapłana:

— Gloria Maryja, Gloria...!

Z Tijuany do Ensenady jest 65 mil. Są dwie drogi: stara i nowa. Nowa droga jest płatna: już po trzech milach zapłaciliśmy 60 centów, później znowu 80 centów i już niedaleko od Ensenady – jeszcze jednego dolara.

W tym przypadku meksykański rząd wziął przykład od Amerykanów, lecz ten przykład miał za cel bicie po kieszeni turystów. Inni korzystają ze starej, bezpłatnej drogi. Przed nami idą piesi, niektórzy bosi, z tobołkami na ramionach. Na ich zmęczonych twarzach odbił się cały ciężar życia.

Ziemia wokół biedna, piaszczysta, kamienista. Na kawałeczkach przydatnej ziemi pasą się konie. Z prawej strony – pustynny, nie ogarnięty wzrokiem ocean. Z lewej – łyse od wiatru i słońca wzgórza.

Obok drogi spotyka się nieduże osiedla. Wstyd je nazwać miastami. Są to takie same kordony-chałupki, jak i w Tijuanie. Dużo ich spotkaliśmy po drodze, ale nie widzieliśmy ani jednej szkoły, ani jednego szpitala, lecz za to na brzegu oceanu często spotykaliśmy tak zwane „trayler parks” – domy na kołach. Mieszkają w nich głównie amerykańscy emeryci, zmęczeni gwarem i krzątaniną miejskiego życia. Przed nimi, jak na dłoni, rozpościera się ocean. Słonawy, orzeźwiający wiatr, pieniający się przyływ i błękitne niebo – to wszystko, co im teraz jest potrzebne i mają tego pod dostatkiem.

Przy wjeździe nad ocean stoi kabina z napisem na całej ścianie: „La Fonda – Motel” – co oznacza: „Motel – Fala”. W tym motelu więcej niż dwa łóżka nie zmieszczą się i zadziwia to, jak wdziera się amerykańska metoda reklamy w życie biednego Meksyku.

W Ensenadzie zatrzymaliśmy się przy domu brata Leonida Afanasiewicza Fiedorenko. Różnojęzyczny gwar miasta wisiał w ciepłym, słonawym powietrzu. Nadchodziło ono z nad oceanu, biło w twarz, powodowało na ulicach kurz. Na olbrzymim wzgórzu, jak w Tijuanie, widniały nagromadzone szare, z płaskimi dachami kabiny. Mieszkają tam biedni ludzie: bez wody, bez gazu, bez elektryczności.

Siostra Fiedorenko spotkała nas przy swoim domu. Nie mam słów, aby opisać zachwyty tej kobiety, stęsknionej za Rosjanami. Objęła i ucałowała moją żonę parę razy, jak po długiej rozłące, chociaż widziała ją pierwszy raz.

Stałem obok i myślałem o potędze chrześcijańskiego ducha, o tej miłości, którą daje Chrystus wierzącym w Niego ludziom.

— Ty, jesteś Jedynym Bogiem, tworzącym cuda! Wierzę i jeszcze raz wyznaję Twoje cudowne imię! – tak chciałem krzyczeć na cały świat.

Bóg zbiera wszystkich ludzi w jedno, wskazuje im drogę do ziemskiego i wiecznego szczęścia, ku powszechnemu powiązaniu wszystkich dusz nowonarodzonych z Boga.

Obok stał Meksykanin, pokryty pyłem i potem, kierowca ciężarówki. Spoglądał na nas i przysłuchiwał się niezrozumiałej mowie dziwnych ludzi. Siostra Fiedorenko zauważyła go i zaraz, włożywszy rękę do głębokiej kieszeni swojego fartucha, wyciągnęła broszurę w hiszpańskim języku i dała ją kierowcy.

— Żał mi ich – mówi siostra Anastazja – gdyby byli wierzącymi, inaczej by żyli, wszystkiego starczałoby...

Wyjęliśmy z samochodu rzeczy przywiezione dla sierot i od razu skierowaliśmy się do przytułku, do którego pozostało 15 mil. Znał je tylko nasz przewodnik,

mieszkał on tu w tym dziwnym i niezwykłym mieście.

— Widzicie ten hotel? – zapytuje Leonid Stiepanowicz. – pracowałem przy jego budowie. A tu siałem kiedyś pszenicę. No i raz obrodziła. Takiego urodzaju nie widzieli tu ludzie nigdy. A ja wiem dlaczego: ja modliłem się o to do Boga, aby zesłał urodzaj, abym ja, zebrawszy go, mógł później zostawić tę pracę, która bardzo przeszkadzała mi w duchowym życiu. I Bóg odpowiedział mi na moją modlitwę...

Leonid Stiepanowicz mówił z takim przekonaniem, że słuchając go chciałem też sam się modlić:

— Panie, i mnie daj taką wiarę.

Wkrótce skręciliśmy w lewo na gruntową drogę. Lecz nie była to droga, ale ubite bezdroże. Ogromne doły i wyboje, których nie można było ominąć.

— Jak daleko jeszcze do przytułku? – pytają się moje dzieci.

— Jeszcze jedna mila! – odpowiada Leonid Stiepanowicz.

— Jeszcze mila! – rozlegają się niezadowolone głosy dzieci. Samochód je zakołysał, potrzebują świeżego powietrza, lecz nie można otworzyć okna, gdyż poruszaliśmy się w gęstym obłoku skrzypiącego w zębach kurzu. Obejrzelśmy przytułek, zapoznaliśmy się z jego pracownikami i dopiero później przyjął nas Leonid Afanasiewicz w małym, skromnie wyposażonym, lecz przytulnym kantorku. Opowiadał mi historię przytułku, zaznajomił z planami na przyszłość.

— Dokupiliśmy 70 akrów ziemi, zasialiśmy, lecz jedno jest nieszczęście: nie mamy czym nawadniać, nie starcza wody. Jest jedna studnia, a to mało. Potrzebna jest druga, a to znaczy, że trzeba prosić Boga o dwa tysiące dolarów.

Fiedorenko mówi zwięźle, słucha uważnie, nie narzeka na swoją robotę.

— Pojadę do miasta, kupię dzieciom, co najtańsze: kiszki, coś lekkiego, wątróbkę... Dobry wywar wychodzi i pożyteczny, dzieci jedzą z apetytem i sam z nimi jem. Jest to mój cały przywilej. Pensji za moją pracę nikt mi nie płaci...

Bóg zatroszczył się o rodzinę Fiedorenki. Jego syn jest lotnikiem, ma własny dwusilnikowy samolot, opryskuje chemikaliami zasiewy w Meksyku. Niedawno robił to na Kubie, na wezwanie rosyjskich doradców. Jest on chrześcijaninem i gdzie ma możliwość, to świadczy o Bogu.

W tym czasie na podwórko wybiegły dzieci – i duże, i małe. Starsi nie krzyczą na nie, lecz uczą je szacunku i wzajemnej miłości. W kącie dużej sali przysiadła grupa chłopców. Śpiewają, uczą się pieśni. Słuchałem ich z zainteresowaniem. Wiem, że śpiewają oni o miłości Bożej, która znalazła ich zagubionych w tym świecie i przytuliła w tym domu u podnóża dużej góry.

Człowiek zdolny jest przyzwyczaić się do warunków – dobrych i złych. A te dzieci myślą, że żyją w najlepszych warunkach.

Znowu toczymy się po równej drodze do Stanów Zjednoczonych. Na granicy zapytali nas tylko o jedno:

— Wszyscy jesteście amerykańskimi obywatelami?

Usłyszawszy potwierdzającą odpowiedź, graniczny strażnik przyłożył dwa palce do daszka i wypowiedział swoje magiczne słowo:

— Okay!

W drodze do Meksyku nie zapytali nas nawet o to.

I oto znowu ona, Ameryka! Gdzie podział się kurz i brud? Ziemia jakby ta sama, jak po drugiej stronie granicy, ale ludzie nie ci sami i życie nie te, i wydaje

się, że słońce tu lepsze i łagodniejsze, i niebo bardziej błękitne i delikatniejsze.

Wietrzyk rozgonił kłaki wiosennych mgieł, które widzieliśmy rano. Dzień dopalał się spokojnie i pięknie. Nad oceanem leniwie płynęło słońce, kołysała się zamglona dal horyzontu.

Z przodu rysowało się ogromne i śpieszące się Los Angeles.

## Mocna dusza

— Dzień dobry, krajanie! – rzekłem tęgiemu, szerokiemu w ramionach mężczyźnie na schwał z gęstą, szeroką brodą, jak u Karola Marksa. Gdy mocno, aż palce zatrzęszczały, uścisnął moją dłoń, zapytałem o jego imię.

— Nazywaj Jakowem Nikołajewiczem. A moje nazwisko, Sysojew – dodał.

Obok stali mężczyźni i kobiety. Cicho rozmawiali. W ich potoczystej, okającej mowie, było coś nadwołżańskiego, lecz wszyscy oni byli mołokanami, dotarli do Ameryki z Zakałkazia, a teraz długie lata mieszkają w niedużym kalifornijskim miasteczku Sheridan.

Sysojewowi dawno minęła sześćdziesiątka, lecz nie można go nazwać starszkiem. Z blasku jego oczu, ze szczerego uśmiechu, z rześko brzmiącego głosu, tchnie życiem.

— Jestem, sam widzisz, żywym człowiekiem, lubię poszumieć – mówił do mnie, siadłszy na ławce.

Spod garnituru, amerykańskiego kroju, wystawał koniec paska, którym była spięta biała jak śnieg koszula z prostym kołnierzem. Takie koszule ubierają prawie wszyscy mężczyźni w niedzielę. Kobiety wkładają długie, obszerne suknie i białe, opuszczone na czoło chustki.

Sheridan leży 40 mil od Sacramento, stolicy Kalifornii.

Nieduże, drewniane domki rozrzucone są bez porządku. W centrum stoją dwa domy modlitwy. Widać, że mieszkańcy lubią przestrzeń, ciszę, niczym nieskrępowane życie. Na łąkach za drucianym ogrodzeniem leniwie pasą się krowy, a w oddali stoją białe domki farmerów.

Na nabożeństwo ludzie zbierają się ociężale, nie śpiesząc się. I śpieszyć się nie ma do czego, gdy wszystko się robi według słońca.

Mołokanie mają swoje zwyczaje. Przy wejściu do domu modlitwy każdy pochyla głowę i cicho się modli. Obecni w tym czasie wstają.

W pomieszczeniu pod ścianami stoją drewniane ławki, na stole przykrytym białym obrusem leży ogromnych rozmiarów Biblia, otworzona na psalmach.

— No, co, Siemion, zaśpiewasz? – zapytuje starszy.

Siemion długo nie myśląc, odpowiada:

— Dlaczego nie? Można.

Tak nieprzymuszenie, po domowemu, rozpoczyna się u mołokanów nabożeństwo.

„Wiercie w Boga i we mnie wiercie” – rozpoczyna czytanie Ewangelii jeden z braci.

„W domu Ojca mego dużo jest mieszkań”. Słowa te ktoś podchwycił cicho, jednym głosem, jakby z daleka, lecz później włączył się drugi, trzeci, czwarty,

później wszyscy od razu wspólnie podchwytną znaną melodię i zaraz całe pomieszczenie zatrzęsło się od potężnego śpiewu. Tam, gdzie kończyły słowa jedne głosy, pieśń podchwytnywały inne. Urywa się dopiero wtedy, gdy starszy rozpoczyna czytać następny fragment Pisma.

Mołokanie długo śpiewali. Ich śpiew powodował we mnie dużo wspomnień i burzę licznych, i niezrozumiałych odczuć.

Mołokanie kochają Boże Słowo, lecz przyjmują je po swojemu, nauczeni przez przodków. Widziałem, jak niektóre siostry końcem chustki ocierały łzy. Nie uważają siebie za samo- uświęcających się.

Pokojowe życie, prostota i dobroć jedną ludzi z Bogiem. I o tym śpiewają oni w swoich psalmach.

Przypomniały się słowa apostoła Pawła: „Budujcie siebie psalmami i hymnami, pieśniami pełnych ducha, śpiewając w sercach waszych Panu”.

Po nabożeństwie wielu mówiło o utracie przez ludzi bojaźni Bożej.

— Pomyśleć tylko: żona pastora, a namalowana tak, że już i do człowieka nie jest podobna...

— Z kościoła wyszedł i od razu smoczek w usta...

— A śmiechu u nich w kościele tyle...! Oto dlaczego nie idziemy do Amerykanów...

Sysojew z powagą rozprostowuje gęstą brodę, głaszcze, jak miłego kotka, coś sobie przypomina. Oto wstał, spokojnie spojrzął na wszystkich i bez pośpiechu rozpoczął swoje kazanie:

— Tak, bracia i siostry, w takich czasach żyjemy obecnie, że ludzie mądrzeją i głupieją – wszystko na raz. Nie żałuje człowiek sam siebie i Boga nie boi się. Przypomniało mi się pewne wydarzenie, gdy jeszcze byłem w ojczyźnie.

Paśłem, znaczy, we wsi konie. Idę kiedyś drogą, patrzę – naczótek leży. To znaczy uzdeczka, po dzisiejszemu. Podniosłem ten naczótek, przyniosłem do domu, się cieszę: na pożytek w gospodarstwie będzie...

Przyszedł ojciec i się pyta:

— Skąd wzięłeś?

— Na drodze – mówię – znalazłem.

— Na drodze? – No i dał mi on kazanie.

Niosę ja ten naczótek, płaczę i myślę: No i złego mam ojca! Przecież nie ukradłem, a znalazłem...

Czyniąc małą przerwę, Sysojew kontynuował:

— Dobrze uczył mnie ojciec, surowo. A teraz, co się robi? Dzieci robią to, co im przyjdzie do głowy, a rodzice ani mru-mru...

Mołokanie są gościnni.

— Przyjeżdżajcie, proszę. Proszę nie zapominać o nas.

Bardzo mi się podobała broda Sysojewa i żegnając się z nim, coś powiedziałem mu o brodzie.

— Żeby mieć brodę, trzeba mieć mocną duszę. Swoi to rozumieją, a z boku dużo nie- przyjemności.

Uśmiechnął się i rząd białych zębów błysnął w brodzie bielizną.

— Teraz mieć brodę jest łatwiej. Zdarzało się, że pojedziesz do Roswelt, idziesz przez bazar, a wszyscy patrzą na ciebie kuso, na bok schodzą, jak bym mógł ich wybrudzić. Kiedyś pewien młodzieniec obejrzał mnie podejrzliwie od stóp do gło-

wy i mówi, jak gdyby nigdy nie widział brody:

— O, broda...!

— Tak – mówię – broda. Przecież nie jestem kobietą. To znaczy, że i broda jest... A on plunął mi w twarz i poszedł nie oglądając się. Ludzie patrzą na mnie, się śmieją. A ja wytrzymałem i wybaczyłem mu. Chrystus wybaczał i nam nakazał wybaczać... Tak, młodzieńcze, trzeba było mocną duszę mieć, aby nosić brodę.

— No, a jak teraz? – zapytałem.

— Teraz? Teraz jest zupełnie inaczej. Bigbitowcy zapuścili brody i wszystko poplątali. Brody noszą, a żyją, jak nieludzie. I znów na mnie kuso patrzą: myślą, że ja na starość zwariowałem i do „hippis” się zapisałem...

Wracałem do domu i myślałem o mołokanach. Dlaczego carski rząd zsyłał ich na Syberię, odbierał dzieci? Żyli oni i żyją wysoce moralnym życiem. Trzeba było zsyłać niemoralnych ludzi, alkoholików, złodziei, burzycieli.

Ludzie, podobni do Jakowa Nikołajewicza Sysojewa, prawdziwie mają „mocną duszę”. Życie przeobraża się, ziemia zmienia swoje oblicze, a tych niewielu ludzi pozostaje wiernymi swoim obyczajom.

Ich dzieci i wnuki stały się Amerykanami, odeszły od rodziców, zaś ojcowie i dziadowie po staremu noszą emblematy sekty, nazwanej w Rosji mołokaństwem.

Tak, trzeba mieć mocną duszę, aby, mieszkając przez długie lata w Ameryce, pozostawać Rosjanami.

Lecz najważniejsze nie w tym. Najważniejsze jest to, żeby pozostawać chrześcijaninem.

## Pierwsze kroki

Nie wiem, z jakiej przyczyny od najmłodszych lat ciągnęło mnie do świata poezji, do świata pięknie ułożonych, rymowanych strofek. Gdy pierwszy raz usłyszałem bajkę Jerszowa „Konik Garbusek” z ust naszego melancholijnego zięcia, przez dłuższy czas powtarzałem zapadłe w mojej pamięci słowa:

„Oj, wy, bracia, otwórzcie,  
Wartownika wpuśćcie.  
Ja, jak kura, przemokłem  
Od głowy do samych stóp”.

Ojciec próbował kupić tę bajkę w mieście, lecz wszystkie jego starania nie powiodły się. Tej bajki w sprzedaży nie było.

W święto, które było na początku sierpnia, ojciec zabrał mnie na jarmark. Wydaje się, że było to w 1929 roku, zaraz przed rozpoczęciem kolektywizacji. Wśród innych gospodarskich spraw znalazł on czas, aby pokazać mi kiosk z książkami. Pośród mnóstwa książek propagandowych, wydrukowanych na tanim papierze, znalazł się duży, pojedynczy ilustrowany tomik A. Niekrasowa.

— Tato – prosiłem – kup mi tę książkę. Ja ją całą na pamięć się nauczę...!

— Takiej książki przez całe życie nie nauczysz się – odburknął ojciec.

— Nauczę się!... – upierałem się.

— Ile kosztuje ta książka? – zapytał ojciec sprzedawcę.

— Sześć rubli.

— Niczego sobie! Za sześć rubelków można barana kupić. Za pięć nie pójdzie?

— Cena państwowa, nie żartujcie...

— No, niech i będzie – rzekł ojciec. Wyciągnął z kieszeni kamizelki znoszoną portmonetkę, odliczył sześć rubli i zapłacił za książkę.

W tamtym czasie sześć rubli było dużymi pieniędzmi. Ojciec za pilnowanie lasu otrzymywał 25 rubli miesięcznie.

Całą drogę do domu trzymałem w rękach dużą, ciężką książkę, niekiedy otwierałem pierwszą kartkę, patrzyłem na portret autora.

— Tato, patrz, jaka łysa głowa u tego pisarza.

— I tobie wyłysieje, jak napiszesz taką książkę – odpowiedział ojciec.

— A dziadek Nazar łysy, a zupełnie nie umie pisać.

— Ma on łysinę z mądrości. On chociaż i nie umie pisać ani czytać, to każdemu umięcącemu daleko do niego. Idź, zapytaj go, skąd się wszystko wzięło – wszystko wie.

Patrzyłem na głowę ojca, przykrytą zakurzonym, jak u młynarza, kapturem i myślałem:

— Być może, że szybko i u ojca będzie łysina. On też dużo wie i cały świat na statku przepłynął...

Wiersze Niekrasowa czytałem bez upamiętania. I ojciec lubił je słuchać.

Latem, gdy zaczynał się łowiecki sezon na kaczki, przyjeżdżali do nas myśliwi z miasta. Wieczorem, zwykle po łaźni, ojciec lubił chwalić się przed gośćmi:

— No i syna mam! Na pewno wiersze będzie pisał, nie inaczej. Może on całą godzinę mówić z pamięci.

— Naprawdę? – zapytywał ktoś.

— Nie żartuję, załóż się!

— Dawaj!

— Ile?

— Litrówka!

— Paweł, przyprowadź Kołę – nakazywał ojciec starszemu bratu. Brat prowadził mnie z podwórka i szeptał do ucha:

— Ty nie wal, jak z karabinu, a opowiadaj wolno, żeby wystarczyło na godzinę.

— Dlaczego?

— Założyli się...

Ojciec spotykał słowami:

— No, jak, urwisie, powiedz nam z pamięci „Komu na Rusi dobrze żyć?”.

Wiedziałem, że odmowa była nie do pomyślenia, a nawet nieopłacalną sprawą. Za każdym razem, gdy kończyłem recytację, goście dawali mi po dziesięć kopiejek i więcej. Stawałem na środku izby i zaczynałem śpiewnym głosem:

„W jakim roku – oblicz,  
W jakiej ziemi – zgadnij,  
Na gościńcu  
Zeszło się sześciu mężczyzn...”.

W czwartej klasie wiejskiej szkoły stara nauczycielka Anna Pietrowna Potapowa postanowiła zrobić gazetkę ścienną. Do pracy, w liczbie innych uczniów, za-

prosiła i mnie. Zabrałem się do przepisywania notatek o uczennicy, która lubiła na lekcjach przyglądać się w lusterku. Za każdym razem, gdy nauczycielka odbierała je, u niej pojawiało się drugie.

Nie wiem, dlaczego pociągnęło mnie do napisania o tym wiersza. Nazwałem go „Lusterko się zali”. Pamiętam niektóre dwuwiersze:

„Cóż to, powiecie, takiego?  
Nie daje mi dziewczyna spokoju.  
Ciężko mi bywa, biednemu,  
Napluje i przetrze bibułą.  
A później we mnie patrzy się często:  
No nie mniej, jak sto pięćdziesiąt razy.  
Czy długo będę cierpieć tę mękę!  
Oj, weźcie mnie za poręczeniem...”.

Wiersz, oczywiście, znacznie został poprawiony przez nauczycielkę, lecz od tej pory nieraz zaglądała do mojego zeszytu, aby przeczytać, co jeszcze „wymyśliłem”. A wymyśliłem ja, oto co: napisałem list do ojca „wierszem”. Mieszkał on w tym czasie w Odessie, „dalej od kołchozów”. Brat i siostra mówili inaczej:

— Jak władza wymaga, znaczy trzeba iść do kołchozu. Sprzeciwisz się władzy to nie ostoisz się, a tylko z głodu umrzesz... Nasze gospodarstwo dusili podatkami, życie stawało się nie do wytrzymania i ojciec kiedyś powiedział:

— No, dobrze, jak chcecie! Idźcie, dzieci, do kołchozu, a ja zobaczę, co to będzie. Ja wyjeżdżam!

I wyjechał...!

Ojciec długo nie odzywał się. Na pierwszą wiadomość od niego, napisałem długi, na parę stron list. Długo go pisałem. W końcu wyrwałem ze szkolnego zeszytu „w kratkę” dwie kartki i przepisałem na czysto:

„Dzień dobry, mój tatusiu!  
Pisze do ciebie list Nikołasza.  
Czy nie zapomniałeś młodszego syna?  
On teraz samotny – sierota.  
On teraz chodzi do szkoły bosy,  
A na ścieżkach zimne rosy.  
Oj nie wiem, co będzie ze mną  
Tej strasznej, zimnej zimy?...”.

List tak poruszył ojca, że szybko przyjechał do domu. Przywiózł mi wspaniałe, przedrewolucyjne wydanie bajek Puszkina, które kupił od odeskiego antykwariusza.

Wkrótce prawie wszystkie bajki Puszkina znałem na pamięć, czytałem je dzieciom w ciemne i długie zimowe wieczory, a także sąsiadom, przychodzącym nas odwiedzić.

Swoje zainteresowania wierszami i bajkami wkrótce zaniedbałem. Zachwylił mnie Maksim Gorki. Jego „Dzieciństwo” i „Moje uniwersytety” czytałem nie odrywając się. Dzieła Gorkiego dawał mi Paweł Jermieljanowicz Demianowski, na-

uczyciel języka rosyjskiego i literatury w naszej szkole, siedmiolatce.

Później, gdy pierwszy raz ujrzałem portret znanego w literaturze Giliarowskiego, przypomniałem mojego nauczyciela: był do niego zadziwiająco podobny. Różnił go od Giliarowskiego tylko brak wąsów. Demianowski każdego dnia dokładnie się golił. Duża, szeroka, zawsze zadowolona twarz była gładka, spojrzenie czyste i jasne, brwi gęste.

Demianowski mieszkał nad brzegiem rzeki Iputy w prostej, chłopskiej chacie. Każdego ranka niezmiennie się kąpał, nawet zimą w lutowe mrozy. Wskoczy do wody – i szybko na brzeg. Czerwone jak u raka ciało nauczyciela nie bało się mrozów. Mężczyźni uważali go za dziwaka, staruszki – za czarownika, a dla nas wyjaśniał prosto:

— We wszystkim potrzebny jest trening i zahartowanie. Kropla gorącej herbaty może rozgrzać ciało, lecz tę samą herbatę trzymamy w ustach i nie oparzamy się.

Kiedyś Demianowski zaprosił mnie do siebie, do mieszkania. Poraziło mnie mnóstwo książek rozłożonych na stole, na ławkach, na półkach. W chałupie panował zwykły, kawalerski nieporządek, lecz książki były ułożone dokładnie, każda w swoim miejscu. Zapach starych książek i cygar wytworzył kwaśny zapach rosyjskiej chaty i wydawało się mi, że znajduję się w prawdziwej bibliotece.

— Widzisz, tu moje całe bogactwo – mówił do mnie Demianowski, jak do równego sobie. – Nie mam ani żony, ani dzieci, ani ojca, ani matki i wydaje się, że i prawdziwych przyjaciół. Książki są moim bogactwem. Tak oto, uczyniłem odkrycie: dobra książka jest najlepszym przyjacielem: nigdy nie zdradzi, nie narzeka i wzajemności nie prosi. Masz czas – otwieraj, czytaj, ruszaj rozumem. Nie ma czasu – zamknij, połóż delikatnie na półkę, ona nie obrazi się... Patrz tutaj: mam tu Lwa Nikolajewicza Tołstoja i Nikolaja Wasiliewicza Gogola, Michała Jurewicza Lermontowa. A tu, na pierwszym miejscu – Aleksander Siergiejewicz Puszkina...

Demianowski wyliczył mi wszystkich rosyjskich klasyków, przedstawionych w jego bibliotece, wszystkich nazywał nie inaczej, jak po imieniu i po ojcu, dosłownie byli to jego przyjaciele, każdego krótko charakteryzował.

— Najbardziej polubiłem Gorkiego – kontynuował nauczyciel. – U Aleksieja Maksimowicza na pierwszym miejscu jest człowiek. A to w literaturze jest najważniejsze. Lew Nikolajewicz też dobry, ale to, że on jedną nogą stał w hrabiostwie, a drugą w chłopstwie – wszystko popsuło. U Gorkiego było inaczej...

Demianowski otwierał książkę, czytał mi fragmenty podkreślone ołówkiem. Niektóre z nich wryły mi się w pamięć, chwyciłem je w locie: „Morze się śmiało”. Lub: „Wiatr delikatnie głaskał atlasową pierś morza”.

Gdybym nauczył się tak pisać, jak Gorki! – myślałem sobie wracając do domu. – A co wiersze? Wierszami nigdy tak nie powiesz.

Mieszkałem sześć kilometrów od szkoły. Nauczyłem się czytać w drodze: idę i czytam. Zimą, gdy wieją wiatry, padają śniegi, oczywiście, czas nie do czytania. A latem jest dobrze. Do wierszy więcej nie powracałem. Demianowski, dowiedziawszy się, że piszę wierszyki, powiedział mi raz tak:

— Ty, młodzieńcze, naucz się najpierw prawidłowo mówić, wyrażać swoje myśli w prozie, a wiersze – to są zbytki...

I nie brałem się za wiersze do czasu, gdy znalazłem się w pedagogicznej uczelni, kiedy na drodze stanął Siergiej Jesienin.

Jego wiersze kursowały nielegalnie z rąk do rąk.

Gdy został ogłoszony konkurs na najlepszy wiersz, poemat lub opowiadanie, postanowiłem sprawdzić swoje siły w dwóch gatunkach. Opowiadanie „Moja wieś” jury oddaliło bez komentarzy. Udzieliłem w nim wiele miejsca przewodniczącemu kolchozu – pijakowi. To znaczy, że opowiadanie nie wytrzymało politycznych norm. A poemat „Masza – traktorzystka” zajął trzecie miejsce. Rozpoczął się on od słów:

Słońce stało wysoko,  
Piększą się brzozy,  
Śnieg dawno się stopił,  
Popłynęły strumienie.  
Ptaki przyleciały  
I już do kolchozów  
Stalowe konie  
Z warkotem popelzły.

— Daliśmy ci trzecie miejsce za twoje wypociny. Wszystko jedno, 30 rubli na drodze nie leży – rzekł krytyk, członek jury.

— Dlaczego? Słabo? – zapytałem urażony.

— Niegramatycznie – padła krótka odpowiedź. – Używasz obrazów, które nie mają miejsca w rzeczywistości. U ciebie „Stalowe konie z warkotem popelzły”, lecz przecież konie nie pełzają...

Otrzymałem 30 rubli przepiłem z kolegami w pierwszy wieczór. Długo po północy rozlegała się nasza pieśń pod akompaniament gitary.

„Odjedziesz do północnych jeleni,  
Do gorącego Turkiestanu odjadę ja”.

I rzeczywiście, wkrótce rozjechaliśmy się, ale nie do „północnych jeleni” i nie do gorącego Turkiestanu, lecz na front, bronić ojczyzny.

Wkrótce zaczęła się wojna, zaczęło się inne życie, jeszcze bardziej surowsze, okrutne, bezlitosne.

W maju 1942 roku byłem już na pierwszej linii frontu. Do 19 sierpnia włącznie prowadziłem dziennik. Robiłem notatki do przyszłej książki „O tym, co widziałem, co słyszałem, co sam przeżyłem”. Lecz wszystko to pozostało w bunkrze niedaleko wsi Łoszichino, między stacjami Bariatynska i Bachmutowo. Próbowałem pisać wiersze, lecz nie zdecydowałem się wysłać ich do armijnej gazety.

19 sierpnia 1942 roku trafiłem do niewoli.

Pierwszy rok niewoli był ciężki, straszny i męczący. Świadomość była zajęta tylko jedną myślą – przeżyć. Lecz i w niewoli próbowałem zapisywać epizody obozowego życia, pisać wiersze, za które Niemcy mogliby postawić „pod ścianę”.

Do wierszy powróciłem w 1948 roku. W tym roku rozpoczęło się moje nowe życie.

Piękno najśłodsze Jezusa podbiło moje serce. Od tej pory Chrystus stał się moim głównym tematem.

## Wieszczy sen

Leśniczy szedł dawno już nie jeżdżoną dróżką. Wiała się ona w gęstym, brzo-  
zowym młodniku. W głębokich koleinach i wybojach stała pożółkła woda. Szedł  
on rażno, lekko utykając: w prawym, dziurawym bucie, chlupotała się woda. Był  
on średniego wzrostu, o szerokich barach, w młodości sławny był z siły, teraz zro-  
bił się troszeczkę przygarbiony. Spod szarej, jak stary grzyb, cyklistówki błyszczą-  
ła siwizna. Równo podcięte wasy wyraźnie się poruszały, gdy mówił do idącego  
obok siedmioletniego synka Koli:

— O tej porze wilków w lesie nie ma. One na pola wychodzą bliżej łąk, gdzie  
pasą się stada.

— Gdzie one śpią? – zapytał Kola, zaglądając w oczy ojca.

— Gdzie śpią? W gęstym owsie, w jęczmieniu. Stamtąd zdobyczy wypatrują.  
Ostatnio w Żurankach wilki kobyłę zjadły. Zostawiły ogon i kopyta...

Leśniczy przysiadł na pniu, zrobił skręta, zapalił. Dymek wychodził spod wą-  
sów dwoma wijącymi się strumieniami. Zerwawszy się spod pobliskiego krzaka,  
zatrzepotała kuropatwa. Trezor, pies leśniczego, nastroszył uszy, ale lenił się biec  
za nią.

— A jeszcze opowiem ci, synku, taką historię. Mieliśmy konika, winny taki,  
pierwszy w całej wsi. Zwaliśmy go Gniadym. Nie było ciebie jeszcze na świecie. I  
oto, znaczy, posyła mnie ojczulek, twój dziadek, żeby przyprowadzić go do domu.  
Długo go szukałem, nogi schodziłem, słońce już wysoko wzeszło, a konia nie ma.  
Idę ja do domu, płakać się chce. Patrzę, za urwiskiem koń stoi, głowę wysoko  
podniósł, jakby na niebo spoglądał. Ja – bliżej. Gniady stoi w błocie. Ja jeszcze  
bliżej. Widzę, pod jego kopytami basior leży, jakby zdechły. Co zrobić? Założyłem  
uszę, rozplątałem. Gniady stoi, z miejsca nie rusza się. Ja go ciągnę: czego sto-  
isz? Idziemy do domu. On tylko podniósł nogę, a wilczysko spod konia, jak wy-  
skoczy, do konia za gardło. Zawisł na nim, jak pijawka. Potem zerwał się i w krza-  
ki czmychnął...

Chłopiec z uwagą słuchał opowiadania ojca. W jego ciemnych oczach czaił  
się strach. Rozglądał się na boki. W lesie było cicho, po świątecznemu pięknie i  
orzeźwiająco.

— A jeszcze i to było – ciągnął dalej leśnik. – Poszliśmy jesienią na borówki.  
Ja twoje lata miałem. I oto Pietro, twój dziadek, którego na wojnie zabili, zauważył  
pod krzakiem zająca i mówi nam: „Ciszej, chłopcy, ja szaraka żywego złapię”.  
Podkraść się i na niego. A on, jak skoczy! I poniósł Pietra na sobie. Ten krzyczy:  
za-za-zając! za-za-zając! Na orane go zaciągnął i tam zdechł.

— Zając nie jest taki silny – wyraził swoją wątpliwość chłopiec.

— Gdzie tam zając, a to przecież wilk był, wilczur... On – stworzenie tchórzli-  
we. Ze strachu zdechł.

— A jak dziadek Pietro?

— On, nic, tylko jego spodnie psy porwały. Wilk, całe je zapaskudził. A psy  
wilczego smrodu nie znoszą.

Chłopczyk popatrzył na Trezora. On leniwie machał ogonem, otwierał pysk i  
łapał muchy, kłapiąc zębami, gdy ruszyli w drogę, biegł na przedzie po leśnych  
ścieżkach, tropiąc ślady, jak doświadczony zwiadowca.

Droga już dawno zmieniła się w dróżkę, jakich nie mało wydeptały stada. Co raz częściej spotykało się stare brzozy. Wkrótce otaczał je zwarty zagajnik brzozowy. Białe pnie brzoź przedstawiały sobą zwartą, białą ścianę.

W końcu leśniczy zdjął z ramion dwururkę i oglądając nieduży pagórek, powiedział:

— Tu, synku, ulokujemy się.

Kola, w płóciennych spodenkach, w barchanowej bluzie, zdjął delikatnie torbę, położył ją pod brzozą i pokazując różgę brudnemu owczarkowi, dawał mu rozkaz:

— Ty patrz na mnie, do torby nie leż, bo ci szybko...

Trezor spoglądał swoimi oczami na swojego młodego przyjaciela i zdawało się, że gotów był przemówić: „Tak, tak, rozumiem... Lecz przecież i ja chcę podzielić się kawałeczkiem smażonej, smacznie pachnącej słoniny”.

W lesie zaległa głęboka, czerwcową cisza. Wyjątkowy leśny świat żył tu swoim życiem. Ciszę naruszał ptasi gwar. To milkł, to znowu się nasilał, ptaki odpowiadały jeden drugiemu różnymi głosami. Była to brzozowa gęstwina, do której każdego roku przychodził leśnik o tej porze, rozkładał się na cały dzień i wiązał miotły. Do następnego sezonu trzeba było przygotować nie mniej, jak trzydzieści par. W każdą sobotę lubił on przebywać w łaźni, szczególnie zimą, i za każdym razem miał świeżą miotłę i nie tylko dla siebie, lecz i dla sąsiadów.

Ostry nóż raźnie i z rozmachem działał w rękach jego syna. Ojciec, uśmiechając się spod gęstych wąsów, mówił:

— Ostrożniej. Palec odetniesz. Patrz, gęściejsze gałązki wybieraj. Gorsze odrzucaj...

Po pół godziny przed leśnikiem leżała sterta brzozowych gałązek. Brał on każdą w rękę, potrząsał, uważnie oglądał, jakby lubując się nią, później oczyszczał, układał na przemian, związywał szpagatem, skręcał uchwyt i robił drugą wiązkę. Później obcinał końce i miotelka była gotowa.

Mijała godzina, druga. Synek nagle się zmęczył. Leśnik włożył rękę do torby, wyciągnął książkę, oczyścił ją z okruszynek chleba i otworzywszy na założonej stronie, podał synowi:

— Poczytaj...

Kola zrzucił czapkę, siadł wygodniej na brzozowych gałęziach, zmarszczył wąskie czoło i zaczął czytać:

„... Zaczęliśmy schodzić z góry. Daleko zagrzmiało pierwsze uderzenie grzmotu, jak gdyby przetoczyło się nad ziemią. Wszystko wokół ucichło i zamarło. Słońce szybko skłaniało się ku zachodowi, pogrążając się w morzu krwawego złota...”.

— Jak pięknie! – wyrwały się słowa z ust leśnika. – Morze krwawego złota... Czerwonego złota, znaczy...

Ulubioną książką leśnika były myśliwskie opowiadania Mamina Sybiraka. Czytał on je już nie raz, lecz teraz chciał posłuchać, jak czyta syn.

Chłopiec na trudnych słowach jękał się, nerwowo przyczesał rozwichrzoną, dawno nie strzyżoną głowę. Zaczynał czytać zawsze chętnie, wsłuchiwał się w brzmienie pięknych słów, lecz wkrótce to czytanie przykryło się mu, częściej się zatrzymywał, spoglądał w mądre oczy Trezora, leżącego obok.

Leśnik palił, marzycielsko patrzył w bok, jakby przypominał swoje polowania w głuchych lasach, w których rzadko pojawiał się człowiek. Gdy język Koli zaczynał

się plątać, oderwał się od swoich marzeń, poprawił okulary i spoglądając na numer strony, rzekł:

— Pięć kartek nie dał rady! A jeszcze pisarzem chcesz być. Gdzie tobie? Pisarz musi miliony książek przeczytać, nie mniej. A ty, co? Sknera...

Lecz zaraz leśnik zmienił ton i temat rozmowy:

— Ja z Trezorem do pasieki się przejdę, ojca Panteleja sprawdzę, a ty tu się zdrzemnij. Bardziej rześki będziesz.

Rada ojca była chłopcu na rękę. Wsunął głowę pod krzak, rzucił na nogi garść brzoźowych gałęzi. Wsłuchiwał się w głuchy szelest liści na wierzchołkach brzoź, wkrótce usnął.

Wiatr unosił zapach brzeźniaka, leśnych traw i ubiegłorocznej stęchlizny. Brzęczały pszczoły. W pobliżu, na skraju lasu, bieleło pole gryki, jakby spadł na nie mleczny deszcz. Z drugiej strony widniało bagno, nieprzebyte, wypalone grzęzawisko, rojące się od pijawek. Rosła tam wysoka trzcina, na brzegach panoszyła się ostra, jak brzytwa turzyca. Każdego roku gnieździła się tam niezliczona liczba kaczek.

Chłopiec spał nerwowo poruszając policzkami, gdy na nim siadały dokuczliwe muchy. Razem z nim leżały opowiadania Mamina Sybiraka. Po szarej, zniszczonej okładce, pełzała „boża krówka”.

Ojciec Pantelej, były kapłan z sąsiedniej wsi, przywitał leśnika życzliwie, posadził go w cieniu stebnika, poczęstował miodem. W pszczelim brzęku ginął jego miękki, basowy głos:

— Tak, mój bracie, nie oczekuj teraz dobra... A to dopiero początek.

— Będzie, jak napisane, duże ludobójstwo... – dodał leśnik.

Odprowadzając leśnika, ojciec Pantelej nie zauważył, kiedy doszli oni do miejsca, w którym, zwinąwszy się w kłębek, spał Kola. Obudził go Trezor, liżąc parę razy ucho. Chłopiec otworzył oczy. Długo nie mógł dojść do siebie. W piersi kołatało serce.

Koli śnił się zły sen i ciągle jeszcze nie wierzył, że w rzeczywistości nic się nie wydarzyło i że leży pod tym samym drzewem, a wokół niego wiązki gotowych mioteł.

Do uszu chłopca doleciał aksamitny, przymilnie dobrotliwy głos Panteleja:

— Moja sytuacja też jest od Boga. Rok w więzieniu odsiedziałem, zęby na przesłuchaniu wybili, włosy obcięli, pozbawili domu, gospodarstwo rozgrabili, a gdy pomyślę, to wyraźnie widzę, że to wszystko Bóg dopuścił dla dobra mojej grzesznej duszy. Najważniejsze, bracie, duszę w wierze zachować. Ot co!

Leśnik słuchał z uwagą, niekiedy wtrącał swoje słowa. Gdy usiedli pod drzewem, nachylił ucho bliżej rzadkiej bródki Panteleja, przesiąkniętej dymem i woskiem.

— Ty mówisz, jak to rozumieć? – kontynuował dalej kapłan. – A oto jak. Przyznam się ci, jak na spowiedzi. Dwadzieścia lat przestąpiłem w szerelomowskiej parafii, modliłem się do Boga o innych, spełniałem potrzeby, a żeby o swojej duszy pomyśleć – tego nie było. Oczywiście, w Boga zawsze wierzyłem, ale żyłem od Niego bardzo daleko. Tak to jest. W święta lubiłem wypić, pożartować, z matczką w karty pograć. A co tyczy się duchowego uświęcenia ludu – to do głowy nie przychodziło. W wiosce pili, robili awantury, przeklinali, za cudzymi babami chodzili, a mnie jakby to nie dotyczyło. Odwalił swoje i poszedł. Tak to było. A

czyż ja jeden taki byłem na Rusi? Naród coraz bardziej odchodził od Boga. Kto jest winny? Myślisz, bolszewicy? Oni z jajka nie wyleźli. My ich, bracie, sami opuściliśmy, jak karaluchy w chacie...

Po tych słowach długo ojciec Pantelej milczał, trzymając papierosa w żółtych, woskowych palcach. Oczekiwał, co powie leśnik. Lecz i ten milczał. Widać, że gorzka była narodowa prawda. Gdzieś za bagnem nużąco kukąła kukułka, ośmielone ptaki przeskakiwały na gałęziach i szczebiotały prawie obok. Duże cienie okrywały ziemię, czuć było zbliżający się wieczór. Leśnik zbierał chrust, trzymał go w rękę, zabierał się do rozpalania ogniska. Z jego wyblakłych oczu było widać, że o czymś uporczywie myślał.

Milczenie przerwał ojciec Pantelej. Poczesał bródkę i jakby sam do siebie, przemówił:

— Teraz ja nowym człowiekiem się stałem.

— To prawda – wtrącił leśnik. – W wiosce mówią, że ojciec Pantelej w anioła się zmienił...

— Modłę się do Boga, duszę Mu wykładam, wybaczenia proszę. I tak lekko bywa na sercu, wydaje się, do nieba bym poleciał. I przy ołtarzu ze świętymi darami nie byłem tak blisko Boga, jak teraz na pasiece ze swoimi pszczołami.

— Dlaczego was pszczoły nie gryzą, a innych gryzą? – rozległ się dźwięczny głos Koli.

Obejrzeni się, jakby wystraszeni, że ich rozmowę podsłuchano. Pantelej pokazał w uśmiechu czarne zęby i położywszy dłoń na głowie chłopca, rzekł do niego:

— Pszczoły, mój synu, mądre stworzenia. Pszczoła przez Boga za przykład jest nam dana. Czuje ona wroga i przyjaciół zna. Tak, załóżmy, ja pracuję, a cały czas patrzę, żeby tego stworzenia nie urazić, dbam o nie, troskliwie z miłością, dogadzam jej. To po cóż będzie mnie gryźć? A gdy inny przyjdzie i zacznie stukać, pszczoły niepokoić, a może i ramkę pociągnie nie w czas, wtedy, mój synu, trzymaj się. Na śmierć mogą pokąsać. Z pszczołą trzeba się obchodzić, jak z człowiekiem. Nie szturchaj, nie ruszaj go, gdy swoją sprawą jest zajęty, wtedy i on ciebie nie ruszy...

Szeroka, jak talerz, łysina ojca Pantaleja pokrywała się kroplami potu. Wycierał ją rękawem koszuli, opędzał się od natarczywych much.

Kola słuchał z uwagą, otworzywszy usta. Chciał jeszcze o coś zapytać ojca Panteleja, lecz ten, wstając, otrząsnął liście i zbierał się do odejścia.

— Zajdźcie do mnie po niedzielę, świeżym miodkiem ugospzczę... – mówił do leśnika, zawiązując w węzełek otrzymany od niego tytoń.

Jak tylko pszczelarz znikł za drzewami, chłopiec podszedł bliżej ojca i powiedział:

— Sen mi, tatusiu, się śnił... Straszny sen...

— Opowiedz, jaki sen?

Leśnik lubił słuchać, gdy syn o czymś mu opowiadał.

— Znaczy, jakbym szedł z tobą przez duże pole. Było tak pięknie: słońce świeci, wiatr pszenicę kołysze. A tu znikąd wyszedł nam na spotkanie wilk, duży, straszny, zębami kłapie. Ja uciekłem w bok, a ty nie zdażyłeś i wilk na ciebie się rzucił. Wystraszyłem się, pobiegłem ludzi wołać. Biegnę, biegnę, a nogi nie poruszają się. Później widzę, z przodu rzeka. Woda w niej czarna, straszna, za rzeką dużo ludzi. Przepłynąłem rzekę, ludziom o tobie tłumaczę, a oni mnie nie rozu-

mieją. Obcy ludzie... – Tu się przebudziłem. Czuję, Trezor mi ucho liże.

— Mało spałeś, ale dużo widziałeś, synku – rzekł leśnik, patrząc w ognisko na dopalające się sęki.

— Niedobry twój sen. Na moją śmierć, nie inaczej.

Po chwili milczenia leśnik dodał:

— Mówią, straszny sen, ale miłosierny Pan.

Piętnaście lat później przypomniałem ten sen za granicą. Leśnik, mój ojciec, umarł w więzieniu.

## Ona kochała

Ksenia Wasiliewna, matka czworga dzieci, z których byłem najmłodszy, siedziała przy stole i płakała. Niegdyś jej szczupła twarz teraz stała się ociężała z powodu obrzęku. Gęste, długie włosy, zaczesane do tyłu, jaśniały przedwczesną siwizną.

Cienkie, chude palce matki nerwowo skubały znoszony kretonowy fartuch. Wycierając nim łzy, zwróciła się do mnie:

Kola, synku mój... Jeden ty przy mnie zostałeś. Jeden... Burza rozgoniła moje dzieci...

Łzy matki, grube jak perły, spadły z rzęs i drząc zastygały na obrzękniętych policzkach.

— Straciłam zupełnie siły, a trzeba pójść do Chabczewów. Boję się, że w drodze padnę. Schodź, synku, do nich. Poproś trochę kartofli. Oni są ludzie dobrzy, nie odmówią – cichym, łagodnym głosem przekonywała mnie matka.

Było to w pamiętnym, głodnym, tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku. We wsi nie pozostało ani jedno zwierzę. Wszystko zostało zjedzone. Do nowych żniw pozostało dwa tygodnie. Duża lipa, upiększająca naszą drogę, od wczesnej wiosny stała prawie bez liści. Ledwie się rozwinęły, a zostały oberwane przez ludzi. Z suchych liści lipowych robili oni placuszki – „lipowe”. Leśnik Chabczew, następca mojego ojca, mieszkał od nas cztery wiorsty. Miał on konia i krowę. Matka dobrze знаła tę porządną, dobroczyzną rodzinę i wierzyła, że od nich nie wyjdę z pustymi rękami.

— Synku – znowu zwróciła się do mnie matka – nie daj Bóg, będziesz się ociągał. Bieda będzie. Posłuchaj matki: idź, poproś. Prosić nie jest grzech. Powiedz, że ja cię wysłałam...

— Ja nie jestem żebrakiem... Umrę, a prosić nie będę – odpowiedziałem, leżąc na łóżku.

Matka rozplakała się, jak nad nieboszczykiem. Żeby nie patrzeć na jej łzy odwróciłem się do ściany i myślałem:

— Przeżyjemy – dobrze, a jeżeli wszyscy umrzemy – jeszcze lepiej. Ale żeby wszyscy się dowiedzieli, że Wodniewscy żebrzą – tego nigdy nie będzie.

W chacie było cicho i duszno. Nad małym oknem brzęczały muchy. Poobiednie słońce puszczało małe zajączki na przegniłym parapecie.

Zwróciłem się do matki i starając się być bardziej grzeczny, powiedziałem:

— Mama, nie płacz, nie gniewaj się na mnie. Zrozum, że ja nie mogę. Po prostu nie mogę być żebrakiem.

— Ale to nie grzech – przekonywała matka, lecz ja upierałem się przy swoim:

— To wszystko jedno. Łatwiej mi, powiedzmy, ukraść lub coś takiego niż wyciągać rękę i gęgać:

— Dajcie, ze względu na Chrystusa... Gdybym był kaleką lub nieszczęśliwym staruszkiem, wtedy sprawa inna...

— Poczekaj, synu – rzekła matka pośpiesznie. – Zesłał mi Bóg dobrą myśl. Mam drogi czajnik. Imieninowy. Prezent twojej babci, mojej matki. Przed weselem mi podarowała. Trzydzieści lat go strzegłam. Troszczyłam się, jak o pamiątkę. A do czego on teraz potrzebny? Weź go, synku, zanieś do Chabczewów. Oni lubią herbatę i chętnie go wezmą. A za niego troszkę kartofli co dadzą. Weź...

Minęło parę chwil napiętego milczenia. Matka oczekiwała odpowiedzi. Głód powiedział swoje i wstałem z łóżka.

— Chyba pójde, mama, póki słońce nie zaszło. Gdzie ten czajnik? Dawaj.

Szedłem po zakurzonej, krętej drodze w kierunku państwowego lasu, w którym stała chatka Chabczewów. Słońce chyliło się ku zachodowi, śpiesząc zakończyć swoją dzienną drogę. Byłem ubrany w starą, dwa razy farbowaną bluzę. Na krótkich spodniach widniały dwie duże łaty. Bose, chude nogi kaleczyły się o dzikie maliny. Krople zaschniętej krwi pokrywały się kurzem. Nienaturalnie szczupła twarz i duża, dawno nie strzyżona czupryna, głęboko zapadnięte oczy, wystraszyłyby każdego, kto nie wiedział, co znaczy głód. Mocno trzymałem nieduży węzełek, przyciskając go do piersi. Szedłem z nadzieją, że za parę minut będę wracał tą samą drogą, lecz nie z pustymi rękami. Zamiast tego węzełek będę miał kartofle, a być może i pajdę chleba.

— Wszystko jedno, ja nie jestem żebrakiem – przemykała po mojej głowie budująca myśl. Najważniejsze, że nie będę prosił. Zaproponuję na wymianę cenny czajnik z takimi pięknymi ozdobami. Uśmiech szczęścia nieraz pojawiał się na mojej poczerwiałej twarzy.

W lesie na polanie obok drogi, ukazała się chata leśnika. Niedaleko pał się czarny koń, szczypał zieloną, soczystą trawę. Podniósł głowę, z uwagą popatrzył na mnie, machnął ogonem i zajął się swoim zajęciem.

— To znaczy, że gospodarz jest w domu – pomyślałem i przyspieszyłem kroku.

Za chwilę stałem pod drzwiami, przysłuchiwałem się rozmowie dochodzącej z chaty. Zaraz przypomniałem, że Chabczew ma dużego psa, Pirata. Strach przeleciał po moim ciele, gdy otworzyłem drzwi do sieni. Pirat warknął i rzucił się do mnie. Trzasnąłem drzwiami. W tym czasie mój węzełek wypadł na ziemię, uderzył o kamień i się rozbił.

Zawróciłem do domu. Coś niepojętego chwyciło mnie za gardło i nie dawało oddychać. Chciało się płakać.

— Z czym ja wrócę do domu? Czym pocieszę mamę? Co jej powiem? – pomyślałem, zapominając o tym, że już od paru dni nic nie miałem w ustach. Od kwaśnej zupy szczawiowej bez kartofli ciągnęło mnie na wymioty.

W tym czasie czyjaś ciepła ręka dotknęła moich ramion. Odwróciłem głowę. Przedemną stała żona leśnika, ciocia Nastia. Na jej czystej, białej twarzy, jaśniał dobroduszny uśmiech.

— Ty skąd? Z Borowki?

— Tak.

— Syn Kseni Wasiliewny?

W oczach ciotki Nastii ukazały się łzy. Nie zdejmując z mego ramienia rąk, zapytała:

— Na pewno mama umarła?

— Nie, mama żyje – odpowiedziałem, walcząc ze łzami.

— Słyszałaś coś od ojca?

— Nie wiem, gdzie on jest. Nic nie słyszała.

— Po co przyszedłeś do nas? Pewnie głodny? A? Co nic nie mówisz?

Nie doczekawszy się ode mnie odpowiedzi, ciocia Nastia ciągnęła:

— Poczekaj tu chwilkę, nie odchodź. Ja coś matce dam.

Usiadłem na trawie. Wezbrał we mnie gniew na psa.

Po paru minutach wróciła ciocia Nastia. W rękach trzymała dwie pajdy chleba.

Dając je, powiedziała:

— Ten, który mniejszy – tobie. A ten, który większy, zanieś mamie. Powiedz jej, że modłę się o was do Boga. On jest miłosierny. Zaraz żyto dojrzeje. Będzie nowy chleb. A teraz i u nas jest źle. Widzisz, jaki chleb? Czarny, z plewami.

— Dziękuję wam, ciocia Nastia. Bardzo dziękuję – rzekłem i niezdecydowanie dodałem:

— Mama wam dała czajnik, ale ja nie dopatrzyłem i rozbiłem przed drzwiami.

Pirat wystraszył.

Ciocia Nastia patrzyła mi w oczy i łza spadła na jej cienkie, blade wargi.

— Nie bieda... Jest u nas czajnik – powiedziała.

Odszedłem. Na zakręcie spojrzałem za siebie. Ciocia Nastia stała w tym samym miejscu i spoglądała za mną.

— Na pewno się modli – pomyślałem. – Ona jest taka dobra, jak moja mama.

Wkrótce z mojego chleba nic nie zostało. Wydał się mi nadzwyczaj smaczny. Apetyt wzrósł i wziąłem się za chleb przeznaczony dla matki, odłamując nieduże kawałeczki.

— Tu odłamię, również będzie – często powtarzałem sobie.

Słońce już zaszło, gdy wróciłem do domu. Pod strzechami pustych szop ćwierkały niezmordowane wróble, sadowiąc się na nocleg. Jaskółki fruwały nad samą ziemią, polując na komary. Matka siedziała na ganku i czyściła jakąś zjadliwą trawę... Zobaczyła mnie i jej obrzęknięta twarz zajaśniała nie ukrywaną radością.

— Synku, jak ty tam?

— Wszystko dobrze, mamó. Weź, zjesz... Tylko wybac mi. Zjadłem połowę twojego chleba. To wszystko, co zostało. Ciocia Nastia dała.

Uśmiech szczęścia pojawił się na twarzy matki. Wyciągnęła rękę, wzięła oskubany kawałeczek chleba, ogładnęła go ze wszystkich stron, jak wielką cennosc, i spojrzawszy na mnie zmęczonymi oczami, powiedziała:

— Dziękuję, synku. Ten chlebek przechowam dla ciebie do jutra.

## Dziad Ignat

Na skraju wsi Szatłowo, w pobliżu rzeki stała chata Ignata Kartuzowa, suche-go staruszka, żylatego z rzadkimi włosami na głowie. Nie był on stary z powodu lat i dlatego wszyscy w Szatłowie nazywali go dziadem.

W młodości Ignat wslawił się swoimi opowiadaniem i baśniami. Wszyscy lubili żartownisia Ignata, gawędziarza i figlarza. Bez niego nic się nie odbywało.

Po powrocie z niewoli Ignat ożenił się ze starą panną Darią, cichą i pracowitą sąsiadką. Odszedł od ojca i na skraju wsi wybudował chatkę i szopkę dla kobyłki.

Po roku Daria urodziła Ignatowi syna. Przyjechał on na łąkę, gdzie ona, brzemienna, grabiła siano i ujrzał Darię na sianie. Skręcała się w bólach porodowych i wyduszała z siebie słowa przez zaciśniętą zębę:

— Ignat, jedź po babkę Praskowię.

Mąż wskoczył na wóz, uderzył kobyłę lejcami...

— Ej, ty najdroższa, ratuj...! Dawaj, dawaj, deresz, przebieraj nogami – krzyczał Ignat do samej wsi.

Babki Praskowii nie przywiózł na czas. Daria leżała na sianie z zamkniętymi oczami, a obok niej kurczowo poruszała się czerwona bryłka.

Ignat odprowadził kobyłę na bok i od razu usłyszał wrzaskliwy głos dziecka:

— U-a-a..., u-a-a...

Musi być syn – zdecydował Ignat – głos ma bohaterski.

— Nie podchodź, nie podchodź póki co... Syna darował Bóg – wymamrotała babka.

— Chwała Ci, Panie – rzekł Ignat. Zdjął kaptur, odwrócił się ku wschodowi i parę razy się przeżegnał, nisko kłaniając się ziemi.

Daria przeżyła, lecz więcej dzieci nie miała.

Minęły lata. Odbyła się rewolucja. Syn Ignata wyrósł, chodził do szkoły, ale jak tylko skończył osiemnaście lat, wyjechał do miasta pracować i zapomniał o rodzicach.

Minął rok, drugi, a syn nie napisał do ojca ani jednego listu. Ignat i Daria tęsknili za synem. Ich życie zmurszało, jak murszeją słupy starej budowli. Ignat stał się rozdrażniony, przeklinał, nie potrafił się porozumieć i zaczął pić. Wioskowi chłopcy często się zbierali i jednogłośnie postanawiali:

— Pójdziemy, dziada Ignata podrażnimy!

Wataha chuliganów szła na skraj wsi i rzucając kamieniami w chatę staruszka, wykrzykiwała:

— Ignat, Ignat, jagnięta podusił...!

Staruszek warczał pod nosem, wyglądał zza węgła, sypał przekleństwami, wyczekawszy dogodny moment, rzucał w łobuzów laską i biegł za nimi, machając rękami.

Często skarżył się sąsiadom, lecz sąsiedzi do żalów staruszka odnosili się z uśmiechem:

— A ty swoje dzieci zrozum, dowiesz się, jak z nimi...

Lecz dziadek Ignat dobrze znał dzieci. Jego syn Wasia nieraz wyprowadzał go z równowagi, często uciekał z domu, aby uniknąć kary. Teraz staruszek mówił sam do siebie:

— Dokręciłem śrubę, dlatego syn do domu nie jedzie...

W życiu dziadka Ignata wydarzyło się jeszcze jedno nieszczęście. Jego żona, Daria Pietrowna, której nikt we wsi nie nazywał po ojcu, zaprzyjaźniła się z ewangelistami. Sąsiedzi śmieli się z Ignata, a to najbardziej denerwowało staruszkę. Parę razy wyganiał żonę z domu, lecz to nie pomagało. Na drugi dzień znowu pojawiała się w chacie. Zapominając wszystkie krzywdy, z troską zabierała się za domowe obowiązki, przygotowywała Ignatowi obiad, a przy okazji mówiła staremu:

— No, czego się denerwujesz? Wystarczy. Siadaj za stołem, czyż nie głodny? I było zamorzone...

Ignat milczał. lecz za godzinę, dwie, wzdychając, sam rozpoczął rozmowę:

— Złe, kawalerskie życie. Na suchym wikcie długo nie pociągniesz.

Niekiedy Daria mówiła siostrze w wierze:

— Nie opowiem wam wszystkiego, kochane, jaki muszę krzyż nieść. Lecz czuje moje serce, że Bóg zmiłuje się nade mną i mojego Ignata na drogę zbawienia naprowadzi.

Pewnego razu do wsi przyjechał kaznodzieja. W jego torbie, zawieszanej na ramieniu, znajdowały się książki. Zachodził on do każdej chaty, nisko się kłaniał gospodarzom i mówił:

— Pokój wam, dobrzy ludzie. Mam dla was list...

— Od kogo by to był? – zwykle pytali się ludzie.

— Od samego Pana Boga. A nazywa się on Ewangelia.

— Takich książek czytać nam zabroniono.

— A któż to zabronił? – zapytywał kaznodzieja.

— Władza.

— Chrystus jest ponad wszystkich i On powiedział: „Badajcie Ewangelię”.

Tak rozpoczynała się rozmowa. Do chaty przychodzili sąsiedzi, zadawali pytania.

Kiedys wieczorem, gdy stada powrócili z łąk, Ignat szedł przez wioskę od kuma. Letni dzień rozstawał się z ziemią i długie cienie chat przecinały drogę, wychodziły na ogrody. Przy studni w milczeniu stał tłum ludzi i słuchał. Młody człowiek, szczupły, z gładko przyczesanymi włosami, podnosił wysoko księgę i dźwięcznym głosem głosił:

— Człowiek też, jak syn marnotrawny, odszedł od Ojca Niebieskiego, odszedł od Boga, zaprzyjaźnił się ze złym i męczy się z powodu ciężaru życia...

Oczy kaznodziei, żywe, jasne, spoglądały śmiało na tłum, jego głos raz drżał, jak naciągnięta struna, to znowu rozbrzmiewał nad uciszoną drogą:

— I oto zamyślił się syn nad sobą i powiedział: wstanę i pójdę do ojca mojego, poproszę o wybaczenie...

— No, posłucham, o czym on gawędzi – postanowił dziadek Ignat. – Czy nie o moim Wasi opowiada...?

Staruszek stanął przy płocie, uniósł swoją brodę wyżej, aby lepiej słyszeć słowa ginące w tłumie, lecz w tym czasie parę kobiet aktywistek, wysłanych z gminnej rady, głośno krzyknęło:

— Co gęby rozdziawili...? Wodą go szalonego, heretyka...

Bojowa i bystra młódka Dunia zamachnęła się pełnym wiadrem wody i wylała ją na kaznodzieję. Tłum zaszumił, rozległ się śmiech chłopców, oblegających ze

wszystkich stron.

— Idźcie do domów! – zabrzmiał władczy głos przewodniczącego.

— No i źli ludzie żyją na ziemi – myślał dziadek Ignat, wracając do domu. – Po co skrzywdzili tego człowieka? Nową koszulę oblali, książki zniszczyli.

Zza rogu wybiegły dzieci, zaczęły krzyczeć na cały głos:

— Ignat, Ignat, kocił się...!

Ignat szedł nie odwracając głowy, jakby nie słyszał tych krzyków. Teraz myślał o synu. Bardzo chciał wysłuchać historii do końca, dowiedzieć się, czy wrócił szyn do ojca i jak go przyjął ojciec? Wszedł na podwórko, przysiadł na ganku i patrzył, jak na grzędzie sadowiły się kury. Kogut głośno wydawał komendy, tak jakby dowodził generał, a kury cisnęły się jedna przy drugiej gdacząc.

— Co z tobą, Ignat? Czy zaniemogłeś? – zapytała Daria.

— To nic, przejdzie. Staw wieczerzę.

Ignat za stołem długo milczał obmyślając, jak zapytać Darię o syna marnotrawnego, lecz odchodząc na siano spać, zapytał:

— Daria, ty na pewno wiesz, jak ojciec przywitał marnotrawnego syna, o którym napisano w Ewangelii. Kiedyś wiedziałem, ale zapomniałem...

Daria wstała, podeszła do Ignata i dobrotliwie powiedziała:

— Pójdziemy jutro na nasze nabożeństwo. Będzie tam kaznodzieja, on wszystko powie. Sami czytać nie umiemy.

Ignat nic nie odpowiedział, ale rano, umywszy się, poprosił Darię o czystą koszulę i powiedział:

— Ty, Daria, idź sama, a ja później przyjdę. Bez ciebie znam drogę.

## 2

Ignat stał w drzwiach obszernego pomieszczenia. Na ławkach siedzieli ludzie ubrani po świątecznemu. Było ich dużo i to peszyło Ignata. Chciał przejść do kąta, żeby nikt go nie widział, ale podszedł do niego znajomy młody człowiek, uśmiechnął się i położywszy rękę na ramieniu, cicho powiedział:

— Siadajcie, Ignat Borysewicz, na to miejsce. Ja jestem młodszy, postoję.

Ignat dziarsko przysiadł na ławce i starając się nie rozglądać na boki, zaczął przysłuchiwać się temu, co mówił kaznodzieja. Stał on przy stole, ten sam młody, z pięknymi oczami. Teraz miał drugą koszulę, białą, wyprasowaną. Mówił cicho, lecz wyraźnie, czytał tę samą grubą księgę, którą Ignat widział wczoraj przy studni. Kaznodzieja przerywając, wyjaśniał ludziom, co czytał.

Ignat nie wszystko rozumiał, co mówił kaznodzieja, ale gdy skończył, w pomieszczeniu zrobiło się poruszenie. Dwudziestu młodych ludzi wyszło do przodu, stanęli w dwóch rzędach i zaśpiewali:

Z obcego kraju  
Wzywam do domu,  
Ręce wyciągam,  
Synu mój, synu mój.

Dziadek Ignat wzruszył się słuchając pieśni. Opuścił głowę, przysłuchiwał się każdemu słowu. Do śpiewu przyłączyły się inne głosy:

Wracaj wędrowcze do kraju swojego,  
Do świętej ojczyzny.  
Błądziłeś tak daleko,  
Idź do domu.  
Błądziłeś daleko,  
Lecz przyjdź do domu.  
Zmyję wszystkie wady,  
Synu mój, synu mój.

Ignat silił się powstrzymać łzy, lecz nie mógł. Zapłakał cicho, sobie. Wydało się mu, że śpiewają nie ludzie, lecz aniołowie. To one z nieba wzywają go do Boga, a on, Ignat, grzesznik, jak marnotrawny syn przetracił swoje życie nie zauważwszy, jak podkradła się starość.

— Marnotrawny syn... Niepokorna moja głowa... – przytakiwał sobie staruszek pociągając nosem. Coś dawało go w piersi. Było mu wstyd za swoje życie, wstyd przed Darią, przed sąsiadami, wstyd przed Bogiem.

Dziadek Ignat podniósł swoją zapłakaną twarz, otworzył oczy i zobaczył, że wszyscy ludzie klęczą, a między nimi, wśród kobiet, klęczała Daria. Płakała, wycierając fartuchem łzy, a w tym czasie słabo dochodził głos kaznodziei:

— Bóg, jak dobry Ojciec, nie wylicza ludziom grzechów, lecz wzywa do upamiętania...

Jakaś niewidoczna moc napeliła Ignata postanowieniem. Wstał i utykając na obie nogi, podszedł do stołu.

W dużej izbie, wypełnionej ludźmi, nastała cisza. Było słyhać, jak na ścianie miarowo tykał zegar, w takt którego stukało serce Ignata. Ogarnął wszystkich spokojnym spojrzeniem, dotknął brody, jakby chcąc się przekonać czy jest cała, głęboko westchnął i zaczął chrypliwie mówić:

— No, cóż? Oto i jeszcze jeden marnotrawny syn... – głos staruszka drżał. – Sprzykrzyło się mi takie życie. Wystarczy. Kajam się przed Bogiem i przed wami się kajam... Panie, przebacz mi, złemu staremu... Dużo nagrzeszyłem w swoim życiu. I wy, dobrzy ludzie, wybaczenie dziadowi Ignatowi...

— Bóg wszystkim odpuszcza, a my kim jesteśmy? – rozległ się czyjś głos.

— Odpuszczamy, odpuszczamy – słyhać było od strony kobiet.

Kaznodzieja podszedł do dziadka Ignata, objął go i po ojcowsku ucałował przez gęstą, rudawą brodę.

Chór śpiewał jeszcze raz, a przez otwarte okna domu, jak gołębie, ulatywały słowa:

Śpiewajcie, śpiewajcie, się radujcie,  
Omyci krwią Chrystusa...

Ludzie długo nie rozchodzili się do domów. Każdy chciał podejść do Ignata, ucisnąć mu rękę, ucałować.

Ignat nieśmiało podszedł do Darii.

— Wybacz mi, najdroższa. Dużo ci zrobiłem krzywdy...

Żona nie mogła od razu mu odpowiedzieć. Przyływ radości zaparł jej oddech i dopiero po paru chwilach westchnęła, i ucisnąwszy kościste palce Ignata, przemówiła:

— Ja tobie, mój stary, na zaś wszystko wybaczyłam... Za wszystko chwalał Bogu. Teraz pójdziemy jedną drogą.

— Jedną drogą, jedną – radośnie odpowiedział Ignat.

### 3

Cichymi krokami, dosłownie skradając się, przyszła jesień. Rankiem na dachach srebrzył się szron, a w południe, gdy słońce znajdowało się wysoko, było ciepło i sucho.

Ogromne klony, upiększające drogę wsi, gubiły żółte liście. Groźnie szeleściły pod nogami przechodniów i przydawały ziemi szczególnego, złocistego wyglądu.

Wieczorem, gdy mieszkańcy wsi krzątali się przy kolacji, z zaułka rozległ się cichy dźwięk harmonii. Wiatr niósł go na drugi koniec wsi, wzywał na drogę gorące serca. Dźwięki harmonii przycichały, milkły i znowu przekłuwały wieczorną ciszę. Łkały głośno.

Dziarski młodzieniec, harmonista Timoszka, szedł przez wieś leniwym krokiem, rozciągał miech trzyrzędówki i palił przyklepionego do ust papierosa.

Jeden za drugim wychodzili mu na spotkanie podrostki.

— Ej, Tima, grzej riazanskiego...

I Timoszka z nową mocą naciskał basy. Harmonia już nie płakała, lecz wyla w takt przyśpiewek własnej twórczości:

„Dziewki, gdzież wy? – Tutaj, tutaj!

A Marta, co, nie tutaj?

Dlatego ona nie tu,

Bo siedzi w domu bosa”.

Wataha młodzieńców wyszła na skraj wsi i przystanąła pod ogromnym, starym dębem, obok chaty śpiewaczki i tancerki Aleny.

— Za wcześnie, czy co? Nikogo nie ma.

— Gdzie Alena? ze zdziwieniem zapytywał Timoszka.

— Co ty, nie wiesz? – rzekł Kosoj Pietrunia, młodzieniec dwudziestoletni, troszeczkę gamoniowaty. – Alena teraz u ewangelistów będzie śpiewać. Mówią, że szybko ją ochrzczą...

— Ach, to tak? – w zamyśleniu odezwał się Timoszka.

— To dziadek Ignat w głowie jej zawrócił. On zrobił się baptysta, a ona mu przychodzi krewna – powiedział ktoś w ciemności.

— Wyrwać by Ignatowi brodę!

— Trzeba mu dać nauczkę, staremu czarownikowi.

Młodzieńcy parę chwil milczeli, jak gdyby przysłuchiwali się szczekaniu psów. Szczękały one we wszystkich krańcach wsi przeciągle, trwożnie, a w ogrodach gwałtownie ryczał zagubiony cielak.

— Dawaj mu, kosmatemu, dach przetniemy – powiedział Pietrunia.

— Ale to będzie numer!

Timoszka zagrał na harmonii parę akordów, przystanął i się zapytał:

— Kto ze mną! Hajda do Ignata...!

Za chwilę, gwizdząc melodię, trzech młodzieńcy poszli przez pole do chaty dziadka Ignata.

Wkrótce wiatr roznosił słomę po podwórku, taszczył przez ogrody, na pole.

W tym czasie Ignat wrócił z Darią ze zboru. Parę minut stali i patrzyli, jak na dachu ich chaty widniał czarny dół, a trzech młodzieńcy zuchwale zrzucali słomę.

— To Bóg posłał nam doświadczenie – wyszeptwała Daria do męża. — Za Alenę to nam, nie inaczej.

Ignat podszedł bliżej i odezwał się:

— Słuchajcie, chłopcy, wystarczy. Dobrze pracowaliście, a nie mam czym wam zapłacić.

Młodzieńcy przycichli.

— Prawdę mówię: nie mam czym płacić. Zachodźcie do chaty, stara herbata z miodem poczęstuje. Grzybki solone są.

— A co? Pójdziemy? Nie ma się czego bać – powiedział Timoszka.

Koledzy się zgodzili.

— Ty byś nam, stary, po miarce nalał – rzekł Timoszka, zachodząc do chaty. Z ukosa spoglądał na staruszkę, chodząc po izbie.

— Po miarce, mówisz? Nie-e-e, tego u mnie nie będzie. Wystarczy. A to siadajcie za stołem, jak porządni ludzie, grzybków spróbujcie. A potem ja miodku przyniosę.

Timoszka myślał o czym innym. Chciał podrażnić się z Ignatem, stuknąć go w nos, pociągnąć za brodę, dołożyć za Alenę, a teraz widział, jak stara stawiała na stole grzyby i pierwszy usiadł za stołem...

— Siadajcie, chłopcy, spróbujemy...

— Tu macie żwirówki, a tu rydze. One lepsze...

Ignat przyniósł ze składówki kubek miodu, w kącie szumiał samowar.

Staruszek przyjaźnie rozmawiał, pytał się o jarmark, na którym Timoszka kupił harmonię, mówił o pogodzie.

— Pora do domu – powiedział Timoszka.

— Pańska sprawa, nie wyganiam i nie trzymam – odpowiedział dziadek.

Gdy młodzieńcy powstali od stołu, dziadek przeciągnął ręką po brodzie, spojrzął na Darię i rzekł:

— Chcę do Boga się pomodlić, podziękować Mu za chleb, sól.

Młodzieńcy stali przy stole, słuchali modlitwy:

— A jeszcze, Panie, dziękuję Ci za tych chłopców, że nas, starych, odwiedzili. Oświeć, Boże, ich umysły, objaw im życie nowe, jak objawiłeś Ty mnie...

Uśmiechając się z poczuciem winy, Timoszka podszedł do dziadka i niezdecydowanie wyciągnął rękę.

— Dziękuję dziadku Ignat... Dobrze nas ugościłeś...! Długo będziemy pamiętać. A o dach nie martw się. Nowy zrobimy. Jak, chłopcy? – zapytał Timoszka kolegów.

— A jakże? Obowiązkowo. Jutro pokryjemy. Nowym pokryciem.

Timoszka mówił prawdę. Na drugi dzień do wieczora na starej, zmurszałej chacie Ignata zółcił się nowy, pokryty dach.

— Prawdziwie w Ewangelii napisano: „Zwyciężaj zło dobrem” – rzekł Ignat do Darii i uśmiechnął się szczęśliwym uśmiechem.

## Pamiętam głód

Zawsze, gdy widzę ludzi wyrzucających chleb, staje mi w pamięci wiosna 1933 roku.

Matka, odprawiając ojca do miasta, surowo nakazywała:

— Kup gryczane plewy koniecznie. Mąki trochę zostało, chleba zrobimy...

Ojciec wziął mnie z sobą. Całą drogę milczał. I wiedziałem, że ojciec, jak i ja, głodował, że mówić mu ciężko, że o czymś myślał.

Matka puchła z głodu. Drugi miesiąc rodzina jadła tylko trawę.

Wiele lat później przypominałem sobie ten smutny, pochmurny dzień. Słońce wyglądało na parę chwil i znowu chowało się za chmury. Wilgotny wiatr hulał po zaułkach, między wilgotnymi budami. Na bazarowym placu cisnęli się ludzie. Na zapadniętych twarzach wyróżniały się sine policzki, jakby oblane płynnym szkłem, oczy mętne, chód leniwy. Milcząco i w przygnębieniu rozglądali się ludzie na boki, jak gdyby kogoś oczekiwali. Niektórzy trzymali w rękach różnorodne przedmioty: kawałek białego kapłona, stare buty wyczyszczone do połysku, ślubne suknie, samowary.

— Ej, muzykant...! Skrzypka, skrzypka! Za pół funta chleba pójdzie – dał się głos w tłumie, który był podobny do mrowiska. – Ta skrzypka dwadzieścia lat mnie chlebem karmiła, a teraz z głodu umieram – żalił się nie wiadomo komu chudy, wąty mężczyzna, mający około pięćdziesięciu lat. – Życ się chce, żyć...!

Obok inny drżący głos nawiązał rozmowę. Był to chudy staruszek z trzęsącymi się rękoma. Jego poczerwiała twarz nie wyrażała żadnego uczucia, a wargi dobierały słowa:

— A co, grał na tej skrzypce? Kogo chwalił? To-to... Nie oddali chwały Ojcu Niebieskiemu, teraz wszystkim krach przychodzi. To-to...

Prawie obok stał przyzwoicie ubrany młody człowiek. Wysoko trzymał nad głowę zegarek

kieszonkowy i niestrudzenie powtarzał te same słowa:

— Zabytkowy, złoty... Paweł Bure. Ile dacie? Ile dacie? Paweł Bure...

Podszedł do niego cienki, jak tyczka, młody człowiek z dużymi, wystającymi kośćmi policzkowymi na bladej, wypłowiałej twarzy. Jego duże oczy zrobiły się wilgotne, wypełniły się łzami.

— Słuchaj, człowieku, schowaj swój zegarek – mówił do niego półgłosem. – Trzy dni

umarła mi żona, a pochować nie ma komu. Nie mam siły, żeby zanieść ją na cmentarz, wykopać dół. Leży w domu...

— No i co? – zapytał sprzedawca zegarka. – Ja mam syna w domu. Jedynek. Opuchnięty, nie rusza się.

— Zegarek mi nie jest potrzebny – kontynuował chudy człowiek – gdybyś pomógł mi pochować żonę, dałbym ci dwa funty mąki. A zegarek mi nie jest potrzebny.

Nagle w pobliżu, pod zadaszeniem pustego straganu, przeraźliwym głosem krzyknęła kobieta. Trzymała na rękach chorego ośmioletniego chłopczyka. Jego ciało, poczerwiałe i wyschnięte z głodu, osunęło się na ulicę. Kobieta wyteęzała siły, aby podtrzymać chłopca i błagalnie patrzyła na zebranych ludzi.

Ciemne, straszne oczy kobiety nienaturalnie się świeciły, wyrażając ni to strach, ni to rozpacz. Szukała wokół pomocy, lecz nikt nie ruszał się z miejsca, żeby pomóc. Kobieta, słabnąc, opuściła ręce, a chłopiec legł na szarych, kamiennych płytach ulicy.

Ludzie niezdecydowanie i biernie, z zimną krwią, patrzeli na narzekającą matkę, na konwulsyjnie drgające ciało chłopca, jak na coś zwykłego.

Twarz chłopczyka zrobiła się jeszcze czarniejsza. W kącikach rozwartych ust ukazała się piana. Jego głowa leżała poziomo, ręka była podwinęta pod plecy, duże, zapadłe oczy spoglądały bez życia w stronę milczącego, zimnego tłumu. Chłopczyk cicho jęknął, odwrócił głowę do matki. Ona patrzyła mu prosto w oczy, a jej sine, drżące wargi coś szeptały. Chłopiec zamknął oczy. Druga, chuda rączka, zacisnęła się w piąstkę i podniosła się do ust. Później ręka opadła. Drżąc na całym ciele, chłopiec znowu podniósł rękę i znowu skierował ją do ust.

— Wody mu dajcie, diabły! Nie widzicie, że umiera? – krzyknął z tłumu gruby głos.

— Woda mu nie pomoże. On z głodu umiera – rzekła stojąca obok kobieta.

Matka padła na kolana, głośno płakała, podniosła do nieba ręce, modliła się do tłumu:

— Dobrzy ludzie, zmiłujcie się...! Na Chrystusa, dajcie jałmużnę, okruszyny chleba mojemu synowi. Popatrzcie na niego, nieszczęsnego, on chce żyć...

— A my co, nieludzie? Życie nie chcemy? – burczał czyjś głos.

W jednej chwili uwaga tłumu została zwrócona w drugą stronę, skąd dochodziły krzyki:

— Trzymajcie go, przekłętego! Trzymaj...!

Nieoczekiwanie wskoczył w tłum oberwany, brudny młodzieniec z ciemnymi włosami. Chował się między ludźmi, lecz czyjaś ręka mocno chwyciła go za kołnier z rozerwanej kurtki.

— Stój, nie uciekniesz!

Druga ręka bezlitośnie uderzała młodzieńca w twarz. Upadł on na ulicę, jak skoszony. Jedną ręką zakrywał głowę, broniąc się przed uderzeniami rozszalonego tłumu, a z drugiej gorliwie jadł placek. Takie placki z ziemniaków i otrębów sprzedawano na bazarze. Młodzieniec połykał go nie gryząc. Z jego nosa ciekła struga krwi i razem z plackiem wpadała do ust. Od uderzenia jednego oka nie było widać. Widać było dużą, siną plamę.

— Bij go, złodzieja – namawiał rosyły chłop. – Moją żonę okradł.

— Rozejść się! – krzyknął milicjant. – Rozejść się, rozkazuję! – upierał się przedstawiciel władzy.

— Złodzieja złapaliśmy, nie widzisz, czy co? Starą okradł.

— Gdzie stare z takimi mają dać radę? Po prostu nieszczęście. Z rąk wyrwy ją... – rozległy się głosy z tłumu.

— Nie ma u nas dla takich miejsca – wyjaśnił milicjant. – Gdyby był recydywistą – wtedy inna sprawa. A tak, dokąd z nim? Czym go karmić?

Młodzieniec leżał na ulicy rozłożywszy ręce na boki, jakby dobrowolnie oddał siebie na ukrzyżowanie. Od uderzeń nóg stracił świadomość.

Nieoczekiwanie i śmiało słońce wyjrzało zza chmur. Jakby chciało podpatrzeć, co robi, jak żyje Boże stworzenie na ziemi i znowu schowało się za chmurami. Wiatr nie zmniejszał się, przeczesywał gołe drzewa, osuszał błoto wymieszane

ludzkimi nogami.

Staruszka, sprzedająca na bazarze placki, szła do domu bez placków i bez pieniędzy. Szła cicho wydeptaną dróżką przez cerkiewny park, opierając się na swojej sękatej lasce i myślała o jednym:

„Chwała ci, Panie, sama żywa pozostałam. I to dobrze”.

W parku przy cerkwi pasło się parę chudych koni ze spółdzielni transportu imienia „Kominternu”. Szczypały one trawę między nagrobkami. Obok katedry Zbawiciela w bezładzie leżały zardzewiałe ramy cerkiewnych okien.

Słońce jeszcze raz oświetliło zielonkawą kopułę katedry. Staruszka przystanąła przed drzwiami świątyni, przysłoniła pomarszczoną ręką oczy, spojrzała do góry, skąd niedawno został zdjęty krzyż i ciężko westchnąwszy, powiedziała:

— Panie, dokąd tak będzie? Wybacz i zmiłuj się nad ludem prawosławnym...

Wystrasżonym, krzykliwym głosem, jak dziecko, wykrzyknęła wilga. Niesamowite echo odezwało się wewnątrz pustej, zapleśniałej świątyni.

## **Drogię ponad wszystko**

Było to w monachijskim więzieniu.

Dobiegał końca 1946 rok. Przez więzienne kraty widać było mętne niebo. Niekiedy ciemniało, a wtedy leniwie padał mokry śnieg. W nocy było słychać, jak stukają krople. W ich takt chrapali więźniowie.

Nasza cela była przepelniona cudzoziemcami. Komisje repatriacyjne przy pomocy władz okupacyjnych łapały rosyjskich uchodźców na ulicach, szukały rodzinnych poddanych, aby wysłać ich do ojczyzny.

Gdy rano ścielono prycze, siadałem na podłodze i słuchałem opowiadań ludzi, ich kłótni politycznych, prognoz o nieuchronnej wojnie między ZSRR i Ameryką, słuchałem pieśni ludowych. Śpiewano je pół głosem, a niekiedy i sam śpiewałem.

Pewnego rano rano przyprowadzono do celi człowieka w letnim, zniszczonym, nigdy nie prasowanym garniturze. Z wyglądu miał około czterdziestu lat. Duża, jasna głowa ledwo się trzymała na cienkiej, brudnej szyi.

— A-a, Kazik! — radośnie wykrzyknęło parę głosów.

Kazik w milczeniu podszedł do zimnej, mokrej ściany i nie patrząc na nikogo, usiadł w kącie na podłodze. Stał tam pojemnik na odchody, lecz on jakby tego nie zauważył. Opuściwszy głowę, Kazik nerwowo obgryzał paznokcie na chudych, cienkich jak gwoździe palcach. Zajrzałem w jego duże, bez życia oczy i od razu zrozumiałem, że Kazik musi mieć nie czterdzieści, ale dwadzieścia lat, nie więcej.

Kazik wniósł do celi ciężką, duszną atmosferę. Przewieziono go z innego więzienia w oczekiwaniu na sąd. Czasami zaczynał płakać, jego chude plecy drgały jakby w nie ktoś walił. Nikt nie próbował nawiązywać z nim rozmowy, lecz dużo już o nim wiedziano. Historię tego młodego człowieka opowiadano szeptem nowicjuszom. Dochodzenie Kazika trwało około roku. Groził mu wyrok za zabójstwo dwóch Niemców, z których jeden był policjantem. Rok temu, w czasie wojny, policjant był gospodarzem Kazika. Bezlitośnie obchodził się z młodym polskim „szkieletem”. Wypiwszy, Kazik postanowił policzyć się ze swoim gospodarzem, wszczał z nim bójkę i zabił dwóch Niemców na miejscu.

Nikt nie wątpił, że okupacyjny sąd skaże go na rozstrzelanie. Wiedział to też i Kazik. Fizycznie osłabiony i duchowo wyczerpany, już nie słuchał opowiadań o ucieczkach, lecz o

czymś myślał. Niektórzy więźniowie dawali mu niedopałki, a on zachłannie połykał dym i patrzył w ścianę.

Następnego ranka trzech tęgich strażników weszło do celi i założyli Kazikowi kajdanki.

Odprowadzili go na salę sądu. Kazik ogarnął wszystkich wzrokiem i cicho, lecz wyraźnie powiedział:

— Do widzenie, druzie...

Kazika odprowadzili.

Jeszcze wolniej i nudniej ciągnął się więzienny dzień. Po porannej herbacie nie było zwykłych rozmów. Nawet paru obojętnych na wszystko młodzieńców, amatorów brzydkich słów, w tym dniu nie było w humorze. Dopiero po skromnym więziennym obiedzie rozmowa trochę się ożywiła. Rozpoczął ją nie ogolony, z długą twarzą Gruzin, z gorącymi oczyma, jak u gruzlika, któremu pozostało parę dni życia.

— Takie życie do niczego nie nadaje się... Wojna – strzelają, nie ma wojny – też strzelają...

— Rzymianie prawdę powiedzieli, że człowiek człowiekowi wilkiem – ktoś powiedział z drugiego końca celi.

— Zabił on Niemców, teraz z nim się rozprawia...

Wszyscy wiedzieli, że „on” oznaczało Kazika.

Cela stopniowo ożywała. Do rozmowy przyłączali się i ci, którzy cały czas milczeli.

— I wojnę chłopak przeżył, do domu czas by jechać, a nikt nie wie, gdzie złożysz

skrzydła – zaczął filozofować mój sąsiad z pryczy. – Co przez Boga przeznaczone – nie miniesz. On ma policzone wszystkie nasze dni.

— A to, że człowiek człowiekowi wilkiem, to szczerza prawda – powtórzył Białorusin zachrypniętym, przeziębionym głosem. – Przypomniało mi się wydarzenie, które sam przeżyłem. Było to podczas wojny pod stacją w Baratinsku.

Białorusin zamilkł na chwilę i upewniwszy się, że wszyscy gotowi są go słuchać, podrapał się w tył głowy, przymrużył oczy i zaczął:

— W sierpniu 1942 roku przenieśli mnie do plutonu dowodzenia. Podporucznik powiedział: ty, widzę, z biedy wyszedłeś, sprawie partii oddany. Będziesz przy mnie.

— Będę się starał, towarzyszu podporuczniku – odpowiedziałem mu i pomyślałem: poszczęściło się mi. Trochę dalej od pierwszej linii. A tydzień później podporucznik przyszedł do ziemianki i rozkazuje:

— Drugiemu pododdziałowi wyczyścić automaty! Jutro do pułku komisarz dywizji przyjeżdża, trzech dezertków będziemy rozstrzeliwać...

— Nic nie odpowiedziałem podporucznikowi, lecz ta sprawa od razu nie podobala się mi. Coś mi nie pasowało – ciągnął Białorusin, strosząc rudawe brwi. – Całą noc nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Cały czas myślałem, jak to jutro będę w żywego człowieka strzelał? Może on jest żonaty? Może ma dzieci? Może matka o niego do Boga się modli? Nie, nie będę strzelał! Powiem prawdę podpo-

rucznikowi: nie mogę i kropka. Ale jak przypomniałem sobie, że będzie to oznaczało niewykonanie rozkazu, to ciarki przeszły po ciele. Stój, myślę, jest wyjście. Strzelę nad głową. Kto będzie wiedział? Nie będę sam strzelał. Niech strzela, kto może. U nas tacy zawsze się znajdują. A ja sam czworo dzieci zostawiłem.

Więźniowie słuchali z uwagą. I nawet ci, którzy na początku drzemali pod ścianą przykryci szmatami, podnosili głowy, przysłuchiwali się.

— Na drugi dzień – kontynuował Białorusin – zebrali nas czterystu. Z każdego batalionu po kompanii. Patrzcie i innym opowiadajcie. Nasz pododdział wystroili szczególnie. Przyjechał komisarz Sidorow. Zaraz też przyprowadzili i dezertarów. Czarni, straszni, nie ogoleni, do ludzi nie podobni. Stoją oni i od wiatru się chwieją. „Bacznosc”, padła komenda. Prokurator dywizji przeczytał wyrok. Dali skazanym łopaty. Kopcie, róbcie sobie wieczną chatę. Tak... kopali oni trochę, a komisarz mówi:

— Rozbierajcie się, zdrajcy! jedne kalesony dajemy wam na tamten świat...

— Widzisz, komisarze też wierzą, że jest drugi świat – wmieszał się stary emigrant z Belgradu.

— Ty słuchaj, co było dalej, nie przeszkadzaj – zauważyli inni.

— Rozbierają się oni, a ręce się trzęsą. Dwóch zaczęło płakać, jak małe dzieci. Lecz jeden nie płakał, a ciągle na niebo spoglądał, jakby stąd oczekiwał ratunku. A niebo, pamiętam jak dzisiaj, było czyste, błękitne, tylko parę obłoczków, jak łabędzie, pływały. Była taka cisza, jakby cały świat zamarł i czemuś się przysłuchiwał.

Nasz pododdział ustawili na piętnaście kroków, nie więcej. Komisarz zaczął mowę wygłaszać, a w tym czasie ten, który nie płakał, podniósł ręce ku niebu i zaczął się modlić:

— Panie, w Twoje ręce moją duszę oddaję... Nie chciałem ludzi zabijać według Twego przykazania, a teraz przyszła moja kolej. Przebacz tym, którzy strzelają. Nie ze swojej woli to czynią...

— Patrzymy my na komisarza, a sami słuchamy, jak śmiertelnik się modli, żonę i dzieci swoje wspomina. Komisarz nie skończył swojej mowy, rozzłościł się i od razu wydał rozkaz:

— „Strzelajcie do łajdaków!”.

Wystrzeliliśmy wszyscy prawie razem. Tylko ja trochę się spóźniłem. Otworzyłem oczy, patrzę: dwóch na ziemi leży, nogami przebierają, za brzuchy się trzymają, zwijają się, a ten, który się modlił, stał, na niebo patrzy. Komisarz znowu wydał komendę:

— Pal!

— Znowu wszyscy wystrzelili, a on sobie stoi, jakby nigdy nic, trochę się chwieje i widać, że chce coś powiedzieć. Komisarz się wściekł i wyciągnął pistolet. Trzy razy pod rząd wystrzelił z bliska. Trzy czerwone strużki pociekły po białej piersi.

— Boże! – krzyknął on, ciągle patrząc w niebo, jakby ujrzał tam Samego Chrystusa.

— A może i zobaczył! – wtrącił któryś ze słuchaczy i zaraz umilkł.

— Później się zatoczył i jak snop upadł na trawę...

Białorusin zakończył swoje opowiadanie. Wszyscy milczeli, jakby oczekiwali od niego czegoś jeszcze.

— Jak ty strzelałeś? – zapytał go niebieskooki, szczupły młodzieniec, który niedawno zbiegł z radzieckiej strefy.

— W górę strzelałem, ot jak: fu-u! – pokazał Białorusin na sufit. – A jak to? W swojego strzelać? Nie-e-e, tak nie można... Później nas wszystkich pojedynczo do sztabu wzywali. Komisarz pułku spojrzął na mnie surowo i zapytał:

— Kim jesteś? Baba, czy żołnierz Czerwonej Armii?

— Ja mówię: żołnierz, towarzyszu komisarzu.

— Dlaczego nie strzelałeś do zdrajców?

— Strzelałem – mówię – wszystkie trzy razy.

— Żle strzelasz. Pójdiesz na pierwszą linię, do strzeleckiej kompanii. Tam się nauczysz. – No i przenieśli mnie do 5-tej kompanii, a tam, w trzecim dniu, trafiłem do niewoli.

W celi znowu zapadło milczenie. I znowu było słycać, jak za kratą kapłała woda z dachu. Milczenie przerwał młody, jeszcze niepełnoletni chłopiec:

— Gdyby wszyscy ludzie tak powiedzieli: nie będziemy innych zabijać i basta. Nie byłoby nigdy wojny.

Chłopiec spojrzął mi w twarz, jakby szukając potwierdzenia swoich myśli i pytająco zaciągnął:

— A...?

— Dobrze powiedziane – odpowiedziałem głośno, aby wszyscy słyszeli. – Wszyscy ludzie chcą żyć. Bóg daje człowiekowi życie, a zabójca odbiera je.

W tym czasie nagle zabrzęczała wiązka kluczy. Szczęknęła żelazna zasuwka, bezszelestnie otworzyły się drzwi. Nadzorca przyprowadził do celi Kazika. Kazik stał przez chwilę w drzwiach z rozłożonymi rękami podobnymi do skrzydeł. Bezdzźwięcznie się śmiał, oczy paliły się jasnym, gorączkowym światłem i zaczął wolno, a później coraz szybciej i szybciej, zaczął kręcić się po celi, jak w walcu.

Wydawało mi się, że Kazik zwariował i za każdym razem, gdy kręcąc się przybliżał się do mnie, odwracałem się w bok. Minęło parę chwil, a on ciągle jeszcze tańcował, przygrywając językiem. W końcu stanął pod ścianą, gotowy upaść na podłogę. Podniósł swoje ręce i ciężko oddychając, radośnie wykrzyknął:

— Bracia, dożywocie! Jeszcze Polska nie zginęła...!

Okazało się, że sąd wziął pod uwagę jego młody wiek i że był pijany, gdy dokonał zabójstwa oraz inne okoliczności łagodzące. Kazikowi została zamieniona kara śmierci na dożywotnie zamknięcie w więzieniu.

I było to dla niego duże święto!

Cały wieczór rozmawiano z nim w celi. Chętnie odpowiadał na wszystkie pytania, zjadał wszystko, co mu proponowano ze skromnych paczek i palił całe papierosy.

Tej nocy nie mogłem spać, a i Kazik nie spał, świętując swoje zwycięstwo nad śmiercią.

A ja myślałem o jednym: dlaczego człowiek jest taki, że chce tylko jednego: żyć. Żyć, żyć dzisiaj, a umrzeć kiedyś tam, później?

Następnego dnia Kazika przewieziono do innego więzienia, a po obiedzie wezwał mnie śledczy i powiedział:

— Za dwie godziny będziecie na wolności.

Szare i brudne, w połowie zburzone miasto Monachium w tym dniu wydało mi się rajem.